



# miłość alchemika

może być niebezpieczniejsza niż życie i śmierć



AVERY WILLIAMS



*Williams Avery*

*Miłość alchemika*

Przemawiająca do uczuć i wyobraźni magiczna powieść o miłości, która może być niebezpieczniejsza niż życie i śmierć

Przed wiekami: młody alchemik Cyrus stworzył niezwykle eliksir. Dzięki niemu jego ukochana Seraphina mogła żyć w nieskończoność, przeżywając życie innych ludzi – w zamian za obietnicę, że pozostanie z nim na zawsze. Lecz cena okaże się przerażająca i tragiczna...

Czasy współczesne: na autostradzie pod Oakland Seraphina jest świadkiem tragicznego wypadku, który zmienia jej życie.

Teraz musi wybierać pomiędzy tym, kim była i kim chce być. Czy odważy się przeżyć coś, czego nigdy nie zaznała? Poznać jak inne szesnastolatki radość, przyjaźń i uczucie do fantastycznego chłopaka? Czy Cyrus pozwoli jej odejść? Czy będzie musiała wyrzec się szczęścia, by uratować tego, kogo naprawdę kocha?



*Nigdy nie zwiędzy nieśmiertelność  
tego, kto boi się podążać  
za eterycznych głosów wezwaniem.*

John Keats *Endymion*

## Prolog

Londyn, 1349

Dziś bal maskowy w pałacu lorda Suffita nad Tamizą; czekałam na niego chyba przez całe życie. Skończyłam czternaście lat, mogę wyjść za mąż, więc nareszcie jestem wystarczająco dorosła, by wziąć w nim udział. Fasada z piaskowca migocze w blasku pochodni. Słodka woń róż, które wpięłam we włosy, uderza mi do głowy. Przypominam sobie, że muszę ukryć twarz pod maską, zanim przejdę przez wysoko sklepiony korytarz.

Kątem oka zauważam moje odbicie w lustrze.

Mam na sobie białą suknię z wysoką talią. Opływa moje ciało jak woda, przetykana gdzieniegdzie złotymi nićmi szwów. Rękawy dopasowane u góry niżej rozpościerają się jak skrzydła. Moja maska jest złota, w kształcie motyla. Ozdabiają ją kryształy i szklane paciorki. Prowadzi wzrok patrzącego od twarzy ku srebrnej siatce, która podtrzymuje gruby kok, upięty wysoko na czubku głowy.

Przez chwilę jestem zdezorientowana - czy to odbicie w masce to naprawdę ja? Ostrożnie dotykam ręką policzka. Dziewczyna z lustra robi to samo.

Zadowolona, odwracam się i podążam za rodzicami i dźwiękiem muzyki - lir, lutni, tamburynów i bębenków. Po chwili docieramy na salę. Przystaję na moment, by popatrzeć na zamaskowanych tancerzy. Kobiety wirują w niewielkim kręgu i muskają podłogę aksamitnymi i jedwabnymi sukniemi, a mężczyźni otaczają je, tworząc zewnętrzne koło. Kandelabry rzucają blaski światła, które odbija się od masek. Chociaż spędziłam w Londynie całe życie, nikogo tu nie poznaję.

Wyczuwam, że ktoś stanął u mojego boku, więc odwracam się w jego stronę. To młody mężczyzna, cały w czerni, z czerwoną maską i bardzo jasnymi włosami. Podaje mi czarę z winem z granatów. Wypijam łyk i czuję palącą słodycz w gardle.

- Powinnaś zatańczyć - mówi.

- Ale nikogo tu nie znam - odpowiadam, zastanawiając się, czy wiem, kim on jest.

- O to chodzi - mówi. Jego błękitne oczy przezierają spod maski. - Te przebrania mają dać nam wolność. Dzięki nim możemy zrobić coś, na co w innym wypadku byśmy sobie nie pozwolili. Na jedną noc stajemy się kimś zupełnie innym.

Przyglądam mu się przez chwilę.

- Czy my się znamy? - pytam. Przekrzywia głowę i wybucha śmiechem.

- Nie sądzę. Na pewno bym cię zapamiętał, pani. Z drugiej strony, może jednak się znamy. Tego nigdy się nie dowiemy. - Podaje mi ramię i prowadzi na parkiet.

Tańczymy razem tylko przez chwilę, po czym taneczny układ zmusza nas do kolejnych zmian partnerów. Często jednak na niego spoglądam i za każdym razem widzę, że te wyraziste błękitne oczy także

mnie szukają. Cieszę się, że nie widać mojej twarzy, bo jak zwykle zaczynam się rumienić. Gdy taniec się kończy, tracę go z oczu.

Samotnie spaceruję po sali, zgrzana i trochę oszołomiona. Wino, ruch, tłum - to zbyt wiele naraz. Podążam szlakiem wyznaczonym przez pochodnie i docieram na dziedziniec, a potem do ogrodu, w którym odbywa się pokaz magiczny. Patrzę w oszołomieniu, jak magik wyczarowuje gołębia z powietrza, a potem wypuszcza go w przestworza.

- To szarlatan - mówi jakiś głos zza moich pleców. Obracam się. To mężczyzna ze szkarłatną maską.

- Jest wspaniały! - protestuję. - Właśnie wyczarował ptaka!

- Nic podobnego. On tylko cię oszukał. Ale jeśli zechcesz mi towarzyszyć - wyciąga rękę - to pokażę ci coś naprawdę wspaniałego.

Jestem zaciekawiona. Chwytam go za rękę i pozwalam poprowadzić się z dala od tłumu. Gdy docieramy do bram pałacu, zaczynam się wahać.

- Nie powinnam wychodzić. Rodzice będą się martwić.

- To bliźniutko, przy tej ulicy - zarzeka się. Niechętnie podążam za nim za róg, w stronę ogrodu różanego. Jesteśmy tuż nad Tamizą. Czuję, jak słodki aromat płatków miesza się z dymem pochodni. Przystajemy obok kamiennej ławy. Mój towarzysz puszcza mnie. - Czy mogę? - pyta.

Nie jestem pewna, co zamierza zrobić, ale przytakuję. Sięga dłonią do moich włosów i delikatnie wyciąga z nich jedną z róż. Przez chwilę kołysze ją w dłoni. Wciąż jest ciemnoczerwona, ale zaczęła już więdnąć, a krawędzie płatków wyschły.

- Ludzie wciąż szukają magii, chociaż prawdziwe cuda można odnaleźć w świecie samej natury - mówi, wyciągając z kieszeni małą, szklaną fiolkę. - Ten kwiat jest martwy. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem. - Uśmiecha się. - Ale róże w tym ogrodzie wciąż żyją.

Otwiera fiolkę i czeka, aż kilka kropeł płynu ścieknie na podstawę uciętej łodygi róży. Potem przykłada ją do ciernistej gałązki żywego krzewu, a gdy po paru sekundach odrywa dłoń, zdumienie odbiera mi oddech.

Róża, którą miałam we włosach, znów rozkwita. Aksamitne płatki nie są już wysuszone ani zwiędnięte.

- To magia? - szepczę.

- Nie, nauka - odpowiada. Jestem zachwycona i oszołomiona.

- Nie wiem, jak ty wolisz to nazwać, panie. Ale dla mnie to magia.

- Czy zechciałabyś zdjąć maskę? - prosi, patrząc mi głęboko w oczy. - Muszę dowiedzieć się, kim jesteś.

- Tylko jeśli ty zdejmiesz swoją.

Przytakuje, więc rozwiązuję wstążki, które przytrzymują w miejscu maskę i odsłaniam twarz. On robi to samo. Jego maska ma tę samą barwę co moja róża.

Patrzymy na siebie i jednocześnie wstrzymujemy oddech ze zdziwienia.

- Seraphina... - szepcze bezdźwięcznie.

- Cyrus - odpowiadam, zdumiona. Cyrus to syn alchemika. Nie raz i nie dwa pozwoliłam sobie rzucić mu ukradkowe spojrzenie, gdy odwiedzał nas w towarzystwie ojca. Jest przystojny, ma złociste, niemal białe włosy, wystające kości policzkowe i żywe spoj-

rzenie. Gdy marzę o tym, jak będzie wyglądał mój mąż, często wyobrażam sobie Cyrusa.

- Jesteś jeszcze piękniejsza niż w moich wspomnieniach - mówi i jest jasne, że on także o mnie myślał. - Składam ci zatem obietnicę. Przyjdę jutro do ciebie, by pomówić z twoimi rodzicami. A następnym razem przyniosę ci coś więcej niż kwiaty.

Nie potrafię powstrzymać krwistoczerwonego rumieńca, który zalewa moje policzki. Jestem oszołomiona, oślepiąca niemal, kręci mi się w głowie. Upojna woń róży znieczula wszystkie moje zmysły. Przymykam oczy. Czy to jest moje przeznaczenie?

W ostatniej chwili dopiero zauważamy, że z cieni wyłaniają się dwie postacie: kobieta i mężczyzna w brudnych łachmanach. Mają zakryte twarze i usta przesłonięte szmatami. Tylko miecze przytroczone do pasów są czyste i sprawne.

- Sir! - Mężczyzna splota, zwracając się do Cyrusa. - Proszę mi oddać portmonetkę.

Sztywniej z przerażenia. Cyrus osłania mnie własnym ciałem.

- Zostawcie nas w spokoju - rozkazuje. - Nic nie mam.

Mężczyzna wyciąga miecz z pochwy.

- A ta dama?

Ja również nie mam przy sobie żadnych pieniędzy. Zawsze noszę jednak na szyi wysadzany klejnotami krzyżyk, który teraz pośpiesznie rozpinam, by podać go mężczyźnie.

Chwyta go brutalnie, omal nie rozrywając łańcuszka.

- To wszystko? - burczy, odwracając głowę, po czym znów splota na ziemię.



- Wszystko, co mam - odpowiadam drżącym głosem.

Przyspila mnie ramieniem, zanim jestem w stanie wykonać jakikolwiek ruch. Ma przegniłe zęby. Czuję od niego alkohol.

- Zostawcie ją! - krzyczy Cyrus, rzucając się, by mnie bronić. Jednym zgrabnym ruchem wyrywa kobiecie miecz, kopie mężczyznę, po czym zatapia ostrze w jego brzuchu. Krew złodzieja tryska mi na suknię, jest jeszcze ciepła, co przyprawia mnie o mdłości. Patrzymy, jak martwe ciało osuwa się na bruk.

Cyrus wbija we mnie wzrok i nagle widzę, że zmienia mu się wyraz twarzy. Otwiera szeroko oczy z przerażenia. I wtedy mój świat zmienia się na zawsze po raz drugi tego wieczoru.

Powiedzieć, że wąski sztylet kobiety przebija mi kark - to brzmi zbyt delikatnie. Jestem jak ucho przekłute na wylot, by umieścić w nim kolczyk. Przeszywa mnie eksplozja bólu. Czuję, jak ostrze noża przecina moją skórę, mięśnie, skrobie kość. Gorący strumień krwi wytryska mi z pleców, pulsując w jednym rytmie z oszalałym sercem.

Cyrus przewraca kobietę, która upada gwałtownie i rozbija sobie czaszkę o bruk. Już nie wstaje.

Padam na kolana, patrząc na księżyc, który lśni beztrosko, jak gdyby nic strasznego się nie wydarzyło.

Cyrus otacza mnie ramionami, czuję jego oddech, gdy się przybliży i usiłuje ucisnąć ranę. Dostrzegam własną krew, przesącza się między jego białymi palcami i barwi je na czerwono.

Ledwo widzę, jak rozrywa materiał tuniki i wyciąga małą fioletkę. Przymykam oczy. Świat zaczyna gasnąć.

- Ocalę cię, Sero! Nie opuszczaj mnie! - Wylewa kropelkę płynu z fiolki na palec, po czym przytyka mi do ust.

Gdy tylko dociera do mojego języka, krzyczę z bólu.

- Co to za trucizna? - stękam.

- To eliksir - wyjaśnia pośpiesznie. - Ojciec i ja stworzyliśmy go w czasie plagi czarnej śmierci. Tata zachorował, użyliśmy tego eliksiru, by go wyleczyć. On... to ciało, które znasz, nie zawsze należało do niego.

Czuję szarpnięcie i coś zaczyna mnie palić w gardle.

- Płonę!

- Czujesz, jak płyn rozwiązuje srebrną wstążkę, która łączy twoją duszę z ciałem - mówi z naciskiem. - Wkrótce będziesz wolna.

Robię się lekka, jak gdybym mogła ulecieć pod niebo i dołączyć do radosnego tańca planet.

- Sera. Nie odchodź.

Słyszę głos Cyrusa, ale to, co mówi, jest teraz takie nieważne. Chcę wyjaśnić mu, dokąd lecę - do samych gwiazd. Przecież mógłby do mnie dołączyć.

Wyrywa mnie z zadumy, podnosząc ciało brudnej kobiety. Cyrus chce, żebym ją pocałowała. Co za idiotyczny, odstręczający pomysł. Przecież ona nie żyje? Przecież ja nie żyję?

Nie... uświadamiam sobie powoli, powracając na ziemię. Ona żyje, straciła tylko przytomność. Nie wiem dlaczego, ale spełniam polecenie Cyrusa. Całuję kobietę, aż czuję słodki smak. I nagle świat wybucha. Rozlega się potężny grzmot, jak gdyby cała flota jednocześnie wystrzeliła z armat. Przez chwilę

## Rozdział 1

### San Francisco, czasy współczesne

Jesień dobiega końca, ale dzień jest wyjątkowo gorący jak na San Francisco. Wstały już poranne mgły i słoneczne promienie docierają do mojej bladej skóry, chociaż nie dają mi ani trochę ciepła. Przez cały ostatni rok byłam blada jak ściana bez względu na to, jak wiele czasu spędzałam na słońcu. Jest mi też bez przerwy zimno. To zawsze był znak, że zbliża się śmierć. Traktowałam to ciało wyjątkowo bezwzględnie i w końcu zaczęło mi za to odpłacać.

Ze skrzywioną miną opieram się na jednym ze stalowych leżaków rozstawionych tu i tam nad basenem na dachu naszego apartamentowca. Mieszkam w szklanej wieży ze szkła, złożonej z samych geometrycznych kształtów i błękitnych powierzchni, która wyrasta wysoko nad całą Somę, jedną z centralnych dzielnic miasta. Słońce odbija się od powierzchni basenu i robi się niemal zbyt jasno. Światło razi mnie mimo ogromnych okularów słonecznych. Mrugając, obserwuję kolibra, który jak szalony fruwa zygzakiem między rubinowymi powojami wylewającymi się z galwanizowanych donic upolowanych przeze

mnie na pobliskim pchlim targu. Zawsze zadziwia mnie widok ptaków na wysokości dwudziestu pięter, w samym środku miasta. Skąd wiedział, że znajdzie tu kwiaty? Czy to instynkt zawiódł go tak wysoko w górę, czy ślepy traf?

Czy kiedy ja spróbuję ulecieć, także szczęśliwie znajdę to, czego szukam?

Moje obecne życie - bezustanny chłód, ból co chwila ogarniający wszystkie moje stawy, trudności z oddychaniem przy każdym, najmniejszym ruchu -nie zostawiło mi innego wyboru. Choć raz ciało wydaje mi się równie zmęczone jak dusza. Włóczyłam się po całej kuli ziemskiej przez sześćset lat -nadszedł czas, by porzucić to życie i zobaczyć, co czeka mnie dalej. Kłamałabym, twierdząc, że nie czuję przerażenia, ale ilekroć tylko o tym myślę, przenika mnie dreszcz ekscytacji. Już od tak dawna nie odważyłam się wyruszyć w nieznane.

- Znam to spojrzenie. Co tam kombinujesz? - pyta Charlotte, moja najlepsza przyjaciółka, która właśnie wychodzi przez szklane drzwi na dach. Ma tacę z mrożoną herbatą. Wilgoć już zbiera się jak drżące diamenty na zimnych szklankach. Gdy podnoszę swoją, małe kropelki spadają na ziemię i niemal w tej samej chwili zamieniają się w parę.

Zakładam okulary na ciemne włosy i uśmiecham się do Charlotte.

- Nic takiego - kłamię. - Po prostu cieszę się słońcem.

Nawet jej nie mogę powiedzieć, że zamierzam umrzeć. Cyrus nigdy nie pozwoliłby mi odejść - nie bez walki, którą na pewno bym przegrała. Nade wszystko pragnę uwolnić się od mężczyzny, który kontroluje

mnie siłą swoich pięści, słów i żelaznej woli. To on sprawił, że stałam się tym, czym jestem.

Charlotte mruży orzechowe oczy, ale nic nie mówi. Przyjaźnimy się od dwustu lat, więc trudno mi cokolwiek przed nią ukryć, ale wiem też, że nie będzie się wtrącać. Lubię w niej to zrozumienie i akceptację - tego będzie brakowało mi najbardziej, gdy odejdę. Tego i słońca. Ale nie mogę sobie pozwolić na myślenie o tym, co zostawię za sobą. Jeśli mój plan w ogóle wypali.

Charlotte krąży po dachu, roznosząc napoje naszym przyjaciołom. Jared wyciąga piersiówkę, żeby doprawić swoją porcję. Wygląda jak pirat, czyli zupełnie tak samo, jak w roku 1660, kiedy się poznaliśmy. Ma w uchu całą linię ćwieków i kół, które wyglądają jak poszarpana linia brzegowa. Amelia nie chce nic pić. Jej bardzo jasne włosy błyszczą w słońcu, a mocna opalenizna kontrastuje z moją mlecznobiałą skórą.

Charlotte z nieśmiałym uśmiechem zbliża się do Sébastiena, który ma długie dredy upięte w koński ogon. Mężczyzna opiera się o pomarańczową, metalową barierkę wokół dachu. Zauważam, że gdy bierze od niej szklanke, muska palcami jej dłoń. Charlotte kręci głową, lekko zażenowana. Miedziane loki opadają jej na twarz.

Zawsze uwielbiałam rude włosy mojej przyjaciółki - z podobnymi kiedyś przyszła na świat. Wszyscy przeszliśmy podobną drogę: gdy Cyrus zrobił z nas Wcielonych, zaczęliśmy eksperymentować z najróżniejszymi kształtami. Próbowaliśmy różnych ciał: starych, młodych, męskich, żeńskich... Ale doświadczenia te rodziły tylko duży mętlik w głowie, więc w końcu znaleźliśmy sobie takie postaci, które przypominały

nam nasz dawny ludzki wygląd. Ja już od stuleci używałam innych ciał - przeważnie miałam piwne oczy i długie ciemne włosy.

Szklane drzwi otwierają się po raz kolejny: wchodzi Cyrus, nasz przywódca. Ma na sobie znakomicie skrojony czarny garnitur, który ładnie kontrastuje z platynowymi włosami i podkreśla smukłą, strzelistą sylwetkę. Na szyi Cyrusa wisi fiołka z eliksirem, który przemienił nas we Wcielonych. Nie mogę odmówić mu urody, choć już od dawna jego wygląd nie działa na mnie tak jak kiedyś.

Siada obok, omiata mnie spojrzeniem lodowato błękitnych oczu i zaborczym gestem przeczesuje mi włosy palcami. Drzę, ale się nie odsuwam.

- Chcę porozmawiać z wami o przyjęciu Sery -mówi.

Tak, o przyjęciu na moją cześć. Pewnie należałoby je nazwać raczej egzekucją.

Prostuję się. Mięśnie z trudem dźwigają ciężar mojego ciała. Przez chwilę kręci mi się w głowie. Gdy znów odzyskuję ostrość widzenia, patrzę na kolibra, który uwija się między kwiatami lilii. Jego czerwone skrzydełka stają się jedną rozmazaną plamą.

- Odbędzie się w Szmaragdowym Mieście - ogłasza. Amelii jaśnieją oczy. To najbardziej ekskluzywny klub w San Francisco. Zdarza się, że nie wpuszczają tam nawet ważniejszych i piękniejszych osobistości niż Cyrus.

Jared wydaje z siebie niski gwizd i przysuwa krzesło bliżej Cyrusa. Metal skrzypi niemiłosiernie o beton.

- Wyciągamy wszystkie zaskórniaki, tak? Amelia chichocze, znów wystawiając się do słońca.

- Nasza święta Sera rzadko decyduje się przyjąć nowe ciało.

Wyczuwam podskórną złośliwość, ale nie daję się sprowokować. Amelia ma rację. Odwlekałam ten moment tak długo, jak potrafiłam. W jednym ciele możemy przetrwać około dziesięciu lat, nawet jeśli jest chore, zepsute albo uszkodzone po latach złego użytkowania. Gdy wtłaczamy w nie swojego ducha, ciało regeneruje się, ale koszty energetyczne tego procesu przynoszą mu zagładę. Jakies pięć do dziesięciu lat później organy wewnętrzne zaczynają szwankować. W przeciwieństwie do moich przyjaciół, staram się używać jednego ciała tak długo, jak to tylko możliwe, zamiast beztrąsko zmieniać je jak sukienki. Nawet Charlotte zabija bez wyrzutów sumienia. To jedyny sposób, by pozostać przy życiu, mawia. Czemu miałybyśmy marnować taki dar?

- Mój skarbek - szepcze czule Cyrus, przyciągając mnie tak blisko, że muszę mu usiąść na kolanach. - Będzie mi brakowało tego ciała. Jeszcze tylko tydzień. Ale nie martw się, znajdziemy ci coś równie pięknego.

Amelia patrzy na mnie spode łba.

On mnie kocha, nigdy w to nie wątpiłam. Jestem jego węzełkiem pamięci, ostatnią osobą, która łączy go z ludzką przeszłością, z ciałem, w którym się urodził. Sam Cyrus mi to mówi, miażdżąc mnie w uścisku, po którym następnego dnia zostają mi siniaki.

- Umarłbym bez ciebie, Serafino.

Jared i Sébastien sobie poradzą, o ile tylko będą słuchać rozkazów. Amelia się ucieszy, gdy zniknę z jej życia - zawsze kochała się w Cyrusie. Martwię się jednak o Charlotte. Cyrus nigdy jej nie lubił.

Poznałam ją w Nowym Jorku, na początku XIX wieku. Kupiłam od niej kwiaty, po czym, ku irytacji Cyrusa, zaczęłyśmy się przyjaźnić. Zabierałam ją na zakupy, na które nie byłoby jej stać, a Charlotte w zamian obdarzała mnie niezliczonymi historiami na temat swoich siedmiu braci. Gdy pewnego dnia nie znalazłam jej tam, gdzie zwykle handlowała, ruszyłam na poszukiwania. Zastałam ją w domu: ona i młodszy brat, Jack, umierali na szkarlatynę.

Długo błagałam Cyrusa, żeby pozwolił mi ją ocalić, aż w końcu dla świętego spokoju wyraził zgodę. Nie sądzę, by zdawał sobie sprawę z konsekwencji. W końcu zyskałam sojuszniczkę, kogoś, kto znał mnie naprawdę. Przemieniłam ją w zabójczynię, żeby tylko zyskać przyjaciółkę i będę tego żałować przez całą wieczność.

Koliber zbliża się do barierki, po czym nurkuje pod nią i ulatuje w przestworza. Kątem oka widzę, że Amelia obserwuje go ze swojego miejsca. Zanim Cyrus ją przemienił, była akrobatką i sama zarabiała na życie lataniem.

Cyrus przeniósł spojrzenie na pozostałych.

- Amelio, ty zajmiesz się listą gości. Naturalnie, pod moim uważnym nadzorem. - Rozpromienia się. - Chcę, żeby Seraphina miała szeroki wybór.

Tak naprawdę to ma być jego szeroki wybór. To on zamierza zdecydować, jakie przybiorę ciało - zawsze tak to się kończyło. Szuka ulubionego typu: kruchej budowy ciała, długich ciemnych włosów, zdrowej oliwkowej skóry. Moja ofiara zwykle była kimś w rodzaju niedoszałej modelki, która zaczęła brać narkotyki, albo nieco szalonej poetki bez szans na dożycie trzydziestki. Już od dawna przestało mnie obchodzić, jak wygląda moje ciało. Chcę tylko być pewna, że mój



nowy gospodarz ma dość życia lub na nie nie zasługuje.

Mam tylko jedną prośbę.

- Nie zapraszaj nikogo zbyt młodego, dobrze? Amelia uśmiecha się, jednak bez okrucieństwa:

raczej rzeczowo.

- Nie martw się, zaraz po będziesz mogła polecieć do spowiedzi.

- Jaredzie, - ciągnie Cyrus - ty zajmiesz się ochroną. Nie życzę sobie udziału klubowych bramkarzy. Potrzebujemy dyskretnego personelu.

- Naturalnie, Cy - przytakuje Jared, odgarniając czarne włosy z wytatuowanej szyi.

Na dźwięk słowa ochrona czuję gwałtownego kopa adrenaliny. Jared nie będzie się patyczkował. Wie, że to nie jest zwykła potańcówka. Ktoś zginie.

Staram się panować nad oddechem, chociaż jest on coraz płytszy i szybszy. Zerkam w dół, usiłując powstrzymać się od nerwowego obmacywania ciężkiego pierścienia na lewej dłoni. Stary granat w oku odbijał słońce jak kielich czerwonego wina - albo krew.

Poprosiłam Cyrusa, by mi go kupił kilka tygodni temu, pewnego mglistego dnia w Hayes Valley.

- To antyk z epoki wiktoriańskiej - wyjaśniła sprzedawczyni. W myślach podziękowałam innej klientce, która akurat w tym momencie odciągnęła uwagę ekspedientki. Dzięki temu nie powiedziała nam więcej. To nie była zwykła wiktoriańska błyskotka, tylko pierścień truciciela, z ukrytym zagłębieniem pod krwistoczerwonym klejnotem. Nie było tam wiele miejsca, ale wystarczyłoby na malutką szczyptę proszku albo pojedynczą tabletkę. Nie potrzebowałam więcej.

Sébastien, który do tej pory nie wypowiedział ani słowa, teraz rzuca mi zmartwione spojrzenie.

- Wszystko w porządku? Chyba jesteś zmęczona. Cyrus sztywnieje.

- Sera czuje się znakomicie - stwierdza chłodno. - Prawda? - Wyczuwam furie Cyrusa, rozpalającą mu ciało. Nie znosi, gdy ktokolwiek poza nim twierdzi, że wie, jak się miewam. Zupełnie, jak gdyby on jeden miał do tego prawo.

- Po prostu jestem trochę... podekscytowana - odpowiadam ze słabym uśmiechem.

Cyrus ciężko wzdycha, po czym staje w słońcu, które okala jego złociste włosy jak aureola.

- Chyba już dość na dziś. Dokończymy później. Sébastien, zostań, potrzebuję cię do wyboru didżejów.

Sébastien nieczęsto pozwala sobie na uśmiech, teraz jednak odsłania wszystkie lśniące zęby, które odcinają się od brązowej skóry. Muzyka to jedna z bardzo niewielu rzeczy, które jeszcze go obchodzą. Muzyka i Charlotte. Mam nadzieję, że pocieszy ją, gdy mnie już nie będzie - i że zdoła ją ochronić. Jeśli Cyrus nabierze podejrzeń, że pomogła mi w ucieczce... no cóż, zabijał już za o wiele mniejsze przewinienia.

## Rozdział 2

Chyba chcę kawowe. Albo pistacjowe... Albo, bo ja wiem, o smaku zielonej herbaty.

Charlotte upina loki w luźny ogon na czubku głowy.

- Możesz wziąć wszystkie. Poza tym jutro dostajesz specjalny bonus w postaci nowego ciała. Nie musisz dbać o zdrowie odżywianie.

- Racja - odpowiadam. - W takim razie chyba wezmę jeszcze ciepłe toffi.

W noc przed moim przyjęciem niebo jest czyste i widać jasny księżyc. W taką pogodę wystarcza mi lekka marynarka. Biorę Charlotte pod ramię i kuśtykam na tyle szybko, na ile pozwalają mi obolałe mięśnie. Ciągnę ją w stronę Michaela, mojej ulubionej lodziarni w San Francisco - a może i na całym świecie.

Chociaż za czasów mojego dzieciństwa nie było jeszcze lodów, razem z mamą doprawiałyśmy śmietanę owocami i ziołami z ogrodu. Gdy ojciec wyjeżdżał, często zostawałyśmy do późna i jadłyśmy ją w kuchni, ubrane tylko w nocne koszule. Niemal sto lat później, gdy poskarżyłam się Cyrusowi, że tęsknię za matką, poczęstował mnie pierwszym kęsem prawdziwych lodów. Na widok rozkoszy na mojej twarzy uśmiechnął się triumfalnie.

- Widzisz? Po co tęsknić za przeszłością, skoro przyszłość przynosi nam o wiele lepsze rzeczy?

- Wciąż nie wierzę, że Cyrus spuścił cię z oka na dzień przed przemianą - mówi Charlotte, gdy skręcamy za róg i ruszamy w stronę lodziarni. Wyteżam wzrok, by wypatrzyć specjalności dnia wypisane neonowymi literami na oknie. Orzech, malinowy wir i miętowy szron.

- No wiesz, musi się w końcu nauczyć, jak sobie radzić beze mnie - mówię lekkim tonem. Od jutra, dodaję w myślach.

Nie chciał, żebym gdziekolwiek wychodziła.

- Jest jeszcze tyle do zrobienia w kwestii przyjęcia... - protestował, ale ugiął się, gdy zaczęłam błagać. Nigdy nie potrafił oprzeć się mojej smutnej mince. Przyznaję, że to dziecinne, ale przynajmniej efektywne, a mnie zależało na ostatnim wieczorze z przyjaciółką.

Wchodzimy do lodziarni i natychmiast owiewa nas chłodne słodkie powietrze. Wnętrze wygląda tak, jak gdyby jakieś tornado porwało cukiernię ze Środkowego Zachodu i upuściło ją w samym centrum San Francisco. Ściany zdobią kolorowe drewniane kształty kur, krów i kukurydzy, a z sufitu zwisają zardzewiałe puszki z farbą. Poza nami w pomieszczeniu jest tylko dziewczyna za kontuarem, której włosy przypominają kolorem sorbet błękitny księżyc. Dwa kolczyki wystające z dolnej wargi wyglądają jak kły. Na nasz widok na chwilę przestaje szeptać do słuchawki i podaje nam zamówione rożki, ale błyskawicznie wraca do plotek.

Charlotte i ja siadamy tam gdzie zwykle, ustawiając krzesła przodem do okna, by widzieć przechodzących ludzi.

- Gerald, rok 1913 - mówi Charlotte bez słowa wstępu, wskazując mi faceta po czterdziestce, który ma obwisły podbródek i solidne pęki włosów wyrastające z uszu. Zawsze bawimy się w tę grę. Chociaż o ile wiemy, jesteśmy jedynymi Wcielonymi na świecie, zawsze zastanawiamy się, kto jeszcze mógł znaleźć sposób na nieśmiertelne życie. Może jakiś kamień filozoficzny pozwala ludziom na zawsze pozostać w pierwszym ciele? Przyglądamy się przechodniom

i zgadujemy, kto mógłby być kim z naszej przeszłości.

- Nie... - Marszczę brwi. - Gerald miał włosy w nosie, nie w uszach.

- Racja - prycha Charlotte, po czym zjada trochę lodów o smaku kawy z czekoladą.

Jest piątkowy wieczór, więc przed oknami paradują całe tłumy nastolatków w modnych, przylegających czapkach i singli śpieszących się na randki. Nikt nie wygląda znajomo. To wszystko są nowe ciała.

Po kilku minutach zdobywam się w końcu, żeby wypowiedzieć na głos pytanie, które dręczyło mnie, odkąd tylko postanowiłam umrzeć.

- Wierzysz w prawdziwą reinkarnację? Charlotte patrzy na mnie orzechowymi oczami.

- Co masz na myśli?

- Co się dzieje z ludzkimi duszami po śmierci? Czy one po prostu gdzieś ulatują, czy rodzą się na nowo, w innych ciałach, bez wspomnień o przeszłych żywotach? A co z naszymi duszami? Żyjemy już tak dawno, że mogłyby w ogóle sobie nie poradzić.

Charlotte w zamyśleniu odgryza kęs rożka i chrupie go przez chwilę

- Wiesz, co twierdzi Cyrus.

Tak, oczywiście, wiem. Opowiedział mi o swojej teorii w roku 1666, gdy siedzieliśmy razem w łódce na

Tamizie podczas wielkiego pożaru Londynu. Gdy patrzyliśmy, jak płonie świat wokół nas, wyznałam mu, że czasem marzę o tym, by umrzeć i dołączyć do rodziców w niebie. Atak furii, który ogarnął Cyrusa, był bardzo gwałtowny i intensywny. W jego oczach zamigotały czerwone płomienie i po raz pierwszy w życiu wzbudził we mnie autentyczny strach.

- Dusza to tylko skupisko energii, które utrzymuje w jednoświ wola albo, jak w naszym przypadku: długoletnia praktyka - powiedział z wściekłością. - Dusze Wcielonych różnią się od ludzkich. Jesteśmy silniejsi.

- Ale... - zaczęłam.

Chwycił mnie za ramię tak brutalnie, że wbił mi paznokcie do krwi.

- Ludzi nic już nie czeka po tym życiu, ale twoja dusza jest silna, zbyt silna. Gdy zostaniesz zabita, ta dusza będzie chciała odejść, ale po latach wcielania nie będzie już wiedziała jak. Staniesz się wygłodniałym duchem, który nie będzie w stanie działać w materialnym świecie. - Myśl, że mogłabym zostać na ziemi w czysto duchowej postaci, zupełnie mnie przeraziła. Przytuliłam się do Cyrusa w poszukiwaniu pocieszenia, a miasto, w którym dorastałam, obracało się w popiół na moich oczach.

Teraz jednak, gdy mierzę się z własną śmiertelnością na poważnie, muszę zadać sobie to pytanie: Skąd właściwie Cyrus miałby wiedzieć, co będzie dalej? Czy mówił to tylko po to, żeby mnie odstraszyć, żebym na zawsze została przy nim i nie zostawiała go samego na świecie?

- Nie obchodzi mnie, co twierdzi Cyrus - odpowiadam, patrząc na młodą parę, która całuje się pod latarnią. - Interesuje mnie twoje zdanie.

W odbiciu na szybie widzę, że Char opuściła kąciki warg. Bardzo rzadko pozwalamy sobie na lekceważenie wobec Cyrusa, nawet kiedy go z nami nie ma. Teraz także Charlotte czuje się skrepowana. Mimo wszystko postanawia mi odpowiedzieć.

- Chyba wszystko jest możliwe. - Opuszcza oczy i zniża głos do szeptu. - Czasem mam nadzieję, że Jack wciąż gdzieś tam jest.

- Ja też nadal szukam mamy - mówię, dotykając jej ramienia.

W milczeniu kończymy lody, wsłuchując się w elektryczny szum zamrażarek i szczęśliwy śmiech dziewczyny. Młoda ekspedientka nie zdaje sobie sprawy, że obok siedzą dwie doświadczone morderczynie. Nagle Charlotte wskazuje mi coś, co przemyka przed oknami.

- Seamus, ten Irlandczyk, rok 1878! Marszczę brwi.

- Co, ta wiewiórka?

- No! Cały czas gromadził jedzenie. I miał ponadwymiarowe przednie zęby - dodaje złośliwie.

- Jesteś okropna! - śmieję się.

- Przecież wiem, że mnie kochasz - odpowiada, poważniejąc. - Sero, widzę, że stresujesz się przed jutrzejszym wieczorem. Ale wszystko pójdzie dobrze, obiecuję.

Mam gułę w gardle. Odwracam wzrok, żeby niechcący się nie zdradzić.

- Robiłaś to miliony razy - ciągnie Charlotte. -Cyrus na pewno znajdzie ci fantastyczne ciało.

- Ale nie sądzisz, że to jest złe? - naciskam. - Jakim prawem decydujemy o tym, kto umrze, a kto przeżyje?

- Takie jesteśmy, Sero. Takiego dokonaliśmy wyboru. Żałuję, że wszyscy nie mogą być tacy, jak my. -

To, czego nie dopowiada, to: „żałuję, że Jack nie stał się taki”. Bardzo trudno było mi namówić Cyrusa, by przemienił Charlotte we Wcieloną. Nigdy nie zgodziłby się przyjąć także jej brata.

- Yhy - mówię tylko, nie chcąc się kłócić z Charlotte naszej ostatniej wspólnej nocy. Godziłam się ze śmiercią przez całe sześćset lat. Chyba nie mam prawa jej popędzać. - Wracajmy do domu. Jestem w nastroju na *Ja cię kocham, a ty śpisz*.

- Znooowu? - jęczy Charlotte.

- Owszem! To mój ukochany film. - Zrywam się na drżące nogi i macham na pożegnanie niebieskookiej dziewczynie. Jest tak pochłonięta rozmową, że dopiero głośny dzwonek nad drzwiami zwraca jej uwagę, że wychodzimy.

- Zapraszamy ponownie! - krzyczy, jak za każdym razem, gdy żegna klientów.

Na zewnątrz zerwał się wiatr, który przynosi ze sobą słaby aromat jesieni. Zawsze kojarzyłam go z nowymi możliwościami.

- No dobra. - Charlotte w końcu daje za wygraną, przedzierając się z szelestem przez stertę opadłych liści na chodniku. - Możemy obejrzyć *Ja cię kocham, a ty śpisz*. Ale potem *Casablancę*, dobrze?

- Znooowu? - przedrzeźniam ją, za co Charlotte daje mi kuksańca i zaczynamy się śmiać. Znów biorę ją pod rękę i przyciągam bliżej do siebie. - Nigdy nie wiadomo, Char. Może Jack jest teraz z nami.

Charlotte unosi rude brwi i uśmiecha się melancholijnie.

- Może.

Wracamy do domu. Opieram się o Charlotte, żeby nie stracić równowagi. Chciałabym, żeby ta noc i nasza przyjaźń mogły trwać wiecznie. Ale zgadzam



się na to, by przeżyć po prostu te kilka chwil. Choć zabrało mi to sześćset lat, w końcu coś zrozumiałam. Czasu nie da się oszukać. Wszystko - nawet ja, a pewnego dnia nawet i Charlotte - musi kiedyś się skończyć.

### Rozdział 3

Następnego ranka, w dzień pożegnalnego przyjęcia, budzę się w pustym domu. Źle spalam. Choćbym nie wiem, jak się wierciła, i tak nie mogę już znaleźć wygodnej pozycji. Zimne, szare prześcieradła zbyt dobrze pasują do mojej chorej wybladłej skóry. Kości wystają mi na wszystkie strony.

Narzucam na siebie biały szlafrok frotte i po cichu wychodzę z pokoju. Wystrój wewnątrz jest nowoczesny, a kolorystyka biało-beżowa, przez co jestem tu prawie niewidoczna. W kuchni znajduję dzbanek z kawą. Obok stoi mój kubek, a za nim wazon z pojedynczym, aksamitnym kwiatem powoju. To najbardziej kolorowa rzecz w całym pomieszczeniu. Pod lśniącą, srebrną łyżeczką leży kartka. Prostuję ją sztywnymi palcami i widzę piękne, odręczne pismo Charlotte.

*Dzień dobry, S, Amelia i ja wyszliśmy, a chłopcy są w klubie. Potem możemy się razem naszykować. Zgoda?*

*Char*

Sączę kawę, zachwycona ciepłem, które przelewa się przez moje ciało. Staję przed lustrem, w łazience, którą dzielę z Cyrusem i pozwalam, by szlafrok osunął się na podłogę, odsłaniając moje ciało. Patrzę na

siebie bez emocji. Jestem za chuda, wystają mi żebra i obojczyki, aż w skórze tworzą się ciemne zagłębienia. Wyglądam chorowicie. Słabo. Mimo wszystko spierzchnięte usta wykrzywiają mi się w uśmiechu. Śmierć będzie najbardziej bohaterskim i ludzkim wyczynem, na jaki zdobędę się w ciągu ostatnich sześciuset lat.

Po gorącym prysznicu ubieram się w ulubione spodnie barwy spłowiałej zieleni i puchatą bluzę z kapturem. Idę do biblioteki Cyrusa. Jest zamknięta - żadne z nas nigdy nie śmiało wejść tam bez jego pozwolenia - ale wiem, gdzie trzyma klucz. To jedyne pomieszczenie w naszym domu, które nie jest schludne i nowoczesne. Regały ciągną się od podłogi aż po sufit. Stoją na nich ręcznie oprawione tomy, książki o zszywanych, koptyjskich grzbietach i bardzo stare księgi w wielkich skórzanych okładkach. Na podłodze leży orientalny dywan w czerwono-turkusowe wzory, to pamiątka z czasów naszego pobytu w Iranie. Pachnie tu starym papierem, ale da się też wyczuć woń mydła Cyrusa, z nutami kuskusu i cedru.

Oto jego kolekcja, setki lat rozwoju wiedzy zgromadzone w jednym miejscu. Chociaż Cyrus fascynuje się postępem ludzkiej wiedzy i nowymi technologiami, nic nie może mu zastąpić tych wysłużonych tomów. Mają nad nim władzę talizmanu i dlatego właśnie nikomu nie wolno tu wchodzić. Przewoziliśmy tę bibliotekę do każdego nowego miasta. Krzywię się na wspomnienie kłopotów, których przysporzyła nam na trasie z Barbadosu do Nowego Amsterdamu. Co najmniej jedna osoba oddała życie za te książki.

Przebiegam palcami po grzbietach, aż znajduję to, czego szukam. Wyciągam z regału cienką książkę. Jest zamknięta na kłódkę, jak pamiętnik. Nie muszę

jednak jej czytać, by wiedzieć, co jest w środku: przepis na eliksir. Cyrus, syn alchemika, nauczył się sporządzać wywar, który rozwiązuje srebrną wstążeczkę łączącą duszę z ciałem. Zawsze nosi na szyi małą fiolkę. Wystarczy tylko kilka kropel, by przemienić człowieka w jednego z nas, Wcielonych. Jesteśmy duszami, które nie mają już własnego ciała i mogą żyć wiecznie, kradnąc cudze egzystencje. Musieliśmy wypić eliksir tylko raz, potem już zmienialiśmy postaci, ilekroć nam się podobało.

Cyrus mógł już nauczyć się przepisu na pamięć, ale jest szansa, że go nie zna - w końcu nie przemieniał nikogo już od prawie stu lat. Ta szansa to dla mnie dość.

Siadam przy jego biurku i wyciągam jeden arkusik kremowego papieru listowego.

*Drogi Cyrusie,*

*był taki czas, że Cię kochałam, kochałam z całego serca. Żyłam, w tej czy innej postaci, tylko dlatego, że przez te wszystkie wieki nie potrafiłam się z Tobą rozstać. Jednak oboje zmieniliśmy się przez te lata, i to na gorsze. Każda śmierć, którą spowodowaliśmy, zabijała po troszeczku naszą miłość. Nie potrafię już zabijać ludzi, by żyć dalej. Gdy moje obecne ciało obróci się w proch, ja także będę stracona.*

*Do zobaczenia w następnym życiu,*

*Seraphina*

Po powrocie do pokoju składam list i wkładam go do kieszeni sukni, którą dziś włożę. Wszystko jest na swoim miejscu. Drzwi staną przede mną otworem, będę tylko musiała przez nie przejść.

O zmroku mgła zgęstniała już tak bardzo, że nie widzę nic, co znajduje się dalej niż sześć metrów. La-

tarnie żarzą się bursztynowym blaskiem, który przypomina mi płonące minerały. Cyrus oczarował mnie kiedyś kolorowymi ogniami - zamiast kwiatów. Białe proszki w jego dłoni nie zdradzały ani trochę, jakie barwne płomienie z nich powstaną. To była magia, te ognie lśniące na czerwono, na fioletowo albo jak oczy kota polującego w ciemnościach. Oczywiście teraz wiem, że naprawdę to tylko nauka: boraks, chlorek miedzi, siarczan potasu.

Dochodzi dziesiąta, gdy wraz z Charlotte docieram do Szmaragdowego Miasta. Reszta spędziła w klubie cały dzień. Przed drzwiami zebrał się wielki tłum. Bramkarze stoją tak, by zagradzać przejście i sprawdzają listę gości. Jared obdarza mnie pełnym aprobaty spojrzeniem, po czym zmusza ludzi do rozstąpienia się tak, byśmy mogły wejść.

Drzę z zimna. Mam na sobie jedwabną suknię w barwach ostryg, będącą współczesnym odpowiednikiem stroju, w którym umarło moje pierwsze ciało. Zawsze ceniłam sobie symetrię. To godny hołd dla mojego pierwszego wcielenia. Po wewnętrznej stronie stanika mam przyczepiony mały kluczyk samochodowy. Płasko przylega do mojego serca. Nie mam na sobie biżuterii, z wyjątkiem pierścienia trucicieli. W tajnym schowku skrywa się mój pożegnalny dar dla Cyrusa.

Chwilę po przekroczeniu progu oszałamiają mnie dudniące basy i głośne rozmowy. Powoli wspinam się na schody. Moje serce z trudem jeszcze bije. Charlotte kładzie mi rękę na plecach.

- Naprawdę nie powinnaś tak długo zwlekać ze zmianą ciała  
- szepcze zmartwiona. - Przeginasz.

- Przecież znasz mnie - mówię z wymuszonym śmiechem. -  
Lubię życie na krawędzi.

Cyrus czeka na nas zaraz za drzwiami. Wymownie mruga w blasku podłogowego oświetlenia.

- Wyglądasz przepięknie, Seraphino - szepcze, przyciągając mnie do siebie. Otacza mnie silnymi ramionami i owiewa zapachem ziół. Przed oczami staje mi nagle tamten bal maskowy, ale nie pozwalam sobie na wspomnienia. Nostalgia jest dziś moim wrogiem. Nie mogę patrzeć wstecz.

- To niesamowite - mówi Charlotte, wyglądając zieloną suknię z cekinów. - Jeszcze nigdy nie byłam w Szmaragdowym Mieście.

Wnętrze klubu udekorowane jest najróżniejszymi odcieniami zieleni. Aksamitne poduszki mają barwę wilgotnych igieł sosnowych, żyrandole z przydymionego szkła są seledynowe, a tapety - turkusowe. Kelnerki krążą po tłumie z tacami, roznosząc absynt i melonowe koktajle midori w malutkich, kryształowych szklaneczkach.

Jeszcze nie tak dawno byłabym zachwycona takim przyjęciem - tańce do świtu, przemykanie przez tłum z tajną misją, decyzja, podjęta po wymianie spojrzeń z Cyrusem, wybór, kto będzie moją ofiarą. Jest w tym niewątpliwie coś podniecającego. W tej pewności, że choćby nie wiem co, zawsze mogę zmienić ciało. Stać się nową osobą i zaprezentować światu zupełnie inną twarz. Gdybym tylko mogła równie łatwo pozbywać się wspomnień.

- Twoja suknia świetnie tu pasuje - mówię do Charlotte. - Ale w pierwszej książce o Oz, Szmaragdowe Miasto nie jest naprawdę zielone. Czarnoksiężnik każe wszystkim nosić zabarwione na zielono okulary, więc takie je widzą.

Cyrus marszczy brwi, jak gdybym krytykowała jego wybór miejsca. Kładę mu rękę na ramieniu.

- Chyba pójdę po kieliszek szampana. Rozpromienia się.  
- Świetny pomysł, idź po jakiegoś drinka i nie zapomnij dobrze się rozejrzeć... - kończy zdanie z chytrym uśmieszkiem i wymownym spojrzeniem. Robi mi się niedobrze, ale zmuszam się do odwzajemnienia uśmiechu.

Charlotte i ja przechodzimy przez parkiet, który pulsuje od roztańczonych w rytm elektronicznej muzyki ciał. DJ gra remiks starej piosenki Neila Younga *Heart of Gold*. Nagle czuję nieprzewyciężony smutek.

„Przemierzyłem ocean dla serca ze złota. I kończy mi się czas”.

Charlotte ogląda się za siebie, sprawdzając, czy idę za nią.

- Po tej piosence idziemy tańczyć?! - Musi krzyczeć, żebym ją usłyszała. Biorę ją za rękę i ściskam lekko. Dobrze.

Prosi barmana o dwie kwaśne midori z arbuzem. Wznosimy toast.

- Za nowe początki i starych przyjaciół - mówi.  
- Twoje zdrowie. - Uśmiecham się i stukam w jej szklanekę.  
- Za wieczną przyjaźń.

Zimna arbuzowa słodycz midori sączy mi się w gardło. Przypominam sobie pewne lato w Alabamie. Cyrus znalazł dla nas opuszczoną farmę ze wspaniałą czerwoną stodołą z tyłu i potężnym zagonem arbuzów. Charlotte i ja spędzałyśmy długie godziny w chłodnym cieniu stodoły, wachając zapach siana i koni. Jadłyśmy arbuza za arbuzem i wróżyłyśmy sobie z lepkich, czarnych pestek.

Chciałabym się zakochać.

Chciałabym żyć wiecznie.

Chciałabym, żeby nasza przyjaźń przetrwała do końca świata.

Zostało mi już tylko jedno życzenie dla Charlotte. Nagle poważniejąc, chwytam ją za nadgarstek.

- Charlotte, musisz powiedzieć Sebastienowi, co czujesz. Obiecuj mi, że to zrobisz.

Charlotte przestaje się uśmiechać.

- Przecież wiesz, co by powiedział Cyrus.

- Chrzań Cyrusa. - Widząc jej wstrząśnięty wyraz twarzy, próbuję złagodzić ton. - Czym jest wieczne życie bez miłości?

Cyrus nagle staje za nami przy barze i obejmuje mnie w pasie ramieniem. Obracam się, żeby nie zauważył kartki, która szeleści mi w kieszeni.

- Chciałbym ci kogoś przedstawić - szepcze. Pewnie już dokonał wyboru. Nie zajęło mu to dużo czasu.

Biorę głęboki oddech i wyjmuję mu pusty kieliszek z dłoni.

- Pozwól, że załatwię ci dolewkę i zaraz idę.

Całuje mnie w szyję, po czym kiwa głową w stronę dziewczyny, która czeka samotnie pod żyrandolem. Wąskie, splecione promyki światła tańczą w jej kasztanowych włosach. Wygląda niemal identycznie jak ja, różnice są nieznaczne.

Gdy Cyrus odchodzi, przytulam mocno Charlotte.

- Dziękuję, że byłaś taką wspaniałą przyjaciółką, Char. Mówię poważnie. - Gdy wyrywam się z uścisku, mam oczy pełne łez, ale staram się, żeby nie spłynęły na policzki.

- Mój ty wrażliwcu. - Charlotte gładzi mi włosy i na moment dotyka dłońią mojego lodowatego policzka. - Przecież za chwilę zobaczę cię w nowej postaci.

Przełykam ślinę, gdy barman stawia przede mną pełny kieliszek czerwonego wina. Podnoszę go, po



czym zaczynam przepychać się przez tłum w stronę Cyrusa i dziewczyny. Gdy jestem pewna, że nikt nie patrzy, otwieram pierścień i wprawnym, dobrze wyćwiczonym gestem przrzucam zawartość do kieliszka. Ruszam naprzód i kątem oka łapię spojrzenie Cyrusa. Chyba jest zadowolony.

Czuję ukłucie żalu. Cyrus, mój ukochany alchemik, ten, który sprawił, że magia stała się rzeczywistością, który żyje dla iluzji i który mawia: To dla ciebie ogień przybiera fioletową barwę, Seraphino. Cyrus, który ściska mnie tak mocno, że omal się nie dławię i który wolałby sam mnie zabić, niż się ze mną rozstać. Sam mi to powiedział i to wielokrotnie. Dziś jednak mnie straci - i po raz pierwszy od setek lat oboje będziemy sami.

## Rozdział 4

Idę w stronę Cyrusa, dopasowując krok do bezlitosnego dudnienia muzyki. Serce mi wali i bardzo się staram, by wino nie wylało się na krawędź kieliszka. Nie patrzę na nie, bo wiem, że jestem o wiele zgrabniejsza, kiedy się o to nie staram. Zaufaj sobie, Sero Nie myśl. Działaj.

- Cześć, jestem Sera - mówię do dziewczyny, podając Cyrusowi wino. Biorę ją za rękę. Jest oszałamiająco piękna, ma bujne włosy koloru espresso i ciepłe, brązowe oczy okolone atramentowymi rzęsami. Różowy rumieniec na wydatnych kościach policzkowych ładnie kontrastuje z jasnooliwkową cerą. Nie licząc odcienia skóry, mogłybyśmy być siostrami.

- Jestem Claudia - mówi z lekkim, niemieckim akcentem. - Cyrus powiedział, że jesteś fotografem.

Cyrus wbija we mnie wzrok, żebym podjęła wątek.

- Opowiadałem Claudii o sesji, nad którą pracujesz. Wciąż jeszcze szukacie modelek, prawda?

- Tak... nadal szukamy. - Dziewczyna obserwuje mnie pełnymi nadziei, niewinnymi oczami, a ja wyobrażam sobie, jak mogłaby wyglądać ta noc. Zabrałabym ją na górę, żeby porozmawiać. Wciągnęłabym w sidła, wzbudziłabym zaufanie, opowiedziała o mie-

siącach, które spędziłam w Monachium i mojej ulubionej kawiarni, Café Frischut. W końcu sama padłaby mi w ramiona. A wtedy przytknęłabym zziębnięte usta do jej warg, rozblęśłyby fioletowe światło i poczułabym przyływ mocy. Tak objęłabym jej ciało w posiadanie.

Nagle tracę zdecydowanie. Może i moja dusza jest gotowa na śmierć, ale mam w sobie też coś takiego, co potrafi tylko walczyć o przetrwanie, bez względu na koszty. Wciąż mogę zmienić zdanie, myślę. Mogę wcielić się w Claudię, znaleźć Charlotte i porwać ją do tańca, zatracić się w nieustępliwej muzyce. Mogę wrócić do domu z Cyrusem. I pozostać Wcieloną.

Wtedy jednak patrzę na Claudię, która nerwowo obraca żelazny pierścionek na palcu wskazującym i przypominam sobie, dlaczego dokładnie nie wolno mi się wycofać.

Cyrus upija łyk wina, po czym marszczy brwi.

- Czy to pinot noir? - pyta.

Serce zaczyna mi bić jak oszalałe. Nie wiem, czy bardziej przeraża mnie to, że Cyrus wyczuje smak środka usypiającego - czy że go nie wyczuje.

- Nie - odpowiadam tak niewinnie, jak tylko potrafię. - To cabernet.

Upija kolejny łyk.

- Bardzo dobre - mówi i obdarza mnie ujmującym uśmiechem.

- Strasznie tu głośno - stwierdzam, odwracając się do Claudii. - Może pójdziemy w jakieś bardziej ustronne miejsce, żeby porozmawiać o sesji? - Cyrus znów przytyka kieliszek do warg. W myślach błagam go, żeby trochę zwolnił. Muszę zdążyć go stąd wydostać, zanim środek zacznie działać.

- Świetnie, chodźmy - odpowiada Claudia. Prowadzę ich oboje na tyły klubu. Za ciężką zasłoną z zielonego aksamitu ukryte są schody.

- Mają tam prywatną lożę. - Zerkam za siebie. Dziewczyna idzie pewnym krokiem, ale Cyrus potknął się na stopniu i omal nie upuścił kieliszka. Setki lat egzystencji w ludzkich ciałach nauczyły nas jednak niemal kocich ruchów, więc z łatwością odzyskał równowagę.

Ściany przy schodach ozdobione są jadeitowo-złotą tapetą, a w miedzianych rożkach płoną różowe żarówki. U szczytu otwiera się przed nami długi korytarz. Na straży stoją Jared i Amelia, którzy jednak odsuwają się, by nas przepuścić. Przepływam między nimi, niesiona stresem. Amelia patrzy na mnie dziwnie, jak gdyby potrafiła przejrzeć mnie na wylot. Przekrzywia głowę i ostrożnie mruży ptasie oczka. Chciałabym móc powiedzieć, że będzie mi jej brakowało, ale tak naprawdę to ulga, że już wkrótce się od niej uwolnię.

Claudia i Cyrus wchodzą do saloniku. Zamykam ciężkie orzechowe drzwi i przekręcam zamek. Cyrus jest zdziwiony - wiem, że wolałby zostawić je otwarte, żeby Jared i Amelia mogli w razie czego natychmiast przybyć z pomocą. Mimo to nie protestuje.

- Jak tu pięknie - wzdycha Claudia, przyglądając się ścianom z mlecznego, zielonego szkła, podświetlonym migoczącymi światełkami. Sufit pokrywa leciutka tkanina, która faluje miękko na wietrze, przesączającym się do środka przez otwarte drzwi balkonowe. Ten salonik z balkonem to powód, dla którego poprosiłam Cyrusa, żeby to właśnie tu zorganizował moje przyjęcie.

- Cieszę się, że ci się podoba - mówi Cyrus leciutko bełkotliwym głosem. Prowadzi Claudię w stronę

sofy, po czym zajmuje miejsce. Przeciera oczy, jak gdyby chciał oczyścić pole widzenia. Nerwowo za-czerpuję powietrza, po czym podaję Claudii kieliszek absyntu, wciąż szukając wygodnej pozycji na spiętrzonych poduszkach. Staram się nie patrzeć na balkonowe drzwi. Strasznie się boję, że nawet teraz, w osłabieniu, Cyrus będzie potrafił odczytać moje intencje. Liścik pożegnalny zaczyna mi ciążyć w kieszeni.

- Opowiedz mi coś o sobie, Claudio. Nie pochodzisz z San Francisco, prawda? - Splatam palce, żeby powstrzymać się przed nerwowymi ruchami. Cyrus wypił już połowę wina.

- Nie - odpowiada. - Jestem z Monachium.

- Przyjechałaś z przyjaciółmi? - pytam.

- Och nie, sama. Uwielbiam to. Bywałam w wielu miejscach, ale San Francisco naprawdę mnie zachwyciło. Chciałabym znaleźć tu pracę, żeby zostać na dłużej.

Chociaż Claudia przeżyje tę noc, czuję przyływ furii. Cyrus zna moje jedyne kryterium: przyjmuję jedynie ciała, które są gotowe na śmierć, czy to fizyczną, czy duchową. Ale Claudia jest ewidentnie zdrowa i szczęśliwa. Cieszy się na myśl o przyszłości. Jest samotna, piękna... i to wystarczyło Cyrusowi, żeby skazać ją na śmierć.

Cyrus uśmiecha się bez cienia wyrzutów sumienia. Jest błądy i ma rozszerzone źrenice. Przymykam na chwilę oczy, powstrzymując się od wybuchu wściekłości, chociaż gniew już wzbiera mi w sercu. Claudia uśmiecha się nieśmiało. - Opowiedz mi o tej sesji. - Krzyżuje nogi i dotyka włosów. - Pracowałam trochę w modelingu.

Muszę jakoś ukoić gniew, więc wstaję. Kosztuje mnie to tyle wysiłku, że pokój na chwilę tonie

w mglistej szarości. Powoli podchodzę do barku, czując na plecach ich spojrzenia. Wyciągam z lodówki butelkę wody.

- Sesja... - Mój głos zdradza emocje. - To reportaż z okładki. Ma być baśniowy.

- Jak w *Królewnie Śnieżce*? - pyta. - To moja ulubiona historia.

Zerkam na Cyrusa.

- Pamiętasz tę baśń. Czy o taki klimat nam chodzi? - pytam.

Cyrus robi rozmarzną minę.

- Zła królowa chce dostać wyrwane serce Królowny Śnieżki - szepcze, a we mnie coś wtedy pęka. Podchodzę do zielonej jak liść sofy.

- Ale jej się nie udaje! - mówię. - Śnieżka wymyśla podstęp i wysyła królowej serce jelenia.

Cyrus widzi, że jestem wściekła, ale uśmiecha się tylko i jednym haustem opróżnia kieliszek. Nagle zdaję sobie sprawę, jak wiele radości przysporzy mi to, co zaraz się stanie.

Raz, liczę po cichu.

Powieki Cyrusa zaczynają powoli opadać, ale nagle gwałtownie się otwierają. Jego dłoń jak wąż wyrывa się do góry i chwyta mój nadgarstek.

- Co się dzieje? - pyta Claudia. Dwa.

Nachylam się nad Cyrusem, ignorując ból w dłoni.

- Ona nie zasłużyła na śmierć. Tak jak cała reszta.

- Sera? - Głos Cyrusa jest cichy. Ucisk na nadgarstku także słabnie.

- Żegnaj - odpowiadam. Trzy.

Przez chwilę trzepocze powiekami, po czym zamyka oczy i stacza się z kanapy. Wyławiam liścik

z sukni i wsuwam mu go do kieszeni spodni. Czuję, że Cyrus mnie puszcza - stacza się na niski stół i z głośnym trzaskiem wali głową w szklany blat.

Claudia wydaje z siebie przestraszone stęknienie.

- Uciekaj! - szepczę, po czym biegnę na balkon i niczym ptak zrywający się do lotu, wychodzę prosto w noc. Jestem wolna.

## Rozdział 5

Balkon tonie we mgle. Przewieszam nogi przez barierkę, która jest wilgotna od morskiego powietrza. Dłoń ześlizguje mi się odrobinę, więc zmuszam się do koncentracji. Jeden zły ruch i wyląduję na betonie. Chcę umrzeć tej nocy, ale nie tu. Nie w taki sposób.

Słyszę, że Claudia wydziera się w saloniku. Zagryzam zęby. Szkoda, że nie doprawiłam też jej drinka. Spada mi jeden but. Gdy znika we mgle, wyobrażam sobie, jak odbija się od chodnika. Z trudem odnajduję oparcie dla stopy. Amelia uczyła mnie paru akrobatycznych sztuczek, ale to było dawno temu, a moje ciało jest już bardzo słabe.

Ciężko oddychając, kopniakiem pozbywam się drugiego buta i ignoruję dudnienie dochodzące z góry - to Jared i Amelia usiłują wyważyć kopniakami drzwi. Nie mogę sobie pozwolić na panikę, więc po prostu ruszam dalej. Powolutku schodzę na dół.

Na chodniku nie słyszę już hałasów z góry. Wszystkie dźwięki zagłusza muzyka dobiegająca z klubu. Przepycham się przez tłum, który wciąż czeka na wpuszczenie do Szmaragdowego Miasta, po czym zaczynam biec ulicą Spear.

Każde dotknięcie stopą chodnika przeszywa bólem całe moje ciało. Oddycham chrapliwie i czuję, że



zaraz stracę płuca. Ale wiem, po co biegnę, więc nie zamierzam się poddawać. Jest dwudziesta trzecia siedemnaście; mam dziewięć minut do odjazdu najbliższej kolejki ze stacji BART.

Słyszę za sobą jakiś krzyk, więc gwałtownie obracam głowę, przez co omal nie tracę równowagi. To tylko jakiś bezdomny kłóci się ze znakiem drogowym. Potem nie spuszcza już wzroku z drogi przede mną. Za bardzo boję się spojrzeć w tył.

- Sera! Stój! - wrzeszczy Jared. Biegnę jeszcze szybciej. Sukienka szeleści mi między udami. Włosy unoszą się na wilgotnym wietrze. Czuję się tak, jak gdyby skóra odpadała mi od kości i wiem, że pewnie krwawią mi stopy. Słabnące serce bije coraz mniej regularnie, trzepocze we mnie jak uwięziony ptak. Modłę się, by starczyło mi sił na dotarcie do samochodu. Tylko tyle mi trzeba, błagam moje ciało. Proszę.

W końcu ośmielam się spojrzeć za siebie. Widzę, że Jared zaczyna mnie doganiać, a Amelia jest tylko kilka kroków dalej. Jared byłby zachwycony, gdyby mógł zaciągnąć mnie z powrotem do Cyrusa jak szczeniaka, który zerwał się ze smyczy. Amelia wolałaby pewnie, gdybym znikła na zawsze, ale lojalność wobec Cyrusa każe jej dołączyć do pościgu.

Widzę już blask neonu stacji BART, czarno-niebieskie logo błyszczy się, ale trochę rozmywa we mgle. Im bardziej zbliżam się do Embarcadero, tym więcej jest ludzi na chodnikach. Spycham ich z drogi. - Te, uważaj! - słyszę czyjś krzyk. Był dziś mecz, więc wszyscy są ubrani w barwy Giantów. Jakaś kobieta w pomarańczowo-czarnym swetrze pcha przed sobą wózek. Błędnie oceniam jej zamiary, wywracam się o wózek i ląduję na kolanach na chodniku.

- Sera! Zostań tam! - W głosie Jareda zaczyna brzmieć panika. Jeśli wróci z pustymi rękami, Cyrus na pewno sobie z nim „porozmawia”. Wiem wszystko o zupełnie rzeczywistych bliźnach, które może zostawić ta rozmowa.

Podnoszę się na nogi i znów ruszam do biegu. Jared i Amelia są już tylko jedną przecznicę dalej. Oglądam się raz jeszcze. Chcę sprawdzić, czy widzą, że wbiegam na stację kolejki. Przepycham się między pijanymi fanami bejsbolu i zjeżdżam na peron. Przeskakuję przez bramkę bez płacenia, po czym ruszam w stronę podmuchu wiatru z tunelu i przemysłowych hałasów. Na stację wjeżdżają z hukiem wagony.

Peron jest pełen rozochoconych i pomarańczowych fanów Giantów. Nadjeżdża pociąg do East Bay. Tłum pcha się do środka. Kątem oka widzę własne odbicie w oknie: szalony wzrok, splątane włosy, krew ściekająca z kolan.

- Seraphina! Musisz. Się. Zatrzymać! - Natarczywy głos Jareda dobiega z bliskiej odległości. Odwracam się i nasze spojrzenia nagle się spotykają. Wpycham się do kolejki do East Bay. Ludzie ustępują mi miejsca

I czuję, że ktoś dotyka mojej ręki. Zamieram i patrzę w dół, ale to tylko staruszka siedząca przy drzwiach.

- Wszystko w porządku, skarbie?

Przytakuję bez słów, nie odrywając wzroku od peronu. Amelia i Jared w ostatniej chwili wsiadają do pociągu dwa wagony dalej.

- Zamykamy drzwi. Proszę się odsunąć - mówi konduktor.

To mój znak. Ruszam do akcji.

Słyszę tylko gwizd i tętent zbliżającego się pociągu - który ma jechać w przeciwnym kierunku. Wyskakuję z wagonu na sekundy przed zamknięciem drzwi

i przemykam przez peron. Wymijam ludzi, żeby przedostać się na drugą stronę zebranego tłumu. Pociąg na lotnisko San Francisco ze świstem otwiera drzwi. Przywieram do okna i odwracam się, by popatrzeć na kolejkę do Zatoki Wschodniej, która wciąż jeszcze nie odjechała. Jared i Amelia zostali w tamtym pociągu i wypatrują mnie w tłumie.

Wzrok Amelii nagle napotyka mój. Zostałam zauważona. Ale to już nie ma znaczenia. Ich pociąg już podrywa się do życia i wyślizguje ze stacji. Amelia i Jared utknęli na nim na czas długiego przejazdu pod zatoką, między stacjami Embarcadero i West Oakland, co daje mi dobre dwadzieścia minut, gdyby postanowili po mnie wrócić.

Przejeżdżam tylko dwa przystanki i wysiadam wraz z tłumem ludzi na ulicy Powella. Jared i Amelia na pewno pomyślą, że pojechałam dalej, w stronę centrum i lotniska. Ale gdy Cyrus się przebudzi, znajdzie list i zda sobie sprawę, że nie wybieram się na żaden samolot.

Poziom adrenaliny spadł. Jestem wyczerpana. Wciąż jednak mogę doprowadzić plan do jego mrocznego końca. Wiatr ustał, przez co mgła zbiera się grubą warstwą nad okolicą. Miasto staje się o wiele bardziej intymne, jest jak system małych, cichych pokoi. Porwany przez mgłę strumień światła płynący z latarni odbija się od metalowej powierzchni. Mrużę wzrok - to mój samochód. Ukrywałam go w pobliżu naszego mieszkania i dziś przywiozłam na miejsce. Na szybie są dwa przemoknięte mandaty za nieopłacone parkowanie, ale nie został odholowany, za co składam krótką modlitwę dziękczynną.

Kupiłam tego starego, wysłużonego forda na aukcji kilka tygodni wcześniej. Podałam sprzedawcy

falszywe imię i bez słowa skargi zapłaciłam żadaną cenę, chociaż wiedziałam, że jest wygórowana. Wręczyłam mu kopertę z gotówką. Pieniądze zbierałam wiele lat, po troszeczkę. Raz dziesięć dolarów, raz dwadzieścia... kwoty były na tyle małe, że Cyrus nigdy się nie zorientował. To nie było nawet świadome oszczędzanie na jakiś cel, kierował mną raczej instynkt. Pewnego dnia kupiłam kawę i wsunęłam resztę do książki, którą czytałam. Cyrusowi powiedziałam, że kasjer musiał mnie oszukać. Ten mały akt nieposłuszeństwa przyprawił mnie o przyjemny dreszczyk. Nareszcie miałam coś własnego.

Sięgam do gorsetu sukni i odpinam kluczyk, który przymocowałam do stanika. W bagażniku znajduję spakowaną torbę z rzeczami potrzebnymi do ucieczki. Są w niej ubrania na zmianę, książka Cyrusa i reszta pieniędzy. Zamierzam wybrać się do Big Sur. Umierając, chcę widzieć wokół siebie lasy, sekwoje i wodospady.

Wciągam dzinsy i sweter, wrzucam brudną suknię do bagażnika i nakładam adidasy na poranione stopy. Ręce trzęsą mi się, gdy zasiadam na miejscu kierowcy i wsuwam kluczyk w stacyjkę. Pulsowanie w skroniach i sina barwa palców sugerują mi, że mogę już nie zdążyć dojechać do Big Sur. Ale muszę spróbować.

Odpalam silnik i wyjeżdżam na drogę. Kieruję się na most. Kręcę głową z niedowierzaniem. Po sześciuset latach u boku Cyrusa, nareszcie jestem wolna. Już nigdy nie zabiję niewinnego człowieka - przysięgam sobie. Naciskam mocniej pedał gazu i wprowadzam samochód na most. San Francisco - i moja przeszłość - nikną za moimi plecami.

## Rozdział 6

Jadę z szeroko otwartymi oknami, żeby do ostatnich chwil cieszyć się światem i świeżym powietrzem. Asfalt świszczę mi pod kołami. Pędzę naprzód, czując przyływ podniecenia. Wiem, że to trochę upiorna myśl, ale śmierć jest dla mnie jak nieznaną przygodą. Nawet Cyrus nie wie, co się dzieje, gdy umieramy.

Z każdym kolejnym kilometrem, który oddala mnie od Cyrusa, uchodzi ze mnie jakiś ciężar. Mimo deszczu Kalifornia jeszcze nigdy nie wydawała mi się tak piękna i pełna życia. Zerkam na gwiazdy; są jak szpilki przedzierające się przez chmury, wydaje się, że w każdej chwili mogą wpaść do zatoki.

Mam nadzieję, że czekasz na mnie, mamó, myślę. Niedługo będę przy tobie.

Euforia wiele mnie kosztuje i błyskawicznie pożera ostatnie zasoby energii. Z trudem utrzymuję drżące dłonie na kierownicy. Rozmywa mi się wzrok, przez co latarnie zamieniają się w długie żółte wstęgi. Jakiś samochód trąbi, po czym wymija mnie bokiem. Boję się, że nie panuję już nad własnym ciałem.

Wzdycham cichutko i zaciskam ręce mocniej na kierownicy. Chciałam jechać aż do Big Sur, zatopić się w sosnowym lesie i słyszeć tylko zimny wiatr i pohukiwanie sów na sękatych gałęziach, ale na to już za

późno - gasnę zbyt szybko. Nie wytrzymam całej drogi. Nawet gdybym podjęła próbę, pewnie spowodowałabym wypadek i jeszcze kogoś bym zabiła.

Oakland - decyduję. Oakland to przyzwoite miejsce na śmierć, dobre jak każde inne. Droga zakręca ostro i zaczynam zjeżdżać z Treasure Island w stronę Oakland, mijając po drodze wyblakły billboard ogłaszający koniec świata, który nigdy nie nadszedł. Za nim dostrzegam gromadę żurawi służących do załadunku statków, czuwają nad portem jak oddział sędziwych strażników miasta.

Jadę ulicą Franklin w stronę placu Jacka Londona. W dokach przy Drugiej ulicy świeci tylko jedna latarnia, które podświetla małe kropelki mgły wiszące w nocnym powietrzu. Zjeżdżam w boczną alejkę i chowam głowę w dłoniach. Fala słabości narasta, po czym powoli opada. Drżąc, wyciągam kluczyk ze stacyjki, przerzucam torbę przez ramię i bezszelestnie wyruszam w ponurą noc. Staram się omijać plamy z oleju i wyboje. Idę w stronę neonu z napisem „Saloon”, który skrywa się pod przezartym przez termity okapem.

Wiem, że mam mało czasu, ale to jeszcze nie znaczy, że zamierzam umrzeć w samochodzie. Chociaż nasze pierwsze ciała po śmierci rozkładają się jak ludzkie, te ukradzione obracają się w popiół z chwilą, gdy je opuszczamy. Są wysane z wszelkiej energii, bo goszczenie cudzej duszy wiele je kosztuje. Chciałabym, żeby moje spopielone szczątki wróciły do natury, a nie wsiąkły w warstwę brudu tego starego forda.

Postanawiam, że wejdę do środka i czegoś się napiję. Muszę przyznać, że się boję, a wino zadziała znieczulająco na nerwy i doda mi odwagi, zanim wyruszę w pogoń za przeznaczeniem do krainy wielkiego nieznanego.

Gdy znajduję się już wewnątrz, stawiam torbę na ziemi i wdrapuję się na wysokie, dębowe krzesło barowe. Uśmiecham się do dwóch starszych mężczyzn, którzy siedzą koło siebie, ale nie rozmawiają. Po chwili czuję, że przestają się mi przyglądać i wracają do picia piwa. Kątem oka dostrzegam odbicie moich włosów barwy espresso i szlachetnych kości policzkowych. Nic dziwnego, że na mnie patrzyli. Nawet teraz, umierając, wciąż jestem piękna.

Barman przeciera bar przede mną i rzuca mi podkładkę. Jest chudy, ma tatuaże, które oplatają całe jego ręce, a po oczach widzę, że zbyt mało sypia. Przypomina mi trochę Jareda.

- Czym mogę służyć? - pyta.

- Poproszę kieliszek czerwonego wina.

- Będę musiał prosić o dowodzik. Podnoszę wzrok i patrzę mu prosto w oczy.

- Czy to naprawdę konieczne?

Wytrzymuję jego spojrzenie przez wiele długich sekund. Nie ugina się, więc z westchnieniem wygrzebuję dowód, który pasuje do mojej obecnej twarzy. Jennifer Combs, lat dwadzieścia dwa. Barman uważnie przygląda się dokumentowi, a ja przez chwilę wyobrażam sobie figlarnie, co by było, gdybym powiedziała mu, ile naprawdę mam lat. Ciekawe, jak by zareagował. Ale panuję nad sobą. Ostatnie, czego mi trzeba, to zwrócić na siebie uwagę.

Barman oddaje mi laminowany kartonik, po czym nalewa wino. Wsuwam Jennifer Combs - imię wymyślone dla mnie przez Cyrusa, gdy przejęłam obecne ciało - z powrotem do torebki. Nie będzie mi już potrzebna.

- Dzięki. - Upijam głęboki łyk ostatniego napoju, którego skosztuję w życiu, po czym usadawiam się wygodniej i przyglądam wnętrzu. To stary bar,

z blaszanym sufitem, który pokrywają niezliczone warstwy obłazącej farby. Przy ścianach znajdują się wyściełane popękany błękitnym winylem osłonięte jak łoża kąciki, a na śliskim linoleum rozstawiono beztriosko sporo drewnianych krzeseł.

W rogu siedzi szczupła dziewczyna o postrzępionych czarnych włosach i kolczykach z piórkami. Jest pochłonięta nieprzyjemną i głośną rozmową z ciemnowłosym chłopcem. Ma na sobie jaskrawoczerwoną koszulkę. Na jej rękach widnieją znaczące ślady ukłuc. Czuję skurcz w żołądku.

Dziewczyna odpycha chłopaka.

- Wypuść mnie! - żąda.

- Taryn, proszę cię - prosi cicho chłopak, chwytając ją za ramię. - Uspokój się troszkę.

Taryn zaciska szczękę i widać, że skronie pulsują jej z wściekłości.

- Mówię poważnie, Dan. Wypuść mnie.

Chłopak wzdycha ciężko, ale po chwili prześlizguje się obok niej i pozwala jej wyjść. Taryn pochyla głowę, skrywa twarz za rozczochranymi włosami i chwiejnym krokiem przechodzi przez bar.

- Ta dziewczyna prosi się o śmierć - zauważa barman, marszcząc czoło ze zmartwienia.

Patrzę, jak Taryn otwiera sobie drzwi i znika w ciemnościach.

- Na to wygląda.

Barman odwraca się, by dolać komuś drinka, a mnie już tam nie ma. Ruszam w mglistą noc, trzymając w ręku torbę. Wstałam tak szybko, że zrobiło mi się niedobrze, ale nie kręci mi się w głowie i nagle bardzo się ucieszyłam, że weszłam do tego baru.

Znałam w życiu tysiące takich Taryn - dziewczyn, którym nie pozostało już nic, dla czego warto by było



żyć. Zawsze potrafię je wypatrzyć, na odległość wyczuwam ich zdesperowanie. To na nich zawsze żerowałam; gdyby nie takie jak Taryn, nie przeżyłabym wszystkich tych lat. Ale tej nocy umrze tylko jedna osoba, to sobie przysięgam. I to nie będzie ona. Ocalenie Taryn i tak nie jest wystarczającą pokutą za wszystkie morderstwa, których się dopuściłam.

## Rozdział 7

Taryn jest tuż przede mną, co chwila znika mi we mgle, po czym znów się z niej wynurza. Od tyłu oświetlają jej szczupłą sylwetkę czerwone i pomarańczowe światła. Potyka się, traci równowagę... jest z pewnością pijana, a może nie tylko.

Kryję się w cieniach i po cichu idę za nią w stronę ujścia rzeki. W okolicy nie ma innych ludzi, mimo że wokół pełno jest nowiutkich mieszkań, których nikt nie kupił, i gnijących magazynów.

Dziewczyna niepewnym krokiem zbliża się do jednego ze stalowych żurawi. Maszyna przypomina bardziej zwierzę, stoi na czterech łapach i wyciąga w stronę morza długą szyję z wypustką w miejscu głowy.

Taryn zaczyna wspinać się na drabinę. Wiele razy ześlizguje się ze stopni, ale w końcu dociera na górę. Zbliża się do krawędzi żurawia, wysoko nad ciemną wodą. Podążam za nią po krótkiej chwili. Wysilek jest dla mnie niemal nie do zniesienia.

Na górze wieje bardzo silny wiatr. Targa mnie za włosy i dmucha nimi na moją twarz, ale też tłumi moje kroki. Chociaż niepewnie czuję się na nogach, jestem zdeterminowana, by sprowadzić tę dziewczynę na dół.

- Taryn? - mówię cicho, gdy jestem już przy mej. Jeszcze parę lat temu śledziłabym ją po to, żeby zabić. Dziś mam nadzieję ocalić jej życie.

Taryn obraca się gwałtownie, jej dotychczas nieprzenikniona twarz teraz zdradza lekkie zdziwienie. Ma zapadłe policzki i szeroko rozstawione oczy. Kiedyś była pewnie całkiem ładna.

- Czego chcesz? - pyta, obejmując się rękami w pasie.

Zwlekam z odpowiedzią.

- Czy zamierzasz skoczyć?

Taryn wydycha powietrze i opuszcza ramiona.

- A co cię to obchodzi? - W jej zielonych oczach błyszczą łzy.

Długo przeszukuję pamięć w poszukiwaniu właściwych słów. Wszystko, co przychodzi mi do głowy, to sześćset lat komunałów, postanawiam więc zadać Taryn to samo pytanie, które zadałam niedawno sobie.

- Masz dobry powód, by umrzeć?

Odwraca się ode mnie. Podążam za jej wzrokiem, w stronę wody. Migoczące światła centrum San Francisco są ledwo widoczne przy tej mgle; wirują i rozmazują się jak gwiazdy Drogi Mlecznej. Gdy byłam mała, często kładłam się z mamą na trawie przed naszym domem w Londynie i szukałam mojego imienia w gwiazdach - taka podniebna wersja zabawy w łączenie kropek. Seraphina to znaczy anioł, mówiła mama. Czy widzisz swoje imię zapisane w gwiazdach?

- Masz jakąś rodzinę? - pytam, zbliżając się na tyle, by jej dotknąć.

- Nie mam nikogo - odpowiada, a wiatr rozwiera jej włosy.

Wyciągam rękę i dotykam szczupłego ramienia Taryn. Patrzę jej głęboko w te zielone oczy.

- A ten chłopiec z baru?

- To ostatni człowiek, którego nazwałabym rodziną - mówi z wściekłością Taryn.

Przytakuję ze zrozumieniem.

- Śmierć nie przyniesie ci pocieszenia - obiecuję jej. - To tylko pustka. Nicość. Nie można powiedzieć, że chcesz umrzeć, jeśli nie pragniesz tej nicości. A skoro ty nie chcesz być sama, to znaczy, że wciąż żyjesz. Została jeszcze nadzieja.

- Kim jesteś? - pyta. Prawie nie słyszę jej głosu przy tym wietrze.

Myślę o swoim nienaturalnie długim życiu, o dzieciństwie w Londynie, kąpieniu się w morzu na południu Francji, przyjeździe do San Francisco w latach sześćdziesiątych XX wieku... przewijam listę imion, których używałam, począwszy od Seraphiny aż po Jennifer. Patrzą Taryn w oczy.

- Jestem nikim.

Odsuwa się ode mnie, jest bliżej krawędzi. Patrzą na twarde, lśniący bruk, jakieś dwanaście metrów pod nami. Powierzchnia błyszczy od wilgoci.

- Taryn - mówię z naciskiem. - Nie umiesz latać. Gwiazdy nie są twoimi przyjaciółmi. Złóż na dół, wracaj do baru i znajdź jakichś ludzi.

Przez chwilę przygryza wargę z wahaniem, ale widzę, że mięknie w swoim postanowieniu.

- Nie mogę obiecać, że tu nie wrócę - mówi.

- To wystarczy. W każdej chwili podejmujemy decyzję o życiu. Będiesz wiedziała, gdy nadejdzie twój czas, gdy to naprawdę będzie ta chwila.

Taryn wraca w moją stronę i znów kładę jej dłoń na ramieniu. Po raz pierwszy widzę w jej oczach strach. Bardzo dobrze. Strach oznacza wolę przeżycia.

- No, złaź - powtarzam stanowczo. I Taryn mnie słucha, ściska małymi dłońmi drabinę i powolutku posuwa się na dół, uważając na to, by nie spaść.

Przytykam rękę do brwi, patrząc, jak Taryn niknie we mgle. Jej czerwona koszulka ginie w ciemnościach jak serce. Po jej odejściu w końcu wypuszczam powietrze z płuc. Ocalałam ludzkie życie. A nawet dwa, jeśli liczyć Claudię. Nie wymazuje to wszystkich moich zbrodni, ciał, które zabiłam w czasie mojego pożyczonego życia. Ale to już coś.

Przybliżam się do krawędzi, podążając śladem Taryn. Jeśli zerwę się do biegu i skoczę, to powinnam spaść do wody. Najpierw jednak wyławiam z torby książkę Cyrusa i zapalniczkę. Ta wiedza musi umrzeć wraz ze mną. Ma skórzaną okładkę o pięknym, wyrazistym odcieniu błękitu. Przypomina mi oczy Cyrusa - widywałam je we wszelkich możliwych odmianach niebieskiego. W tej chwili są mroźne, jak pokryte śniegiem części lodowca. Kiedy się poznaliśmy, były dokładnie tej barwy - jak poranne niebo przed wschodem słońca. Jednym płynnym ruchem uderzam książką o metalową platformę pod stopami. Zamek pęka.

Strony wykonane są z grubego welinowego papieru. Ich zapach przenosi mnie w czasie do chwil, gdy siadywałam z tatą w gabinecie i patrzyłam, jak skrobie piórem w księgach z rachunkami. Nagle ze smutkiem zdaję sobie sprawę, że nie spalę tej książki. Ojciec powiedział mi, że welin wytwarza się ze zwierzęcej skóry - a nie włókien roślinnych, jak współczesny papier. To dlatego ta książka przetrwała, chociaż ma co najmniej tyle samo lat co Cyrus.

Gładzę palcami strony. Zapisane są mieszanką łaciny, greki i starego angielskiego, a do tego jeszcze

kilku języków, których nawet nie rozpoznaję. Nie brakuje też astrologicznych i naukowych symboli - to wpływ alchemicznych badań Cyrusa. Na jednej stronie mieści się nieporządny szkic dwojga ludzi zwróconych ku sobie twarzami. Ich pępki łączy ozdobny sznurek, który ktoś pieczołowicie pokrył warstwą metalicznego atramentu. Od razu rozpoznaję, co to jest: srebrna wstążka wiążąca duszę z ciałem.

Nie mogę podpalić książki, ale mogę zabrać ją za sobą do morza. Woda w końcu wymyje z niej wszystkie atramentowe zapiski. Przytulam księgę do piersi i zaciskam oczy. Z kącików ucieka mi kilka łez. Żegnam się na zawsze z moim klanem, Wcielonymi, z Charlotte, z mamą, której nie dane mi było pożegnać, gdy umierałam po raz pierwszy. Smakuję ostatnie chwile. Wiatr gwizdże między żurawiami, jak gdyby śpiewał hymn.

Jestem gotowa.

Już szykuję się, by wyskoczyć w powietrze, gdy słyszę rozdzierający pisk opon dochodzący z jezdni na dole i brzęk rozbijanego szkła, który przeszywa noc jak wystrzał z pistoletu. Rozlega się przerażony krzyk jakiejś dziewczyny. Odwracam się gwałtownie. Tylko jedna rzecz na świecie powoduje takie dźwięki: wypadek samochodowy - i to śmiertelny.

Taryn.

## Rozdział 8

Cisza, która zapada po chwili, zasysa mnie jak otchłań. Jej mroczna, pozbawiona kształtów obecność pcha mnie w stronę drabiny. Muszę zobaczyć, czy to Taryn, czy moje odkupienie, mój ostatni czyn na ziemi nie został właśnie zaprzepaszczone.

Liczy się każda sekunda, a mnie coraz bardziej braknie sił. Wrzucam księgę do torby i zostawiam ją na żurawiu, po czym rozpoczynam wędrówkę na dół. Adidasy ślizgają mi się na stopniach. Oddycham nieregularnymi zrywami. Chwiejnym krokiem brnę przez opuszczone uliczki.

Uderza mnie w nozdrza smród dymu i palonej gumy, zmieszany z zapachem rozlanej benzyny. Mam przyspieszony gwałtownie puls, trzęsą mi się nogi i znów prawie nic nie widzę. Skręcam za róg, po czym natychmiast wpadam w dziurę w śliskim asfalcie. Kostka ugina się pod moim ciężarem.

- Cholera! - mamroczę. Widzę przed sobą samochód. Ma dziurę w dachu, którą liżą już płomienie rzucające dziwne, pomarańczowe blaski na przerdzewiałe faliste ściany kontenerów. Samochód stoi na kołach, ale pajęczyny szczelin na przedniej szybie sugerują wyraźnie, że zanim tu wylądował, co najmniej raz przewrócił się na dach. Wyczuwam żelazisty odór

krwi. Jest oszłamiający, ogłupiający... dociera z każdej strony.

Chwytam za klamkę, zbieram wszystkie siły, jakie jeszcze mi zostały, i pociągam ją do siebie. Nie udaje mi się nawet jej poruszyć, więc przez chwilę mam wrażenie, że wcale mnie tu nie ma, że już nie żyję i jako duch żałośnie próbuję jeszcze przemieszczać jakieś przedmioty w naturalnym świecie, chociaż to oczywiście niemożliwe. Przymykam oczy, przypominam sobie owiewanego wiatrem żurawia, i z całej siły szarpię jeszcze raz. Metal trze o metal, cała ręka zaczyna mi wibrować, ale drzwi w końcu ustępują.

Zatrzymuję powietrze w gardle, czując ulgę zmieszaną z przerażeniem. To nie Taryn, ale inna młoda dziewczyna, najwyżej szesnastolatka. Ma rozczochrane blond włosy i srebrną bransoletkę wokół opalonego nadgarstka. Po krawędzi twarzy spływa krew, która wsiąka w haftowany dekolt stylizowanej na chłopską bluzeczki. Plama wygląda jak pęk czerwonych kwiatów.

Jeszcze żyje - tętnica szyjna wciąż słabo pulsuje -ale jest już bliska śmierci. Chyba ma złamaną prawą rękę i nogę, a także kark. Krew pochodzi z rany w głowie. Klatka piersiowa dziewczyny wciąż jeszcze wznosi się i opada, wznosi i opada, chociaż oddechy są płyciutkie i coraz słabsze. Kaszle. Z kącika warg spływa rubinowa kropelka. Bierze kolejny oddech. I wtedy, z przyprawiającą o dreszcze nieuchronnością, przestaje się poruszać.

Nie wiedząc już do końca, co robię, przytykam palce do jej szyi. Nie czuję pulsu. Cichy głosik z tyłu głowy mówi mi, że nie mogę już pomóc tej dziewczynie, ale i tak obejmuję jej ciało w pasie i przycią-



gam do siebie. Gdy wydostaję ją z samochodu, czuję szarpnięcie i słyszę metaliczny szcęk. Mam tylko nadzieję, że nie złamałam jej czegoś jeszcze. Kładę ją na ziemi. Jest mała i szczupła, ale ja osłabłam już tak bardzo, że omal nie tracę przytomności z wysiłku. Klękając, odchylam jej głowę. Cała kleję się od krwi. Kładę ręce na klatce piersiowej dziewczyny, mocno uderzam, po czym raz po raz uciskam serce. Przesuwam się bliżej twarzy. Zatykam jej nos, zakrywam ustami jej wargi i zaczynam dmuchać.

Chcę tylko ją uratować, chociaż nie wydaje się to możliwe, ale ledwo dotykam umierającymi, zimnymi wargami jej wciąż ciepłych ust, ogarnia mnie nagłe pragnienie, by objąć jej ciało w posiadanie. Jest potężne jak fala przyływu.

Nie!, mówię sobie, odrywam się od twarzy dziewczyny i znów szybko uciskam klatkę piersiową. Jednak aromat jaśminowych perfum uderza mi do głowy i jestem tak bardzo już osłabiona i oszołomiona, że gdy znów przysysam się do jej warg, instynkt bierze górę. Zamiast wdmuchać powietrze, chciwie zaczynam wchłaniać je do płuc, zasysam coraz mocniej i jeszcze raz i jeszcze raz. Czuję energię w żyłach, jednocześnie wzbijam się w powietrze i spadam w otchłań - jak na huśtawce dla dzieci. Po kilku minutach wychwytyuję też coś słodkiego: esencję jej życia.

Staram się powstrzymać, ale nie panuję już nad tym, co się dzieje. Chociaż łzy spływają mi po twarzy, wysysam duszę dziewczyny, jej życiowa moc przepływa mi przez usta, słodycz potężnieje i w końcu rozwiewa się, ulatując w eter. Przenika mnie tysiące małych ukłuc, jak gdybym poraziła się prądem, a pomiędzy naszymi czołami tańczą malutkie, błękitne iskierki. Myślę o letnich wyładowaniach, tych

dalekich błyskawicach widocznych czasem na nocnym niebie. Często zdarzają się w upały, błyski, po których nie następują grzmoty. Widzę fale uderzające o brzeg na samotnej planecie, zagubionej w kosmosie. Rozlegają się cichutkie, srebrzyste dzwony, to głosy gwiazd wyśpiewujących pieśń. Przed oczami staje mi twarz matki. Wygląda inaczej, niż ją zapamiętałam. Ma gładką, szklistą i lśniącą skórę, a w jej tęczęwkach migoczą światła kosmosu. Jej włosy są ciemne, takie same jak moje, utkane z próżni, a przez ich loki przemykają komety. Mama otwiera usta, jednak nie wydaje żadnego dźwięku. To bez znaczenia, mogę czytać z jej gwiazdzistych warg. Jeszcze nie teraz, Seraphino. Jeszcze za wcześnie.

Fioletowe światełka stopniowo bieleją i poruszają się z jeszcze większą prędkością niż kiedykolwiek. Uświadamiam sobie boleśnie dobitnie, że bardzo się przeliczyłam. Jeszcze nigdy nie przejęłam ciała, które byłoby w tak złym stanie i tak bliskie śmierci. Fale koszmarnego bólu przenikają moje połamane kończyny, chociaż czuję, że nieśmiertelna dusza powoli je uleczą. Przekręcam się na drugi bok. Moje stare ciało obróciło się już w popiół i pofrunęło z wiatrem.

Do mojej świadomości przebija się odległy ryk syren. Muszę się stąd wydostać, zanim przyjedzie policja. I muszę odzyskać torbę - jest tam dowód z imieniem wymyślonym przez Cyrusa, a także księga, która nigdy nie może wpaść w ludzkie ręce.

Nie zważając na miękkość w kolanach, zmuszam się do wstania i robię pierwszy, niepewny krok naprzód. Jeszcze tylko kilka kroków. Robi mi się niedobrze od smrodu krwi i benzyny, więc znowu opadam na kolana - i właśnie wtedy zauważam, że obok stoi Taryn i cały czas mi się przygląda.

Mam zawroty głowy i wpadam w panikę. Jak wiele widziała? Staram się ją zawołać. Ale migające światła policji wyjeżdżającej zza rogu płoszą ją i ucieka z alejki. Zmuszam się do ruchu. Muszę dotrzeć do żurawia i odzyskać torbę. Jednak znów przegrywam z bólem, który powala mnie na ziemię. Przez chwilę jeszcze trzepoczę powiekami, po czym tonę w ciemnościach.

## Rozdział 9

Fluorescencyjne światła przebijają przez moje ja-snorózwowe powieki. Powietrze wypełnia ostry zapach środków antyseptycznych. Gdzieś na skraju świadomości czuję przerażenie, wiem, że coś jest nie tak, ale nie pamiętam już, dlaczego tak się boję. Ostrożnie otwieram oczy. Za oknami widzę mgliste popołudnie: słońce z trudem przedziera się przez mleczną masę i oblewa blaskiem palmy. Z wykafelkowanego korytarza dobiega mnie stłumiony odgłos głosów, szczękania wózków i stukania obcasów.

Sięgam do skroni. Mam tam bandaż i okrągłe czujniki połączone z kablami. Dotykam włosów, których luźne pukle sięgają mi ledwo do ramion. Co jest...? Potrząsam głową, usiłując oczyścić myśli z obezwładniającej paniki, której powoli zaczynam ulegać. Na moim opalonym ramieniu widnieje biała, plastikowa bransoletka z napisem: „Kailey Morgan, K, lat 16”.

W jednej sekundzie wracają do mnie wszystkie zdarzenia poprzedniej nocy: wypadek, krew, chwila, w której przestałam być Jennifer Combs, Seraphiną Ames, czy też kimkolwiek naprawdę byłam, i przemieniłam się w Kailey Morgan. Czuję zbierającą mi się w gardle żółć. Siadam na łóżku i rozglądam się po pokoju. Ekran po mojej prawej stronie cały czas pisz-

czy, niemal dokładnie w rytm mojego szybko bijącego serca.

Przez uchylone drzwi wchodzi pielęgniarzka.

- Obudziłaś się!

Patrzę na nią szeroko otwartymi oczami, bo za bardzo się boję, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Idę po twoich rodziców! - Kobieta wychodzi równie szybko, jak przyszła, zostawiając mnie w pełnej strachu ciszy.

Dwa próbne gesty pomagają mi ustalić, że zarówno złamane ramię, jak i noga zdążyły się już uleczyć. Mam tylko nadzieję, że stało się to, zanim przyjechał ambulans... Ciekawe, czy doktorom w ogóle przeszło przez myśl podejrzenie, że nie jestem zwykłą pacjentką, jak każdy inny człowiek... - że mają do czynienia z kimś więcej, ze złodziejką ciał, nieśmiertelną zabójczynią.

Z przerażeniem przypominam sobie o torbie z książką Cyrusa. Czy wciąż leży na żurawiu? Muszę po nią wrócić.

Przerzucam nogi na podłogę i próbuję wstać. Będę musiała biec, co innego mi pozostało? Rodzice Kailey błyskawicznie zorientują się, że z ich córką jest coś nie tak - potwornie nie tak. Zaczynam odrywać czujniki ze skroni i nadgarstków, ale słyszę już ich zbliżające się głosy.

- ...wstrząśnienie mózgu... potrzebuje odpoczynku... może być trochę zdezorientowana...

Patrzę na swoją szpitalną pidżamę - jest biała w bladoniebieskie stokrotki - i uświadamiam sobie, jak idiotycznie wyglądałabym, gdybym usiłowała przekraść się obok dyżurki, a potem przez drzwi na ulicę. Krzywię się z bólu i wracam do łóżka, po czym błyskawicznie poprawiam czujniki.

Dosłownie kilka sekund później przez drzwi wpada jakaś kobieta. Jest ładna, chociaż ciemne wory pod oczami kierują uwagę na drobne zmarszczki w kącikach. Za nią wchodzi mężczyzna o szorstkiej urodzie i blond włosach, które znakomicie komponują się z przyprószonymi siwizną bokobrodami. Sądząc po wyglądzie, spał równie mało jak kobieta.

- Kailey! Och, dzięki Bogu! - Kobieta ściska mnie mocno, po czym odchyła się, żeby na mnie popatrzeć. Odsuwam się odrobinę. - Co się stało? - Rodzice Kailey, a także pielęgniarka, czekają na moją odpowiedź.

- Eee... nagle... wyskoczył mi pies. Nie chciałam go potrącić. - Mój nowy głos jest wyjątkowo wysoki, boleśnie różni się od gardłowych tonów, jakie wydawało z siebie stare ciało.

- Och, Kailey... - wzdycha tata Kailey, krzywiąc się.

Kobieta zatyka mi za ucho jakiś niesforny kosmyk.

- Twój brat jest na dole w kafeterii. Nie wiem, jak on może teraz myśleć o jedzeniu... - Urywa, bo chłopiec właśnie wchodzi do pomieszczenia. Jest chudy i chyba trochę starszy od Kailey, ale ma takie same włosy i opaloną skórę.

- Dzięki za skasowanie auta, siostra - rzuca nonszalanckim tonem, ale widzę po przekrwionych oczach, że ostatnio dużo płakał.

- Przepraszam - mówię z roztargnieniem, bo cały czas myślę o niemożliwej sytuacji, w której się znalazłam i o torbie wraz z jej groźnymi sekretami, które teraz w każdej chwili mogą zostać odkryte.

- Bryan... - wtrąca ostrzegawczo mama Kailey. Chłopiec podnosi ręce i uśmiecha się.

- Żartowałam! - Nagle poważnieje. - Co ty w ogóle robiłaś przy tym placu? Przecież tam jest niebez-

piecznie. Myślałem, że masz tę imprezę w galerii gdzieś w Berkeley.

Nerwowo spoglądam na rodziców Bryana, którzy nachylają się nade mną wyczekująco. Co mam im powiedzieć? Właśnie chciałam zakończyć moje nienaturalnie długie życie, ale kiedy usiłowałam uratować życie waszej córce, niechcący przejęłam jej ciało?

- Ja... tak. Właśnie. I... bo... - Ekran pokazujący pracę mojego serca zaczyna pikać szybciej.

W samą porę zjawia się młody lekarz w białym kitlu. Puka we framugę, po czym wchodzi, nie czekając na odpowiedź. Opieram się o poduszki i zmuszam do głębokich, spokojnych oddechów.

- Przepraszam. Ale trochę kręci mi się w głowie.

Doktor odsuwa mamę Kailey i błyskawicznie macha mi przed oczami latarką w długopisie. Odkłada ją do kieszeni z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, po czym zagląda w moją kartę.

- Kiedy możemy zabrać ją do domu? - pyta pani Morgan.

Czuję skurcz w sercu. Do domu? Jedyne miejsce, w którym pragnę się znaleźć, to żuraw, na którym zostawiłam torbę. A potem... Kręcę głową. Przebudzenie się jako nastolatka z kochającą rodziną tak bardzo odbiegło od moich planów, że nie potrafię nawet zacząć planować następnego posunięcia. Gorące łzy szczypią mnie w oczy, więc patrzę w sufit, żeby nie wypłynęły z oczu.

Byłam już zupełnie gotowa, żeby odejść - a teraz wylądowałam w ciele dziewczynki, której rodzice nawet nie wiedzą o jej śmierci. Moje racjonalne ja wie, że Kailey nie miała żadnych szans przeżyć tego wypadku, ale poczucie winy z powodu przejęcia kolejnego ciała zupełnie mnie przytłacza. Monitor pracy

serca znów przyspiesza na skutek mojego przypływu emocji, więc skupiam się na głębokim, uspokajającym oddychaniu.

- Normalnie nie wypuściłbym po jednej nocy żadnej pacjentki po poważnym wypadku - mówi lekarz, marszcząc brwi. - Ale wszystkie wyniki Kailey są dobre. Państwa córka pod względem fizycznym jest w doskonałym stanie. - Bada mi puls. - Taki wypadek i nawet jednego zadrapania... to niewiarygodne. Czy wiesz, jakim cudem jest sam fakt, że żyjesz?

Mrugam moimi nowymi powiekami.

- Wiem, może mi pan wierzyć.



## Rozdział 10

Wyglądam przez okno kombi państwa Morganów. Właśnie parkujemy przed parterowym, drewnianym domem w północnej części Berkeley. Przypomina mi to miejsce z baśni - drewniana chatka z dala od ulicy, otoczona sekwojami, kolorowy ogródek z ziołami i stare okna z barwionego szkła. Bryan z rodzicami wchodzi przez ciężkie dębowe drzwi, a ja zatrzymuję się na ganku, by posłuchać cichego dzwonienia dekoracji dyndających na wietrze. Są piękne - wykonane ze starych srebrnych łyżek, biżuterii, wytrychów i wyschniętych kostek.

Czuję się okropnie źle, stając na progu domu Kailey. Od czasu, gdy opuściłam pierwsze ciało, zamordowałam więcej osób, niż jestem w stanie zliczyć, ale nigdy jeszcze nie zostałam, by przyglądać się, jak wyglądało życie, które moje ofiary straciły.

Bryan odwraca się, by na mnie spojrzeć.

- No co? Czekasz na imienne zaproszenie? Zmuszam się do słabego uśmiechu.

- Daj zdezorientowanej dziewczynie minutkę dla siebie - mówię lekko, przekraczając próg. Podłoga wykonana jest w starym stylu i okolona listwami z ciemnego orzechowego drewna. Mam przed sobą salon, z wysłużonymi, aksamitnymi kanapami i rozmyślnie

kontrastującymi perskimi dywanami. Dalej jest kuchnia, której lekki nieład wygląda domowo i zachęcająco. Mama Kailey stawia torebkę na barku.

- Powinnaś się położyć, skarbie. Zalecenie lekarza.

Zatrzymuję się. Na prawo i na lewo mam korytarze, które, jak zgaduję, prowadzą do pokoi. Ale gdzie jest sypialnia Kailey? Postanawiam zgadywać i skręcam w prawo. Bryan chrząka.

- Ej, myślisz, że jako medyczny cud zasługujesz na wstęp do królewskiej sypialni? - Wciąż mówi żartobliwym tonem, ale jego oczy poważnieją. Widzę, że martwi się o mnie. Właściwie to nie o mnie... tylko o swoją siostrę. Nagle czuję potrzebę, żeby powiedzieć mu prawdę, ale zdaję sobie sprawę, że Morga-nowie mi nie uwierzą. W najlepszym wypadku pomyślą, że wstrząśnienie mózgu przyniosło o wiele większe szkody, niż podejrzewali lekarze. W najgorszym uznają, że nadaję się do leczenia w zakładzie zamkniętym.

- Och, sprawdzałam tylko waszą czujność - mówię, pewnym krokiem skręcając w ten drugi korytarz. Mój głos brzmi głucho, ten zabawny ton jest zupełnie fałszywy.

Za pierwszymi drzwiami znajduję niepościelone łóżko zatopione pod dzinsami i bluzami. Z szafy wylewa się sterta kolorowych trampek Chuck Taylor.

Idę dalej. Mocny zapach jaśminowych perfum aż wisi w powietrzu i od razu wiem, że to pokój Kailey. Otwieram drzwi, zamykam za sobą i wypuszczam powietrze z płuc. To już prawie koniec. Musisz tylko poczekać, aż zasną, a potem będziesz mogła wrócić do żurawia, zabrać książkę i wykombinować jakiś plan B - jeśli w ogóle masz coś planować.

Pokój pomalowany jest na jaskrawy odcień turkusowego, a na łóżku leży jedwabna kapa w zielonkawym kolorze, który bardziej przypomina limetkę. Po jednej stronie piętrzą się fioletowe poduszki z czarnymi frędzelkami wysadzanych czarnymi koralikami. Wygląda to tak, jak gdyby otaczały mnie gigantyczne pawie pióra.

Moją uwagę zwraca futerał na skrzypce oparty o biurko. Skrzypce to jeden z moich ulubionych instrumentów. Czy Kailey była muzykiem? Przypatruję się bliżej i widzę grubą warstwę kurzu. Ale w kącie stoją sztalugi, na których widnieje nie ukończony portret dziewczyny stojącej na plaży i wpatrzonej w morze.

Na obrazie wszystko jest szare: zachmurzone niebo, brzeg, na który wylewają się fale z odrobiną zbyt topornymi bałwanami. Dziewczyna wygląda jak Kailey, a jej lśniące oczy są najbarwniejszym punktem płótna. Mimo ponurej scenerii ma szczęśliwą twarz, jak gdyby właśnie zobaczyła poza kadrem coś, co daje jej nadzieję. Przypatrując się bliżej, dostrzegam, że Kailey zaczęła szkicować syreny tuż pod powierzchnią spienionego morza. Nie starczyło jej czasu, żeby namalować wszystkie szczegóły, ale zdołała zarysować ich kształty.

Przypomina mi to podróż z Barbadosu do Nowego Amsterdamu. Byłam wtedy wściekła na Cyrusa za to, że w napadzie furii zabił naszego służącego i starałam się jak najwięcej czasu spędzać samotnie na pokładzie. Oceaniczna bryza chłostała mnie włosami po twarzy, a opalizująca powierzchnia Atlantyku rodziła frustrację. Chciałam zobaczyć to, co kryło się głębiej. Chciałam wierzyć, że pod nami jest inny świat, w którym syreny czeszą włosy pod wiecznie płynącym,

złotym strumieniem i grają na zatopionym klawesynie.

Odwracam się od obrazu, który budzi we mnie niewytłumaczalny smutek, i przyglądam się ogromnemu lustru zajmującemu jedną ścianę. Za ramą tkwią zatknięte pocztówki i atramentowe szkice. Podnoszę małą stertę zdjęć Kailey z przyjaciółmi: na wycieczce, na potańcówce, gdzieś koło lśniącego basenu... Na wielu z nich pojawia się ta sama dziewczyna; łatwo ją rozpoznać po ciemnych włosach z pasmami barwy wściekłej czerwieni. Oczy Kailey zerkają na mnie z kolejnych zdjęć. Iskrzą się życiem.

Przypatruję się swojemu nowemu ciału ze zmarszczonymi brwiami. To pierwszy raz, gdy jestem nastolatką, odkąd utraciłam moją ludzką postać i przyprawia mnie to o wstrząs. Mam zielonoszare oczy, długie, grube rzęsy i jasnobrązowe włosy, które słońce miejscami rozjaśniło do lśniącej złocistej barwy. Luźne loki sięgają nieco niżej niż moja broda, a czoło zasłania mi falująca grzywka. Mam odrobinę za bardzo perkarty nosek i ciemne, koralowe wargi, które wspaniale wyglądają przy opalonej skórze.

Nie potrafię uchwycić różnicy między moim odbiciem w lustrze a twarzą na zdjęciach. Nie umiałabym wskazać z pewnością żadnej cechy, która dowodziłaby, że wszystko się zmieniło. A jednak nie wyglądam jak ta śmiejąca się dziewczyna, którą była Kailey.

- I co ja mam teraz zrobić? - pytam obcą twarz w lustrze. - Czy mam zostać tobą? Czy wrócić do żurawia i skoczyć?

Kailey nie odpowiada.

Łatwo mi było zdecydować się na śmierć, gdy moje ciało niemal się rozpadało. Gdybym teraz zrealizowała plan, zabiłabym funkcjonujący, ludzki orga-

nizm. Ale jeśli nie to, to co mogę ze sobą zrobić? Nic nie wiąże mnie z tym światem, nie posiadam żadnych przydatnych umiejętności. Cyrus zawsze dbał o to, żebym była od niego zależna pod każdym możliwym względem.

Odrywam wzrok od lustra. Najważniejszy - poza torbą - jest teraz Cyrus. Teraz już na pewno wie, że znikłam. Ale czy uwierzył w treść listu, czy raczej zastanawia się, jak mogłam przeżyć i gdzie się chowam z dala od niego? Zna mnie tak dobrze, że kiedyś potrafił nawet przewidywać, co mi się przyśni. Może instynktownie zrozumie, co się stało? Wyczuje moją obecność i zacznie mnie szukać? Przeczyta doniesienie prasowe na temat wypadku i będzie się zastanawiał, czy na skutek nieudanej próby ratowania dziewczyny nie przejęłam jej ciała? Cyrusa stać na wszystko, a najgorsze, co może mnie spotkać, to gdyby zaciągnął mnie z powrotem do klanu. Znajdowałabym się pod bezustannym nadzorem. I Cyrus już by dopilnował, żebym bardzo głęboko pożałowała swojej próby oszustwa.

Na biurku stoi laptop. Przemykam palcami po gładziku i pusty ekran wypełnia przeglądarka. Wchodzę na stronę „San Francisco Chronicle”. W Oakland zdarzyło się w weekend sporo morderstw i wypadków samochodowych, ale na szczęście nic nie piszą o Kailey.

Wracam do Google i wstukuję: „Jack London wypadek samochodowy”, co wyrzuca mi mnóstwo wyników. Kiedy zawężam do wczorajszej daty, zostaje tylko jeden.

To doniesienie z policyjnej rubryki „Oakland Tribune”: „16 października, godzina 00.38, róg Alice i Drugiej, Oakland: Wypadkowi samochodowemu uległa nastolatka z dzielnicy Berkeley. Wezwano policję.

Nie było ofiar śmiertelnych, nikt nie został zatrzymany". Wypuszczam powietrze. Przez cały czas wstrzymywałam oddech. Nie brzmi to bardzo źle i nie wyróżnia się spośród innych wydarzeń w rejonie.

Mapy Google pouczają mnie, że mam trochę ponad trzy kilometry z domu na stację Berkeley, a stamtąd już tylko kilka przystanków do centrum Oakland. Przyglądając się uważniej, odkrywam, że liceum Berkeley mieści się tuż obok stacji BART.

Na biurku leży plecak Kailey, a obok jej portfel. Błyskawicznie przeglądam zawartość. Zatrzymuję portfel i telefon, ale wyłączam GPS. Dodaję trochę ubrań na zmianę, a także, kierowana impulsem, kapelusz i wielkie okulary.

Nagle rozlega się pukanie do drzwi - podskakuję i ledwo zdążam ukryć się w łóżku. Do pokoju wchodzi tata Kailey, który niesie tacę. Wciąż wydaje się zmęczony, ale nie ma już tego niepokoju wypisanego na twarzy. Nie wie, że jego córka nie żyje, myśli, że wszystko będzie dobrze.

- Mama chciała, żebym przyniósł ci kolację. Zupa tortillowa, twój przysmak.

- Och... dzięki - mówię ostrożnie, zastanawiając się, co odpowiedziałaby prawdziwa Kailey.

- Posłuchaj, mała... - Tata siada przy mnie na łóżku. - Nie musisz tłumaczyć, gdzie wczoraj byłaś. Powiedziałem mamie, żeby zostawiła tę sprawę w spokoju. Jeśli masz chłopaka, albo coś w tym rodzaju... no... przecież możesz powiedzieć nam kiedy indziej. -Przytula mnie. - Tak się cieszymy, że nic ci nie jest -dodaje łamiącym się głosem.

Serce ściska mi się boleśnie. To jest najstraszniejsze ze wszystkiego, co kiedykolwiek zrobiłam. Śmierć Kailey zniszczyłaby tę rodzinę, ale przynajmniej wie

dzieliby bez wątpliwości, że ich córka umarła. A jeśli zniknę dzisiejszej nocy, czy nie pomyślą, że Kailey uciekła? Albo popełniła samobójstwo? Każda z tych możliwości wydaje się o wiele gorsza niż tragiczny wypadek.

Pytam się chyba już po raz milionowy, czego właściwie się spodziewałam? Przecież wiedziałam, że reanimacja nic już nie da - czemu próbowałam, skoro ryzyko było tak wielkie? Powinnam była pozwolić działać naturze. Czy wtrąciłam się, bo jako Wcielona wiedziałam, że bieg natury da się zmienić? A może jakaś malutka, nieświadoma część mojej duszy wciąż chciała żyć?

Odwracam się od pana Morgana, żeby ukryć łzy w oczach.

- Jest mi tak strasznie przykro, że się martwiliście. Czuję się okropnie.

- Ej, jestem tatą. Martwienie się to mój zawód. Do zobaczenia rano, mała. - Pan Morgan uśmiecha się do mnie, po czym zamyka drzwi z cichutkim szczękiem i zostawia mnie samą, smutną i pełną poczucia winy.

## Rozdział 11

Czekam przez wiele godzin, aż dom pogrąży się w ciszy, a ciemności na dworze odpowiednio zgęstnieją. Przerzucam sobie plecak Kailey przez ramię, otwieram okno i zgrabnie wyskakuję na wykładaną ceglami ścieżkę. Nie mogę zaprzeczyć, że to bardzo odświeżające uczucie, nareszcie przyjąć nową postać, po długich miesiącach bolesnego zamieszkiwania umierającego ciała. Ale świadomość ta przynosi z sobą miazdzące wyrzuty sumienia, które sprawiają mi o wiele większy ból niż cierpienia dawnego ciała.

Po cichutku przekradam się wzdłuż domu i kieruję się na ulicę. Na końcu podjazdu odwracam się i jeszcze raz spoglądam na dom. Jest mi bardzo przykro. Przepraszam.

Moje ciche pożegnanie przerywa mi niski warkot. Obracam się gwałtownie i wyglądam w ciemność, szykując się do ucieczki. Albo do walki.

- Nieźle się ruszasz jak na dziewczynę, która dopiero co wyszła ze szpitala.

Zamieram. Głos należy do wysokiego, ciemnowłosego chłopca, który kryje się w cieniu pod jedną z sekwoi. Na smyczy trzyma ogromnego psa. To pies warczy i usiłuje wyrwać się właścicielowi.



- Serio, musiałaś wyskakiwać przez okno? Czy po prostu chciałaś podkreślić dramatyzm sytuacji?

- Obserwowałaś mnie? - Głos trzęsie mi się ze strachu. - Kim jesteś?

- Bardzo śmieszne, Kailey. - Nagle na jego twarzy pojawia się zmartwienie. - Czekał, ty naprawdę nie pamiętasz?

Wypuszczam powietrze. Czyli to jest jakiś przyjaciel Kailey. Przez chwilę byłam pewna, że to Jared w nowym ciele. Albo, co jeszcze gorsze, Cyrus.

- Nie, to taki szpitalny humor - odpowiadam, zmuszając się do uśmiechu. - Kto ci powiedział o wypadku? - pytam obojętnym tonem, chociaż czuję narastającą panikę. Czy przegapiłam jakieś doniesienie w wiadomościach?

- Bryan. Spotkałem go przypadkiem. Przytakuję z ulgą i znów przyglądam się chłopcu.

Jego ciemne włosy są na tyle długie, że przesłaniają mu twarz, więc odgarnia je z czoła silnymi, ładnie ukształtowanymi dłońmi. Ma zadziwiający, turkusowy kolor oczu i grube brwi. Cały czas na mnie spogląda. Z szyi zwisa mu aparat. Jest w nim coś znajomego, ale nie wiem co dokładnie.

- To nic takiego. Trochę mi wstyd, więc wolałabym, żebyście za bardzo nie rozpowiadali, co się stało. - Jeśli świat jeszcze nie dowiedział się o moim wypadku, to muszę dołożyć wszelkich starań, żeby utrzymać go w tajemnicy. Cyrus już nieraz rozwiązywał zagadki, gdy miał o wiele mniej wskazówek.

Pies znów zaczyna warczeć i obnaża zęby. Zwierzęta trudniej zmylić niż ludzi. Zawsze zastanawiałam się, skąd wiedzą, że ze mną jest coś nie tak. Pupil chłopaka szarpie za smycz.

- Harker! Spokój! - Harker skowyczy, ale przestaje charczeć i ogranicza się do rzucania wrogich spojrzeń. Chłopiec wpatruje się we mnie. Widzę, że zauważył plecak. - Nie ma sprawy. Potrafię dotrzymać sekretu.

Oddycham głęboko i robię krok w tył. Zapada niezręczne milczenie.

- Co robisz na dworze? - pytam.

Przez jego twarz przemyka skurcz niepokoju, ale błyskawicznie go tłumy. On też coś ukrywa, tyle mamy ze sobą wspólnego.

- Uwielbiam wychodzić w nocy - mówi, patrząc w niebo. - Jest cicho. Widać gwiazdy, jeśli nie ma dużo mgły. No wiesz. Z oczywistych powodów. A ty? Wybierasz się na giganta? - Wskazuje głową mój plecak.

- Ja tylko... chciałam się przewietrzyć. Chyba powinnam wracać. - Teraz nie mam szans uciec. Będę musiała poczekać kolejną godzinę, aż ten chłopak wróci do domu i pójdzie spać.

- Niezły pomysł. - Pochyliła się, żeby podrapać Harkera za uchem. Pies znów wydaje z siebie niski pomruk. - Jeśli potrzebujesz, żeby cię podwieźć jutro do szkoły, to możesz na mnie liczyć. Słyszałem, że ten twój „nic takiego” wypadek spowodował kasację auta Bryana.

Szkoła. No jasne. Kailey na pewno musiała chodzić do liceum. Jak jej koledzy poradzą sobie, gdy zniknie?

- Ee... Jasne. Dobrej nocy... Harker... I... no, pa-kończę słabym głosem.

- Uważaj na siebie, Kailey - mówi chłopak i przyjacielsko dotyka przez chwilę mojego ramienia. Czuję przez koszulkę ciepło bijące od jego dłoni. Odwracam się i włączę przez okno do pokoju Kailey.

Kładę się na zielonej, jedwabnej kapie i wpatruję w sufit. Pokrywają go świecące w ciemnościach gwiazdki. Kiedy mrużę oczy, mogę sobie wyobrazić, że są prawdziwe, chociaż nie układają się w żadne znane gwiazdozbiory. To niebo stworzone przez Kailey, jej wymyślony wszechświat, jej bezpieczny zakątek, w którym chroniła się przed światem.

Powieki zaczynają mi ciążyć, więc je przymykam - tylko na sekundę, obiecuję sobie. Mam nadzieję, że gdziekolwiek Kailey teraz jest, odnalazła spokój. Oczami umysłu wciąż widzę gwiazdy, które układają się w coraz to nowe wzory, a ich łagodne światło wraca na ziemię, by otulić blaskiem kruczoczarne włosy chłopaka z sąsiedztwa.

## Rozdział 12

Budzi mnie szczepek naczyń i zapach kawy i jedzenia. Przez koronkowe zasłony sączy się światło o lekko czerwonawej barwie. Zrywam się z bijącym sercem, pewna, że Cyrus mnie znalazł. Potem jednak widzę zieloną kapę i uświadamiam sobie, gdzie jestem. Jęczę, wyzywając się w duchu za to, że przegapiłam okazję, żeby się wymknąć. Jest już długo po świcie i Morganowie z całą pewnością zdążyli wstać.

Słyszę odgłos zbliżających się kroków. Chwilę później w drzwiach pojawia się twarz pani Morgan.

- Dzień dobry, skarbie. Jak się czujesz?

- W porządku - jąkam się. Prawdę mówiąc, czuję się koszmarnie. Przez całą noc wierciłam się niespokojnie, bo dręczyły mnie koszmary. Goniłam moją matkę po gęstym lesie. Jej ciemne włosy płynęły za nią jak strumień. Nie widziałam Cyrusa, ale czułam, że jest w pobliżu. Wokół mnie co chwila wybuchały małe fontanny kolorowych płomieni w oślepiających odcieniach fioletu i czerwieni, bladej, gwiazdzistej żółci i limonkowej zieleni. Między drzewami niósł się krzyk Cyrusa: Sera, mówiłem ci, że śmierć to tylko złudzenie. Kiedy w końcu dogoniłam matkę, jej włosy nagle stały się oślepiająco jasne, a głos zmienił się w głos Cyrusa. Idę po ciebie, warknął, szczerząc zęby.

Pani Morgan siada przy mnie na łóżku i patrzy ze zmartwioną miną.

- Chyba powinnaś zostać dziś w domu. Też wezmę urlop i posiedzę z tobą - mówi stanowczo.

Nie jestem pewna, jak odpowiedzieć. Kailey pewnie byłaby zachwycona, mogąc opuścić szkołę, ale myśl o tym, że miałabym spędzić dzień z matką dziewczyny, którą zabiłam, przyprawia mnie o fizyczny ból. Muszę dotrzeć do portu, a prawdopodobnie łatwiej będzie mi wyślizgnąć się ze szkoły między zajęciami niż uciec przed czujnymi oczami pani Morgan.

Zdobywam się na słaby uśmiech.

- Chyba powinnam jednak iść. Naprawdę czuję się zupełnie w porządku.

Bryan wsadza głowę w drzwi. W ręku ma kawałek tostu.

- Ty poważnie dopraszasz się, żeby cię puścili do szkoły? Ale wazelina.

- Naprawdę wolę iść - mówię.

- Wiem. - Uśmiecha się. - Wyzłośliwiam się, żeby ci nie było za dobrze.

Pani Morgan patrzy na nas oboje i przez chwilę się waha.

- No dobrze. Idź. Ale najpierw musisz zjeść. Zaraz ci coś zrobię. - Wraca do kuchni, a Bryan rusza za nią.

- Ej, Bryan? - Zmuszam się do zajęcia pozycji siedzącej.

- Tak, ty rozpieszczona dziewucho?

- Czy mógłbyś... nie gadać w szkole o tym wypadku? Nie chcę, żeby to się rozeszło.

Bryan robi zdumioną minę.

- A myślałem, że twoim życiowym celem jest bycie w świetle reflektorów.

Czuję, że płoną mi policzki.

- Po prostu nie chciałabym robić z tego wielkiej sprawy.

Wbija we mnie wzrok.

- Ty się rumienisz.

Odwracam się. Rumienię się zawsze, bez względu na ciało.

- Proszę cię.

- No dobra, jak tam sobie chcesz, ty dziwaczko. -Połyka resztę tostu.

Po jego wyjściu przeszukuję stylizowaną na starą szafę Kailey. Pachnie naoliwionym drzewem wiśniowym i proszkiem do prania. Schludnie powieszona ubrania są uporządkowane według kolorów, jak farby na palecie.

Zastanawiam się, co włożyłaby Kailey i wodzę dłonią między fioletowym swetrem z kaszmiru a sukienką w kolorze ciemnej fuksji, z niebieskim, geometrycznym wzorem. W końcu decyduję się na parę džinsów barwy przerdzewiałego metalu i bordową tunikę z koronką. Zapach jaśminu wsiąkł w tkaninę, przez co każdy oddech przypomina mi o tym, czyje ubrania mam na sobie.

Pośpiesznie zjadam śniadanie - jajka sadzone i kielbaskę z drobiu - i po chwili do kuchni wkracza Bryan.

- Musimy lecieć. Chyba słyszałem, jak podjeżdża Noah.

Noah. Zastanawiam się, czy to imię chłopaka, którego spotkałam. Chwytam plecak Kailey i wbijam wzrok w panią Morgan. Ma włosy zaczesane w elegancki kucyk. Znikły ciemne kręgi pod oczami, które wczoraj tak się rzucały w oczy. Po chwili wahania przytulam ją.

- Kocham cię - mówię cicho. Chciałabym móc złagodzić jakoś ból, który poczuje, gdy jej córka nie wróci wieczorem do domu.

- Też cię kocham, Kailes - mówi pani Morgan lekko zdziwionym tonem. Całuje mnie w policzek i wygania za drzwi.

Bryan czeka przy wiekowym dwudrzwiowym volkswagenie Noaha i niecierpliwie tupie nogą.

- No wreszcie - mówi, wskazując mi tylne siedzenie. - Inwalidki jadą z tyłu - wyjaśnia z uśmiechem.

Gdy wsiadam, czuję na sobie wzrok Noaha. W świetle słońca jego oczy przybierają turkusową barwę, zupełnie jak u Cyrusa, dwa ciała wcześniej. Zapinam pas. Chłopcy na szczęście wypełniają ciszę rozmową i całkowicie mnie ignorują, chociaż zauważam, że Noah co jakiś czas zerka na mnie w lusterku. Przytykam czoło do chłodnej szyby i gdy opływają mnie kolejne fale konwersacji Bryana i Noaha, modłę się tylko o to, by torba wciąż czekała na mnie na żurawiu.

Mijamy szereg domków jednorodzinnych różnych typów i małą wysepkę chat, które lepiej pasowałyby do Cape Cod. Wokół rosną tu i ówdzie dzikie kwiaty. Koronkowe łany białej trybuli mieszają się z jaskrawożółtymi nawłociami i fioletową szalwią. Moja mama byłaby zachwycona. Tata pozwolił jej wydzielić małą część ogrodu, do której służba nie miała wstępu. Spędzała tam długie rodziny, ucząc mnie łacińskich nazw każdego nasienia: *lilium*, *rosa*, *cosmos* i *orchis*. Wiła dla mnie wianki ze stokrotek i belladony, ale zawsze przy tym ostrzegała, jak groźne potrafią być kwiaty. „Nigdy nie wsadzaj ich do buzi, mój kochany aniołku. Ale na pewno ci nie zaszkodzą, jeśli wepniesz je w te śliczne włosy”.

Wkrótce dojeżdżamy do parkingu i dołączamy do rzeki sfatygowanych aut, które walczą o miejsca blisko wejścia. Szkoła jest przytłaczająco wielka, cała ze szkła i falujących murów. Zastanawiam się, czy Kailey ją lubiła, czy cieszyła się na plotki z przyjaciółmi między zajęciami, albo czy siedziała, ponuro gapiąc się przez okno i licząc godziny do ponownego uwolnienia. Nigdy nie chodziłam do szkoły. Moi rodzice zatrudnili dla mnie prywatnych nauczycieli, a potem już uczyłam się tylko od Cyrusa.

Noah zatrzymuje się obok zielonego volvo, które na zderzaku ma wielki napis: „Żeńska drużyna pływacka liceum w Berkeley”. Wyłącza charczący silnik. Bryan kładzie siedzenie, żeby mnie wypuścić i po chwili stoję w przyćmionym świetle słońca.

- Do zobaczenia na biologii - mówi Noah, po czym podnosi książkę nad głowę i biegnie w stronę szkoły.

Bryan patrzy na mnie wyczekująco, więc podążam za nim przez parking.

- Do zo - rzuca, gdy docieramy do asfaltowej ścieżki.

Patrzę, jak odchodzi i po drodze wita się z przyjaciółmi gestami głowy i rąk. Ma ten sam naturalny uśmiech co Kailey, tyle samo optymizmu i pogody ducha, ile widziałam na jej zdjęciach. Bez wątpienia śmierć siostry to zmieni.

Czyli zostałam sama. Serce wali mi tak głośno, że dałabym głowę, że ludzie uwijający się wokół to słyszą.

- Żegnaj, Bryanie - szepczę, upewniając się, że nikt mnie nie obserwuję. Ruszam energicznie przez parking i przebijam się stopniowo przez falę uczniów idących w przeciwnym kierunku. Staram się nie wyróżniać z tłumu, ale idę stanowczym krokiem i nie na-



wiążuję kontaktu wzrokowego. Skręcam za róg i gdy znikam już z pola widzenia osób znajdujących się przy szkole, zrywam się do biegu. Moim celem jest stacja, z której pojedę w pobliże placu Jacka Londona. Tam zdecyduję, co robić dalej - i czy w ogóle będzie jakieś „dalej”.

## Rozdział 13

Wysiadam z pociągu w centrum Oakland. Woń brudnej wody i zgnilizny spowija całą okolicę placu Jacka Londona. Za dnia jest tu znacznie więcej ludzi - ciężarówki zaparkowane przed dokami, ludzie niosący skrzynie melonów, turyści ostrożnie podchodzący do nabrzeża. Słońce przedarło się przez chmury i ogrzewa mi czubek głowy. Ku mojemu zdziwieniu, zaczynam się uśmiechać - od tak dawna nie czułam nic innego niż chłód.

Przyspieszam kroku i zbliżam się do portu. W oddali widzę bar, w którym spotkałam Taryn; za dnia wydaje się jeszcze bardziej obskurny. Z elewacji obłazą długie płaty farby, a słońce obnaża grubą warstwę kurzu na oknach. Kawałeczek dalej zaczyna się boczna uliczka, w której zaparkowałam samochód i żuraw, na którym jak ostatnia idiotka zostawiłam torbę.

Gdy docieram do skrzyżowania, z zaskoczeniem zauważam, że tuż przede mną stoi zaparkowany przy krawężniku radiowóz. Zamieram, krew odpływa mi z twarzy. Nie widzę żadnego racjonalnego powodu, żeby policja miała mnie szukać - szukać Kailey -ale nic mi to nie pomaga. Oczami wyobraźni widzę nad swoją głową gigantyczny transparent z napisem „Morderczyni”.

Usiłowałaś ją uratować!, przypominam sobie, błagając własne stopy, żeby stawiały normalne kroki, które nie zdradzą zdenerwowania. Czuję mrowienie z tyłu głowy: włoski na karku stają mi dęba. Nie odwracam się, ale jestem pewna, że funkcjonariusz ruszył za mną. Przyspieszam i omal nie zrywam się do biegu. Zerkam w boczne lustro zaparkowanego w pobliżu samochodu i moje obawy się potwierdzają. Policja powoli jedzie moim śladem.

Zbaczam w alejkę i chowam się w przejściu wielkiego garażu. Wstrzymuję oddech i trzymam kciuki, licząc na to, że gliniarz pojedzie dalej. Po chwili rzeczywiście odjeżdża. Oddycham z ulgą.

Czyjaś ręka łąduje mi na ramieniu.

- Czego tu szukasz?

Obracam się z sercem w gardle i widzę przed sobą robotnika o wąskich wargach.

- N-nie - jąkam i znów rzucam się do ucieczki. Gdy docieram do miejsca, w którym zostawiłam samochód, stoję jak wryta. Na asfalcie widnieją ciemnobrązowe plamy, które każdy inny mógłby wziąć za resztki oleju. Ale ja wiem, że to krew - krew Kailey. Zostały też czarne ślady po oponach, które jak blizny szpecą powierzchnię drogi.

Mój samochód zniknął.

Ogarnia mnie panika, ale zmuszam się do spokojnego oddechu. Pewnie tylko go odholowali, przypominam sobie. Nie było w nim nic, co wiązałoby go z tobą, może poza odciskami palców ciała, które już nie istnieje.

Te myśli wcale mnie nie pocieszają, więc przestaję cokolwiek udawać i ruszam najszybciej jak mogę do żurawia. Zaczynam się wspinać. Na drugim szczeblu od góry ślizga mi się stopa. Krzyczę, uświadamiając sobie, że omal nie straciłam równowagi. Chwytam

mocniej drabinę, odzyskuję oparcie i podciągam się na szczyt.

Wiatr jest tu bardzo silny. Przynosi z sobą daleki chichot i głośny gwizd, którym ktoś pewnie przyzywał jakieś zwierzę. Ale ja nie słyszę już niczego i nie czuję niczego, bo widzę, że torba także zniknęła.

W tamtej chwili szara chmura skrywa słońce i zaczyna padać. Miarowo spadające krople przenikają na wylot włosy Kailey i moczą wielkie loki, a mnie ogarnia panika. To nie może się dziać naprawdę. W tej torbie było wszystko - moje stare dokumenty, pieniądze, książka Cyrusa.

Taryn.

Osuwam się na kolana. Przecież ona jest uzależniona od narkotyków. Po sześciuset latach obserwacji ludzkiego zachowania aż za dobrze potrafię wyobrazić sobie tę scenę. Zobaczyła, jak moje ciało obraca się w popiół - co mogło być dla niej równie dobrze narkotyczną halucynacją - i wspięła się z powrotem na żurawia, żeby odnaleźć anielicę, która usiłowała ją ucałować. Zamiast mnie znalazła torbę z kluczami, pieniędzmi, nową osobowością i dziwną, starą książką.

Statek w porcie wydaje z siebie żałobny gwizd. Jakiś pobliski żuraw, skrzecząc, budzi się do życia, a w nosie czuję obrzydliwy zapach gnijącej sałaty. Co Taryn zrobi z tą książką? Przychodzi mi do głowy milion możliwości. Może sprzedać ją do antykwariatu, kiedy skończą się jej pieniądze, a będzie potrzebowała kolejnej dawki. Jeśli zostanie aresztowana albo umrze z przedawkowania, to książka wyląduje w jakimś policyjnym magazynie.

A może, co gorsza, zdążyła już opublikować na Twitterze jej zdjęcia, w towarzystwie informacji o tym, jak to na placu Jacka Londona jakaś dziewczyna właśnie reanimowała nastolatkę i nagle obróciła się w popiół. Te (najwyżej) sto

czterdzieści znaków byłyby dla Cyrusa jak precyzyjna mapa, mówiąca, gdzie mnie może znaleźć. Na pewno monitoruje Internet pod kątem wszelkich wzmianek o mnie, jakichkolwiek informacji, które mogłyby sugerować, że wciąż żyję. A Jared w ramach pokuty za zgubienie mnie w tłumie jest gotów wybrać się na koniec świata, byle tylko sprowadzić mnie z powrotem.

Nie wiem, jak interpretować fakt, że wciąż żyję i czy powinnam zatrzymać to nowe, zdrowe ciało, czy skoczyć, by dokończyć dzieło rozpoczęte poprzedniego wieczoru. Wiem jedno: nigdy, przenigdy nie wrócę już do Cyrusa. I jeśli tylko będę w stanie, nie dopuszczę do tego, by kiedykolwiek odnalazł tę książkę.

Zsuwam się po drabinie i zeskakuję na chodnik z wysokości czwartego szczebla. Chociaż przyprawia mnie to o palący ból w goleniach, zmuszam nogi do biegu, skręcam w Drugą ulicę i pędzę do baru. Może barman zna Taryn i jeśli zdołam ustalić jej nazwisko, będę mogła ją wytropić.

Jestem trzy metry od saloonu, kiedy powietrze przeszywa jęk syren. Czoło pokrywa mi się grubą warstwą potu i czuję ścisk w żołądku. Już chcę krzyknąć ze strachu, ale dźwięk więźnie mi w gardle. Rozważam, czy nie spróbować zwać, ale wiem, że nie dam rady prześcignąć radiowozu. Zatrzymuję się zatem w pół kroku i, dysząc, patrzę, jak ten sam funkcjonariusz, który wcześniej za mną jechał, teraz wysiada z auta i idzie w moją stronę.

- Nie powinnaś być w szkole, młoda pani? - pyta.

Pochylam się, żeby złapać oddech i duszę w sobie łańcuch przekleństw. Zapomniałam, jak młodo wyglądam w tym szesnastoletnim ciele. Plecak też nie pomaga.

- N-nie, proszę pana - jąkam się, jak gdybym w ustach miała pełno bawełny. - Właśnie szłam do pracy. Zajęcia na uniwersytecie mamy dopiero jutro. - To prawdopodobne kłamstwo. Do kampusu jest niedaleko, a poza tym wyjaśnia, czemu noszę plecak.

- Nie wątpię - odpowiada z przelotnym uśmiechem. - Dokumenty proszę.

- A... ee... Nie mam ich przy sobie. - Nie poddaję się.

- Mówię poważnie. Proszę pokazać mi dokumenty. Czuję, że się rumienię i bez słowa otwieram plecak, po czym podaję policjantowi prawo jazdy Kailey. Przy-  
patruje mu się bardzo długo, po czym kręci głową.

- Wsiadaj. - Patrzy na radiowóz.

- Dlaczego? - pytam.

- Nie zamknę cię z tyłu, ale musimy jechać na komisariat, gdzie zadzwonię do twoich rodziców.

O Boże, do Morganów. Ostatnie, czego im trzeba, to dowiedzieć się, że córka, której poprzedniego dnia omal nie stracili na zawsze, w ciągu nocy zmieniła się w młodocianą przestępczynię.

- Błagam pana... Proszę, niech pan do nich nie dzwoni. Przysięgam, że już nigdy nie pójdę na wagary.

Funkcjonariusz uśmiecha się z żalem.

- Wiesz, na czym polega twój problem, Kailey? Moje problemy nie zmieściłyby się w jego notesie,

a gdyby je poznał, musiałby zakwestionować wszystko, co do tej pory myślał o świecie, ale trzymam język za zębami.

- Twój problem - ciągnie, słysząc, że nie odpowiadam - polega na tym, że fatalnie kłamiesz.

## Rozdział 14

Komisariat cuchnie starą kawą i męską wodą kolońską, a fluorescencyjne światła nad głowami nadają moim dłoniom niezdrowy odcień żółtawej zieleni. Siedzę na twardym, plastikowym krześle za biurkiem i w tym miejscu zastaje mnie wchodząca rodzina Morganów. Tata i mama Kailey nawet nie chcą na mnie spojrzeć, ale Bryan unosi brwi na znak pełnego zazdrości szacunku.

Policjant prowadzi rodziców do prywatnego pomieszczenia na rozmowę, a Bryan zajmuje miejsce koło mnie.

- Nie wiedziałem, że taka z ciebie niegrzeczna dziewczynka - szepcze.

Nic nie mówię, tylko powoli kręcę głową. Kuksa mnie w bok, więc pozwalam sobie na delikatny uśmiech.

Państwo Morganowie wychodzą z rozmowy. Oboje zaciskają wargi i nadal na mnie nie patrzą. Zaczerwieniona twarz pana Morgana zabawnie kontrastuje z bladą jak popiół cerą mamy Kailey, ale widzę, że oboje są wściekli.

Tamy pękają, ledwo wyjeżdżamy z parkingu.

- Najpierw odbieramy cię ze szpitala, teraz z policji, co jest następne? Kostnica? - wybucha pan Morgan, z emfazą waląc dłońmi o kierownicę.

Krzywię się na dźwięk słowa „kostnica”... Tam właśnie powinno być teraz moje ciało. Nie mam nawet szansy odpowiedzieć, bo do rozmowy włącza się pani Morgan.

- Prawdę mówiąc, winię siebie - wzdycha. - Zawsze pozwalaliśmy ci na zbyt wiele.

- Nie! - przerywa jej ostro pan Morgan. - To nie jest nasza wina. Policjant powiedział nam, że go okłamałaś. Wymykanie się ze szkoły to jedna sprawa, ale myślałem, że nauczyliśmy cię, żebyś zawsze mówiła prawdę. - Marszczy brwi. - Nie tak cię wychowaliśmy.

- Dokąd ty się w ogóle wybierałaś? - pyta stanowczo pani Morgan. - Czy to ma coś wspólnego z tym, co robiłaś w sobotni wieczór?

- Ja, eee - waham się. Czemu właściwie Kailey pojechała tam w sobotni wieczór?

Zerkam na Bryana, który stanowczo zbyt dobrze się bawi. Rzucam mu mordercze spojrzenie, ale on tylko uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Maluję żurawie - kończę w końcu. - To mój nowy projekt.

- Po nocach? - pyta sceptycznie pan Morgan.

- Masz szlaban - mówi pani Morgan, patrząc na nas w lusterku. Bryan uśmiecha się ze złośliwą satysfakcją. - Dwa tygodnie, jak nie dłużej.

Pan Morgan energicznie przytakuje.

- Nie wyjdiesz nigdzie poza szkołę. I żadnej telewizji.

Rodzice Kailey obsztorcowują mnie przez całą drogę do domu, ale wyłączam się z rozmowy i skupiam na cichutkim głosie, który podszeptał mi pewną myśl w chwili, gdy funkcjonariusz zatrzasnął za mną drzwi od samochodu.



Ilekroć starałam się zakończyć życie, ktoś mnie powstrzymywał. Za każdym razem. To mogło świadczyć o mojej niekompetencji - w końcu byłam z Cyrusem od sześciuset lat i nic dziwnego, że gdy musiałam sama poradzić sobie ze światem, napotkałam pewne trudności. Potem jednak myślę o tej nocy, kiedy przemieniłam się w Kailey, o wizji mojej mamy szepczącej: Jeszcze nie czas i czuję, że coś, albo ktoś po prostu nie chce, żebym umarła.

Przypominam sobie o pełnej obrzydzenia minie, którą Cyrus zareagowałby na wszelkie podobne uwagi. Cyrus nie wierzy w los ani w ogóle w nic poza fizycznym światem, po którym porusza się z taką wprawą. Współczesna nauka to dziecko alchemii, mawiał. Każda magia ma swoje racjonalne wyjaśnienia.

Myśl, że wszechświat chce mi coś powiedzieć sprawia, że jeżą mi się włosy na rękach. O ile sędzę, że Cyrus ma za mało otwarty umysł i niepotrzebnie odrzuca wszelkie idee dotyczące duchowości, o tyle muszę przyznać, że nigdy nie widziałam nic, co przemawiałoby przeciwko niemu. Nie widziałam ducha, nie słyszałam prorocstwa, nigdy nawet nie uwierzyłam, że jest coś poza ziemskim życiem. Teraz jednak, gdy usiłowałam je zakończyć, wydaje mi się, że jakaś niewidzialna ręka prowadzi mnie inną ścieżką.

Chociaż moje obecne wcielenie nie przypomina poprzednich, to serce bije mi równie mocno jak kiedyś i z każdym uderzeniem przypomina o tym, że wciąż żyję i to pełną piersią. Może, szepcze głos, może tego powinnaś się trzymać.

Wiercę się na siedzeniu, pocierając szyją o niewygodny pas. Wyglądam za okno. Naciągam kapelusz Kailey na uszy i przymykam oczy, pozwalając,

by słońce obmyło mi powieki. Nie obmyśliłam jeszcze szczegółów planu, ale podjęłam decyzję.

Nie zakończę życia. Nie teraz. Nie jestem córką tych ludzi, ale mam wobec nich dług. Zostanę z nimi, będę udawać Kailey i wymyślę, jak zapewnić im ukojenie. Postaram się wytropić Taryn, a także znaleźć i zniszczyć książkę. I popracuję nad planem ucieczki.

Dzisiejsze wydarzenia nauczyły mnie, że nie będzie łatwo - straciłam samochód, pieniądze i nie mam pojęcia, czy Cyrus nie jest już na moim tropie. Jednak dzięki zdrowemu ciału Kailey zyskałam trochę czasu, żeby poradzić sobie ze wszystkim.

Po rodzinnej kolacji, w trakcie której panowało lodowate milczenie, wracam do pokoju Kailey, zamykam drzwi i natychmiast odpalam laptop. Szukam Taryn na wszelkie sposoby - Facebook, MySpa-ce... Wstukuję w Google: „Taryn + Berkeley”, „Taryn + Saloon”, a nawet „Taryn + czarne włosy”, ale bez efektów. Potem koncentruję się na saloonie, którego telefon znajduję na stronie Yelp.

Czekam dwa dzwonki.

- Dobry wieczór, czy jest Taryn?

- Kto? - pyta szczerliwie mężczyzna po drugiej stronie słuchawki.

- Taryn. Jest stałą bywalczynią... widziałam ją u państwa dwa dni temu - mówię, zastanawiając się, czy rozmawiam z facetem, który długo wpatrywał się w moje dokumenty, zanim zechciał sprzedać mi wino.

- Taryn?

- Tak! Taka czarnowłosa dziewczyna...

- Nie mam pojęcia, o kim pani mówi - przerywa mi mężczyzna, po czym odkłada słuchawkę. Wpatruję się w telefon z mieszaniną rozczarowania i frustracji.

Dopóki mam szlaban, nie będę mogła iść do baru osobiście, żeby zadać kilka pytań.

Ale Taryn nie jest jedyną osobą, którą potrzebuję odnaleźć. Żeby skutecznie grać rolę Kailey, muszę dowiedzieć się o niej absolutnie wszystkiego. Rozglądam się po pokoju i zastanawiam, od czego najlepiej zacząć.

Biorąc pod uwagę jej artystyczne talenty, zakładam, że gdzieś znajdę pamiętnik. Podchodzę do łóżka i sięgam między materac a sprężyny, ale nic nie znajduję.

Mój wzrok przyciąga ramka z grafiką wisząca obok lustra. Obrazek przedstawia dziewczynę w wianku z kwiatów, za którą wschodzi srebrzysty, okrągły księżyc. Dziewczyna przytyka palec do ust, jak gdyby bała się przemówić.

Delikatnie zdejmuję ramkę ze ściany i wyczuwam, że ma nierówną tylną stronę. Gdy ją obracam, widzę, że jest tam wciśnięty notes. Bingo.

Siadam przy biurku Kailey i przeglądam strony. Mam wyrzuty sumienia, jak gdybym ją szpiegowała, ale gdy przyglądam się rysunkom, wydaje mi się, że wyczuwam niemal jej obecność. Jest tak wyrazista, jak gdyby Kailey chciała mi to pokazać - żebym zrozumiała, co straciła.

Są to głównie portrety: mama w ogrodzie, Bryan zawiązujący sznurowadła z cierpką miną. Miała niebywałą zdolność uchwycenia istoty ich osobowości i pokazania ich w kilku drobnych szczegółach. To był jej język, myślę. W ten sposób porozumiewała się ze światem i w ten sposób spisywała swoje życie.

Wiele portretów przypomina Kailey, ale zawsze mają elementy fantastyczne. Na jednym z rysunków klęczy przy hydrancie, wokół niej leży mnóstwo

rozbitego szkła, a z pleców wyrastają jej skrzydła. Na innym stoi z wyciągniętą ręką i pokazuje palcem opuszczoną ulicę. Pokazuje ją smokowi, który stoi obok jakiegoś samochodu. Wszystkie jej prace są odważne i realistyczne, ale zawsze jest w nich coś, co mówi wyraźnie, że ta dziewczyna wierzyła w magię.

Przypominam sobie książkę Cyrusa, te pieczołowicie wyrysowane manuskrypty, w których opisywał wyniki badań. Żołądek skręca mi się na myśl o Taryn, która może właśnie przeglądać tamte ryciny - tak jak ja grzebię w dzienniku Kailey.

Kartkuję strony, aż docieram do wewnętrznej części okładki, gdzie znajduję zaszyfrowaną notatkę: „FB - wróżka510, EM - to samo”. Natychmiast przychodzi mi do głowy, co to jest: hasła Kailey do Face-booka i poczty e-mail. Punkt dla mnie, myślę i zabieram się do pracy.

W poczcie nie znajduję zbyt wielu osobistych informacji, chociaż udaje mi się wygrzebać załącznik z rozkładem zajęć. Wchodzę na stronę liceum Berkeley, gdzie jest też mapa kampusu. Składa się z wielu budynków, które razem tworzą kwadrat, a tereny wspólnej rekreacji umieszczone zostały głównie na zewnątrz tego kwadratu. Wyszukuję miejsca, w których Kailey ma zajęcia i staram się wszystko zapamiętać.

Klikam na ikonę Facebooka, po czym loguję się na jej konto. Kailey ma ponad siedmuset znajomych. Nie mogę w to uwierzyć - w ciągu całego mojego długiego życia nie znalazłoby się chyba siedemset osób, które poznały choćby moje imię, nie wspominając już o prawdziwej znajomości.

Zaczynam przeglądać listę, ale szybko się poddaję. Nie ma szans, żebym to wszystko zapamiętała.

Przewijam coraz szybciej, twarze mieszają się ze sobą i przestają cokolwiek mi mówić. Ale jedna zdecydowanie się wyróżnia. To chłopak z sąsiedztwa. Naprawdę nazywa się Noah. Noah Vander.

Przeoglądam posty na ścianie. Widzę, że tylko cztery dziewczyny regularnie piszą coś do Kailey. Pewnie to bliższe przyjaciółki. Znajduję Leylę Clark, dziewczynę o czerwonych włosach, którą widziałam na zdjęciach. Chyba to ona jest najlepszą przyjaciółką Kailey, więc będzie ją najtrudniej oszukać. Jej posty świadczą o dużej zażyłości, co budzi we mnie smutek. Bardzo tęsknię za Charlotte. Chciałabym jakoś się z nią skontaktować, dać znać, że nic mi nie jest, poprosić o pomoc... ale wiem, że to niemożliwe. Nie zdołałaby ukryć sekretu przed Cyrusem. A on ukarałby ją za współudział, po czym natychmiast wróciłby po mnie.

Spisuję sobie nazwiska pozostałych dobrych przyjaciółek Kailey - Chantai Nixon, Madison Cortez i Piper Lindstrom - i przyglądam się ich zdjęciom. Jakaś dziewczyna pojawia się na wielu grupowych fotografiach, ale co dziwne, nie ma jej na liście znajomych Kailey. Jej imię także sobie zapisuję, to Nicole Harrison. Jest ładna, ma lśniące, brązowe włosy i jasne, delikatne piegi. Chyba jest w dobrych stosunkach z resztą ekipy Kailey. Ciekawe, co zaszło między nimi.

Z profilu Kailey dowiaduję się, że jest wolna, i chociaż w skrzynce ma sporo wiadomości od mężczyzn, żadna z nich nie świadczy o głębszej znajomości czy flircie. O ile mogę stwierdzić, Kailey nie ma chłopaka, co oczywiście wiele ułatwia. Nie wyjaśnia jednak, dokąd jechała w noc, w którą zginęła. Chyba podobnie jak jej rodzice pochoptionie założyłam, że chodziło o jakąś randkę.

Nagły brzdęk dobiegający od strony okna przyprawia mnie o gwałtowne bicie serca. Zrywam się i wycofuję plecami w stronę drzwi. O Boże, myślę, i w tej samej chwili jestem pewna, że zaraz zobaczę w oknie twarz Cyrusa. Myśl ta wywołuje gwałtowne pocenie się czoła i przyływ adrenaliny.

Chwytam za najbliższy ciężki przedmiot - metalową kasetkę na biżuterię z toaletki Kailey - po czym naciskam wyłącznik światła, który jest tuż przy drzwiach. Pokój pogrąża się w ciemnościach. Klękam na podłodze. Słyszę dźwięki dobiegające z zewnątrz, jakieś drapania i chrzęst. Zaciskam powieki, po czym otwieram je gwałtownie. Oddycham urywanymi haustami.

- Kailey! To tylko ja - szepcze jakiś głos. Otwieram oczy i zmuszam się, by wyjrzeć za okno. Powoli ukazuje mi się czyjaś twarz. To Noah.

- Wystraszyłeś mnie! - warczę, wstając. Jestem wściekła, ale ogarnia mnie ulga. Noah bezceremonialnie wspina się na okno, uderzając płócienną torbą z zakupami o ścianę. Przytykam palec do ust i mamrocze „ciiii”.

- Podobno masz szlaban - szepcze z uśmiechem. - Bryan mi mówił. - Przełazi przez łóżko i staje obok mnie. Jest dość wysoki. Ma na sobie szare sztruksowe spodnie i tę samą czarną koszulkę, w której widziałam go wczoraj. W załawkach jego ubrań zostało jeszcze trochę nocnego powietrza.

- Naprawdę nie powinieneś tak się zakradać do ludzi. Omal nie przyprawiłeś mnie o atak serca - syczę, wskazując mu miejsce na łóżku. Włączam światło, ale teraz wydaje się zbyt jasne. Uderza mnie nagły lęk, że światło sprowadzi do pokoju Morganów, którzy będą chcieli sprawdzić, co robię, więc błyskawicznie je wyłączam.

- Wiesz, światło specjalnie nie hałasuje - mówi Noah, rozpinając bluzę. Nie potrafię powstrzymać się od śmiechu.

- Przepraszam, w zamknięciu dostaję paranoi! -szepczę, siadając za biurkiem Kailey. Odsuwam krzesło o kilkanaście centymetrów. Zapada niezręczna cisza.

- Słyszałem, że dostałaś dzisiaj niezły wycisk.

- Została ze mnie mokra plama - żartuję. - Dwie godziny bez przerwy!

Odgarnia palcami czarne włosy. Trudno mi to stwierdzić w ciemnościach, ale wydaje mi się, że dostrzegam ślad rumieńca na jego opalonej twarzy. Z jakiegoś powodu przypominam sobie pierwsze spotkanie z Cyrusem. Zastanawiam się, czemu Noah tu przyszedł. Czy to się często zdarzało?

Noah odchrząknął.

- Wiedziałem, że zostałaś uwięziona, więc przybywam z darami - wyjaśnia, jak gdyby czytał mi w myślach.

Sięga do torby i wyciąga smakołyki: babeczkę, brownie i butelkę gazowanego napoju z granatów.

- Dziękuję - mówię, szczerze wzruszona, że Kailey miała w swoim życiu kogoś, kto szmuglował jej babeczki.

- Nie ma sprawy - odwraca wzrok i bawi się sznurowadłami przy znoszonych adidasach. - To nic takiego.

Znów zapada długa cisza, ale nie kwapię się, żeby ją przerwać. Doświadczenie nauczyło mnie, że gdy minie dostatecznie dużo czasu, ludzie zawsze zaczynają mówić, a ja potrzebuję wszelkich informacji, jakie tylko mogę zdobyć.

- Dokąd to się dziś wymknęłaś? - Patrzy mi w oczy.

- Nigdzie się nie wymykałam. Po prostu nie byłam w nastroju, żeby siedzieć w szkole - mówię lakonicznie. - Czy ktoś o mnie pytał? Nie mówiłeś nic na temat mojego wypadku, prawda?

Pociąga za kołnierz koszuli, ukrywając urażoną minę.

- Oczywiście, że nie. Przecież dałem ci słowo. Widzę, że zraniłam jego uczucia.

- Przepraszam. - Wzdycham. - To był długi dzień. Noah pogodnieje i znów się uśmiecha.

- No, myślę, że starcie ze stróżami prawa może być wyczerpujące.

- Nawet nie wiesz jak bardzo - przyznaję. - Dzięki za babeczkę. Czekoladowe to moje ulubione.

- Zawsze do usług. Chyba nie powinienem cię dłużej trzymać, bo brak snu źle wpływa na urodę. - Uśmiecha się raz jeszcze i wchodzi na parapet. Znów uderza mnie, jak piękna jest ciemnoniebieska barwa jego oczu i ta silna szczęka. - A, zapomniałbym! - Zeskakuje z powrotem i podnosi iPhone Kailey. - Pewnie odcięli ci telewizję. A co z telefonem?

- Nie wspominali nic na temat telefonu - odpowiadam.

- W takim razie nie złamiemy reguł - mówi Noah, stukając w dotykowy ekran. Oddaje mi iPhone. - Dobrej nocy - mówi cicho, wyślizgując się za okno. Zamykam je za nim, blokując dostęp jesiennego powietrza, po czym sprawdzam, co takiego zrobił z telefonem Kailey.

Dodał aplikację „Proszę cię na słówko”, darmowy programik w stylu scrabble. Stukam w ikonkę i widzę, że Noah już zaczął grę. Jego pierwsze słowo to SKRADANIE, a litera K wylądowała na polu, dzięki któremu wartość słowa mnoży się przez dwa. Patrzę na to,



co mi się dostało. Mam ZPGIEMN. Mało użytecznych samogłosek... Pożyczam sobie jego S i tworzę słowo SZPIEG, po czym siadam na łóżku w miejscu, które zajmował przed chwilą Noah. Wciąż jest ciepło.

Zastanawiam się, co łączyło go z Kailey - czy naprawdę się przyjaźnili? Podnoszę kasetkę na biżuterię, po czym odkładam ją na toaletkę i włączam lampkę. Rzuca mi się w oczy małe, oprawione zdjęcie - przedstawia Kailey i Noaha jako dzieci, mogą mieć po pięć czy sześć lat. Ona jest zniecierpliwiona, trzyma ręce na szczupłutkich biodrach i patrzy prosto w kamerę, a w jej wzroku czai się wyzwanie. Chyba nie miała nastroju, żeby się uśmiechnąć.

## Rozdział 15

Wtorkowy rano jest szary i deszczowy. Woda zalewa stare, drewniane okna domu Morganów. Wszystko przebiega identycznie jak wczoraj, z tą różnicą, że pani Morgan traktuje mnie nader chłodno, a Bryan każe mi usiąść z tyłu tym razem dlatego, że jestem „kryminalistką”. Nawet nie wie, z kim się zadaje.

Jedziemy w milczeniu, słuchając nowego albumu Broken Bells i o wiele zbyt szybko dojeżdżamy na miejsce. Po raz setny sprawdzam plan lekcji Kailey, po czym wysiadam z samochodu. Noah znów szybko się ulatnia, ale teraz już wiem, że chodzili na ten sam kurs z biologii. Zastanawiam się, czemu nie chce iść razem ze swoją przyjaciółką. Bryan popycha mnie na przód, po czym razem przebiegamy przez parking, skacząc między kałużami. Na powierzchni wody tworzy się oleista powłoka, na której widać małe tęcze. Tym razem Bryan czeka, aż faktycznie wejdem do szkoły - niewątpliwie na skutek instrukcji od rodziców - po czym żegna się szybkim „do zo”.

Zostaję sama. Biorę głęboki oddech i wkraczam do akcji. Oglądałam w telewizji, jak wygląda życie współczesnych nastolatków, ale jeszcze nigdy sama nie przekroczyłam progu szkoły. Pierwsze wrażenie to hałas - śmiechy i przepychanki, a także krzyki nio-

są się echem po pokrytych jaskrawobiałym stiukiem budynkach. Architektura jest eklektyczną mieszanką wszelkich możliwych stylów, od lat trzydziestych XX wieku aż po czasy obecne, a studenci są tak samo różnorodni.

W którą stronę iść? Staram się dopasować to, co widzę, do tego, co pamiętam z mapy, i w końcu po chwili wahania skręcam w prawo. Nade mną jest jakaś przerwa w dachu, przez którą spadają na mnie wielkie krople wody. Uderzają prosto w oczy, więc szybko uskakuję i wycieram powieki.

Kilkoro dzieciaków mówi mi „cześć”, na co odpowiadam niepewnym machnięciem dłoni. Staram się iść zdecydowanym krokiem, ale szybko uświadamiam sobie, że kompletnie straciłam orientację. Odwracam się i ruszam w przeciwnym kierunku. Dzwoni jakiś dzwonek, a ja aż podskakuję, czując nadchodzący atak paniki. Jeśli nie zdołam wymyślić, dokąd iść, wpadnę na lekcję spóźniona. I wszyscy będą się na mnie gapić.

Zauważam damską łazienkę po drodze i z wdzięcznością chowam się w środku. Zamykam drzwi od wewnątrz, po czym przymykam oczy, czekając, aż mój oddech powróci do normy. Zanurzam dłoń w kieszeni, by znaleźć mapę, którą naszkicowałam poprzedniego wieczoru. Nagle uświadamiam sobie, gdzie muszę być.

Trochę spokojniejsza wychodzę z łazienki i znajduję drogę do pracowni biologicznej. Nie boję się, że zajęcia będą dla mnie zbyt trudne. Muszę oddać Cy-rusowi jedno: był wspaniałym nauczycielem i dał mi solidne wykształcenie w dziedzinie matematyki, nauk przyrodniczych i literatury. Z łatwością rozwiązuję chemiczne równania, mogę dyskutować na temat

zawiłych fragmentów argumentacji Sokratesa albo zaprezentować długi wywód na temat historii Grecji.

Docieram do drzwi sali, po czym zamieram -gdzie powinnam usiąść? Widzę, że Noah siedzi z przodu i zastanawiam się, czemu facet, który wozi mnie po mieście i przynosi babeczki, w szkole zachowuje się, jak gdyby mnie nie znał. Mimo mojego długiego życia postępowanie nastoletnich chłopców wciąż jest dla mnie nieprzeniknioną zagadką. Na wszelki wypadek zaczynam jednak iść w jego stronę - w końcu to jedyna znajoma twarz. Zatrzymuje mnie nauczyciel.

- Panno Morgan - mówi grobowym tonem. - Proszę zająć stałe miejsce, żebyśmy mogli zacząć lekcję.

Zatrzymuję się i patrzę, co wskazuje nauczyciel. Widzę dwa puste krzesła obok siebie, więc z wahaniem ruszam w ich stronę.

- Ależ proszę się nie spieszyć, mamy czas - poganiam mnie nauczyciel.

Biorę głęboki oddech i w myślach rzucam monetą. Padło na ławkę przed śliczną dziewczyną o długich, lśniących, brązowych włosach. Uśmiecha się do mnie, ale patrzy chłodno. Przed zajęciem miejsca jeszcze raz zerkam na Noaha. Dziewczyna podąża za moim spojrzeniem. Ze zdziwieniem przypominam sobie, że tak wygląda Nicole Harrison, dawna przyjaciółka, z którą Kailey z jakichś powodów zerwała znajomość.

Pozostali uczniowie mają już przed sobą na laboratoryjnych stolikach otwarte zeszyty i podręczniki. Podążam za ich przykładem. Notatnik Kailey jest cały pogryzmołony. Marginesy wypełniają kwiatki, portrety innych uczniów i abstrakcyjne wzory. Naprawdę specjalizowała się w rysunku.

Odwracam kartkę i zapisuję datę, osiemnasty października. Wpatruję się przez chwilę w moje staro-

modne liternictwo, po czym uświadamiam sobie, że muszę postarać się naśladować Kailey, chociaż jak na mój wybredny gust, jej charakter pisma woła o pomstę do nieba. Przewracam kolejną stronę i zaczynam od nowa. Rozluźniam rękę i polegając na pamięci mięśni, usiłuję odtworzyć przestylizowane, drukowane litery.

"Oddychanie komórkowe", pisze nauczyciel na tablicy po czym rozpoczyna wykład. Posłusznie przepisuję zwrot, ale mój umysł niemal natychmiast zaczyna zajmować się innymi sprawami.

Jak mogę uciec? Teraz już wiem, że nie mogę po prostu zniknąć. Morganowie bez wątpienia zgłosiliby zaginięcie i uruchomili system AMBER, co oznaczałoby, że moja twarz zawiśnie na każdym większym słupie ogłoszeniowym. Zaginięcie nastolatki w Bay Area z pewnością przykułoby uwagę Cyrusa. Po cichu dziękuję policjantowi, który wczoraj mnie zgarnął.

Bez względu na to, od czego zacznę, zawsze dochodzę do tej samej konkluzji. Morganowie muszą uwierzyć, że Kailey nie żyje. To jedyny sposób, żeby przestali jej szukać. Czy powinnam zainscenizować kolejny wypadek samochodowy? Pożar? Podłożyć list samobójczy, w którym wyznaję, że skoczyłam z mostu

Golden Gate?

Od tego bezdusznego planowania czuję zbierającą się żołą w gardle, chociaż zarazem mam dziwną pewność, że zaaranżowanie jakiegoś wypadku to najlepsze co mogę zrobić dla Morganów i dla pamięci Kailey' Poza tym mogę tylko sobie obiecać, że już nigdy nie przejmę nowego ciała. Zostanę w skórze Kailey tak długo, jak tylko się da, aż do ostatniego, rżęącego oddechu. Nędzne pocieszenie, ale zawsze coś.

O rzeczywistości przypomina mi wibracja iPhone'a Kailey którego wsadziłam do tylnej kieszeni dzinsów.

Zegar na ścianie podpowiada, że lekcja kończy się już za parę minut. Nauczyciel gędzi bez końca, aż zastanawiam się, jakim cudem nie wszyscy uczniowie jeszcze śpią. Rozglądając się, widzę morze zaspanych, znudzonych oczu.

Niepostrzeżenie wyciągam telefon z kieszeni i zerkam na niego pod biurkiem. To wiadomość od Leyli.

„Tęskniłam za tobą! Czy ty tu w ogóle jesteś?”

Chyba nie bardzo, myślę i w tym momencie rozlega się dzwonek.

W porze lunchu jestem już wyczerpana i mam dość. Zajęcia są łatwe, ale interakcje z ludźmi zupełnie nie. Nigdy nie wiem, gdzie usiąść ani z kim powinnam rozmawiać, a nauczyciele są zszokowani każdą moją odpowiedzią. Jak się wydaje, Kailey nie była zbyt pilną uczennicą, ale nie mam pojęcia, czy z powodu tępoty, czy raczej braku zainteresowania.

Wychodzę z lekcji angielskiego - kurs Szekspir I -i daję się porwać rzece uczniów zmierzających do kafeterii. To wielkie, okrągłe pomieszczenie zalane naturalnym światłem: jego ściany są wykonane niemal w całości ze szkła.

Usiłuję wyłowić jakieś twarze z tłumu uczniów, ale zaczynam panikować. Niektórzy wyglądają trochę znajomo, ale nie widzę żadnej z tych osób, które wczoraj tak bardzo starałam się zapamiętać. Nie ma nawet Noaha czy Bryana. Żyję bardzo długo, ale jeszcze nigdy nie czułam się do tego stopnia nie na swoim miejscu.

- Co ty wyprawiasz? - mówi jakiś głos prosto do mojego ucha i w tej samej chwili czuję uścisk na łokciu.

Odwracam się i rozpoznaję, kto mnie szarpnął. To Leyla Clark, najlepsza przyjaciółka Kailey. Przyklejam sobie uśmiech do twarzy, żeby pokryć zdziwienie.

- Cześć, Leyla.

- No witaj, Kailey - mówi kpiącym tonem Leyla, po czym obraca mnie i wyprowadza z kafeterii.

Mój wzrok przykuwa spódnica Leyli, kolorowy patchwork, najprawdopodobniej ręczna robota. Nawet nie pytam, dokąd idziemy - tak się cieszę, że nie muszę wchodzić do kafeterii sama, że jest mi już wszystko jedno.

- Tak się cieszę, że wróciłaś. Dobrze się czujesz? Bryan mówił, że chorowałaś. Właściwie to jestem ci wdzięczna za pretekst, żeby z nim pogadać! - Leyla trajkuje przez całą drogę przez skrzydło teatralne, aż docieramy do wąskiej klatki schodowej. Na chwilę stają mi przed oczami schody w Szmaragdowym Mieście. Ogarnia mnie przejmujące wrażenie, że tak samo jak tamtego wieczoru czeka mnie krok, po którym nie będę już mogła zawrócić.

- Co jest z tobą? Wszyscy czekają! - Leyla uśmiecha się niecierpliwie, więc podążam za nią po skrzypiących schodach. Wymija jakąś grubą zasłonę, za którą znajduje się małe, ukryte pomieszczenie.

Gdy wchodzę, uderza mnie zapach chińszczyzny i głośnie śmiechy.

- Cześć, Kailey! Dobrze cię widzieć! - mówi jakaś dziewczyna w swetrze koloru kości słoniowej, który znakomicie pasuje do jej kawowej skóry. Poznaję, że to Chantai Nixon. W przeciwieństwie do reszty znajomych Kailey, wygląda jak wymuskana księżniczka.

- Dzięki - mówię, dołączając do kręgu na dywanie. Pokój pokrywają graffiti i chaotyczne kolaże. Mam wrażenie, że w wielu obrazkach rozpoznaję styl Kailey. To chyba ona namalowała dziewczynę leżącą pod drzewem, fioletowy rower, jelenia z kwiatami i wstążkami na porożu.

Są tu także Piper Lindstrom i Madison Cortez. Gratuluję sobie w duchu wiedzy zgromadzonej dzięki facebookowemu śledztwu. Obie należą chyba do frakcji rockandrollowej, mają porwane, obcisłe džinsy i T-shirty zespołów, o których w życiu nie słyszałam.

Błyskawicznie rozpoznaję też Nicole, dziewczynę, która popatrzyła na mnie paskudnie rano na biologii. Nie je chińszczyzny z kartoników jak reszta, tylko sałatkę z drewnianej miski. Nosi się jak hipis z wyższej półki. Ma wygodne, skórzane buty, które wyglądają, jak gdyby sporo kosztowały i miękki zielony top.

W klanie każde z nas odgrywało określoną rolę: Cyrus był przywódcą tyranem, ja jego pokorną wybranką, Jared dbał o dyscyplinę i wykonywał brudną robotę, Amelia trwała u boku wodza jako pełna uwielbienia towarzyszka, Sébastien działał w ukryciu, a Charlotte pełniła funkcję mojej najlepszej przyjaciółki. Zaczęłam się zastanawiać, kim była Kailey w swojej paczce.

Piper podaje mi kartonik ze smażonym ryżem, więc jem kilka kęsów i puszczam go w obieg. Nicole obdarza mnie lodowatym uśmiechem.

- Lepiej się czujesz? Rano na biologii byłaś kompletnie nieobecna.

Madison zamiera z ryżem w ręku i podnosi na mnie zmartwiony wzrok.

- Jesteś jeszcze chora? - Patrzy znów najedzenie, po czym ostrożnie je odstawia.

- Nie, ale dzięki za troskę, Nicole - odpowiadam neutralnym tonem, chociaż już dawno postanowiłam mieć tę dziewczynę na oku.

Moją uwagę przykuwa srebrna bransoletka na nadgarstku Nicole. Ostrożnie rozglądam się po pomieszczeniu i odkrywam, że Piper i Madison mają ta-



ką samą biżuterię, ale Leyla nosi tylko cieniutki pasek czerwonej skóry.

- Na co tak patrzysz? - pyta ostro Nicole.

- Na nic - mamroczę, gryząc brokuła, którego wyciągnęłam z kolejnego kartonika, który dostałam od Piper. Leyla patrzy na mnie dziwnie.

- A myślałam, że nie znosisz brokułów - mówi.

- One są... zdrowe - jękam się. Leyla wyciąga palec w moją stronę.

- Kim ty jesteś i co zrobiłaś z Kailey?

Krew odpływa mi z twarzy i czuję, że drętwieją mi nogi. Zerkam na drzwi, żeby obliczyć, jak szybko mogę znaleźć się na schodach, a potem na zewnątrz.

Ale Leyla tylko śmieje się i potrząsa czerwonymi włosami.

- W każdym razie - ciągnie. - Czy możemy wreszcie wrócić do sprawy przyjęcia?

- Idziesz, prawda, Kailey? - chce wiedzieć Madison.

- Ale na co? - pytam. Myślę, że skoro wczoraj me było mnie w szkole, to nie muszę udawać, że o wszystkim słyszałam.

- Na imprezę do Dawsona w czwartek - piszczy z niedowierzaniem. - To na wzgórzach, w Montclair. Jego rodzice gdzieś tam wychodzą. Rozmawiamy o tym najwyżej od dwóch tygodni.

- A, o to chodzi... Ee... Nie mogę iść - mówię, mając nadzieję, że w moim głosie słychać bolesne rozczarowanie. - Dostałam szlaban.

- Naprawdę? - Chantal nie chce wierzyć. - Za co? Za to, że jestem fatalnym porwaczem ciał, myślę.

- Wdałam się w kłótnię z mamą. To głupia historia.

- Czy to znaczy, że Bryan też nie idzie? - pyta Leyla z napięciem w głosie.

- Nie mam pojęcia - odpowiadam. - Może lepiej sama go zapytaj.

- Skoro nalegasz. - W jej piwnych oczach pojawiają się iskierki.

Nicole odchrząkuje.

- A myślałam, że nie wolno nam rozmawiać z twoim bratem? - Rumieni się pod warstwą piegów, a w jej spojrzeniu pojawia się wyzywający błysk. Zatyka za ucho luźno zwisający kosmyk.

Leyla i Nicole wymieniają niezrozumiałe dla mnie spojrzenia, po czym Madison błyskawicznie zmienia temat.

Dziewczyny szczebioczą o tym, co włożą na imprezę, a ja przypatruję się tej paczce przyjaciółek związanych latami wspólnych doświadczeń i żartów zrozumiałych tylko dla nich. Myślę o tym, jak dobrze znałam Charlotte. Wiedziałam, że prychnie przez nos, kiedy jest zażenowana, że zapamiętuje cokolwiek tylko wtedy, jeśli wymyśli o tym piosenkę. I ona знаła na wylot mnie. Jedyne, co kiedykolwiek przed nią zataiłam - to decyzja o opuszczeniu klanu.

Tak bardzo skupiałam się na wcieleniu w Kai-ley i poszukiwaniu książki Cyrusa, że dopiero teraz uświadamiam sobie, jak bardzo jestem samotna. Nikt me zna mojego prawdziwego imienia ani nie wie kim naprawdę jestem. Gdy o tym myślę, mam ochotę po prostu wybuchnąć płaczem.

Wtedy jednak odzywa się mój telefon. Patrzę na ekran. To wiadomość od Noaha; ułożył kolejne słowo. PRZYJAŹŃ. I zaczynam się zastanawiać, czy naprawdę jestem tak samotna, jak myślałam.

## Rozdział 16

Drugi dzień szkoły jest już trochę łatwiejszy. Wiem, dokąd iść i gdzie siedzieć. Nie boję się odezwać na lekcji angielskiego, a moje refleksje na temat *Hamleta* robią wrażenie na nauczycielu. Zjadam lunch z przyjaciółmi Kailey, i chociaż wciąż dręczy mnie nieśmiałość, nie czuję się już tak podminowana. Pomaga mi fakt, że Nicole jest u lekarza - „Czy to nie już piąta wizyta w tym miesiącu”, zapytała podejrzliwie Chantal -w związku z czym nie ma jej z nami. Udawaj, a ci się uda, żartowałyśmy z Charlotte, ilekroć czułyśmy się zdezorientowane po zmianie ciała albo przeprowadzałyśmy się do nowego domu, który nam się nie podobał. Teraz bez przerwy powtarzam sobie tę mantrę.

Muszę zostać dłużej, żeby napisać test z francuskiego, który Kailey przegapiła, kiedy związałam ze szkoły, ale idzie mi błyskawicznie i po półgodzinie jestem wolna. Wybiegam przez frontowe drzwi wraz z innymi nieszczęśnikami zatrzymanymi po lekcjach. Bryan jest na treningu, a Noah już dawno poszedł do domu, więc muszę wracać na piechotę. Zaledwie po kilku krokach dostrzegam budkę telefoniczną tuż przed szkołą.

Przez cały dzień zastanawiałam się, jak znaleźć Taryn. Wciąż powracam do jednego pomysłu: mogłabym zgłosić kradzież auta. To ryzykowne i może wzbudzić

wiele pytań, ale uznaję, że warto spróbować, skoro zyskuję w ten sposób szansę na odnalezienie książki Cyrusa. Nie mogę podać im komórki Kailey, więc błyskawicznie ściągam Google Voice i tworzę drugą linię z innym numerem, którą przypisuję do jej telefonu. Potem wrzucam kilka monet do budki i wykręcam numer policji.

Stanowczy kobiecy głos odzywa się po trzech sygnałach. Krzyżuję palce za plecami w nadziei, że me robię nic głupiego i zniżam nieco głos, żeby nie brzmieć jak nastolatka.

- Dzień dobry, chciałabym zgłosić kradzież samochodu.

Podaję szczegóły: tablicę rejestracyjną, fałszywe nazwisko, którego użyłam przy kupnie, miejsce z którego auto zostało skradzione i nowy numer, który' właśnie połączyłam z telefonem Kailey. Słyszę głośnie stukanie w klawiaturę.

- Proszę nie robić sobie nadziei - ostrzega. -Skradzione samochody rzadko się znajdują. Złodzieje zazwyczaj zmieniają tablice albo oddają auto na części w ciągu kilku godzin. Ale zadzwonimy, jeśli uda się cokolwiek ustalić.

Dziękuję jej i odkładam słuchawkę, po czym ruszam w stronę domu Kailey. Mózg nie przestaje mi pracować. Nie potrzebuję samochodu, chcę tylko wypłoszyć Taryn z ukrycia. Mam wyrzuty sumienia, że może być przeze mnie aresztowana, ale naprawdę nie powinna była kraść mojej torby i samochodu.

Jestem o kilka przecznic od domu Morganów kiedy słyszę, że ktoś wykrzykuje imię Kailey. Odwracam się i widzę znajomą postać: Noah spaceruje z psem Gdy się zbliżają, Harker znów zaczyna na mnie warczeć, ale tym razem klękam i drapię go za uszami

- Już dobrze, Harker - szepczę, macając jedwabistą sierść. Po chwili pies w końcu się uspokaja. Chyba zawarliśmy tymczasowy rozejm.

- Nie wiem, czemu tak się zachowuje - mówi Noah. Nasze spojrzenia się krzyżują. Jego oczy mają barwę Morza Karaibskiego.

- Po prostu cię chroni. - Wstaję i zaczynamy iść obok siebie, przemierzając ulicę spacerowym krokiem. Nabieram powietrza. Jest coś, co chciałabym zrozumieć. - Dlaczego nie czekasz na mnie rano, tylko sam lecisz na biologię? - Nie patrzę na niego, wbijam wzrok w drzewa i podziwiam ostatnie długopalczaste promienie, które rozświetlają gałęzie na tle nieba.

Jego śmiech mnie dziwi. Brzmi ciepło.

- Kailey, wyjaśniłaś mi dość jasno, że życzysz sobie, żeby nasza przyjaźń istniała tylko poza granicami szkoły. To nie ja tu kogoś ignoruję.

Spuszczam wzrok, czując się niezręcznie. Stopniowo układam sobie w głowie coraz lepszy obraz Kailey. Była... skomplikowana. Kreatywna i obdarzona znakomitą wyobraźnią, miała wielu przyjaciół, którzy szczerze ją lubili. Ale lubiła też manipulować ludźmi - jeśli naprawdę zabroniła przyjaciółkom rozmawiać o Bryanie. A teraz jeszcze to.

- Przepraszam - mamroczę.

Noah wyciąga mały cyfrowy aparat i celuje obiektywem we mnie.

- Co robisz?

- Zapisuję ten moment dla potomności. - Uśmiecha się i robi zdjęcie. - Nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz słyszałem Kailey Morgan wygłaszającą przeprosiny.

Mijamy dom z otwartymi wykuszowymi oknami i rozkoszujemy się chłodnym wiatrem. Ktoś gra na fortepianie. Noah zatrzymuje się i przekrzywia głowę.

- Jaka piękna piosenka.

- To druga część sonaty Patetycznej - odpowiadam w zamyśleniu. Beethoven jest jednym z moich ulubionych kompozytorów.

Noah przypatruje mi się ze zdziwieniem.

- Jesteś ostatnio jakaś inna. Nie zrozum mnie źle, to mi się podoba.

Sztywnieję, a melodia płynie dalej, nierówne rytmy płyną z miękkim wiatrem, takim, który rodzi tylko burza. Noah wciąż na mnie patrzy. Z jakiegoś powodu przypominam sobie lodowate błękitne oczy Cyrusa. Oczy Noaha są zupełnie inne.

- Chodźmy - mówię, utrzymując odległość między nami. Ruszamy dalej. Nasze cienie są wydłużone w pomarańczowym świetle, to optyczna iluzja: wydaje się, że idziemy bardzo blisko siebie.

Mijamy antykwariat, przy którym Noah na chwilę się zatrzymuje. W witrynie leży cała sterta różnych przedmiotów, starych książek, filiżanek i instrumentów. W rogu okna stoi małe ogłoszenie z ręcznie wykonanym napisem: „Zatrudnię do pomocy”. Zatrzymuję się na chwilę, w zamyśleniu.

- Myślisz, że by mnie zatrudnili? - pytam Noaha. Przypatruje mi się z ciekawością.

- A od kiedy to nie chcesz już być biedna, żeby mieć czas malować? Poza tym co ty wiesz o antykach?

To mnie rozśmiesza.

- Tak dla twojej informacji, o antykach wiem naprawdę mnóstwo.

- A co w tym śmiesznego? - pyta. Wzruszam ramionami.

- Długa historia.

Harker piszczy i wyrywa się do przodu.

- Chce pobiegać - wyjaśnia Noah przeproszającym tonem.

- W takim razie biegnijmy. Bieganie jest fajne. Powinno się wykorzystywać wszystkie możliwości ciała, dopóki jest młode. - Wiem, że Kailey by czegoś takiego nie powiedziała, ale w tej chwili mnie to nie obchodzi.

Długie włosy Noaha wpadają mu do oczu, więc wsuwa je za ucho.

- Mówisz coraz dziwniejsze rzeczy. - Uśmiecha się. - Ale lubię dziwactwa. Biegnijmy!

Ścigamy się we troje, ale to ja z łatwością obejmuję prowadzenie. Bieganie jest naprawdę wspaniałe, rozkoszuję się życiem, chrzęstem liści na mokrym chodniku, rozpryskiwaniem wody w kałużach i mokrymi nogawkami.

Gdy docieramy do domów, zatrzymujemy się, zdyszani i wciąż się śmiejemy.

- Kailey? - pyta pani Morgan, stając w drzwiach. -Gdzieś ty była?

Patrzę na Noaha.

- Przepraszam, muszę iść.

- Do zobaczenia - mówi, po czym macha do pani Morgan.

Skrećam na podjazd, ale po drodze jeszcze raz spoglądam na Noaha, który kuca, żeby popieścić Harke-ra. Nagle dostrzegam, jaki on jest żywy, jaki wspaniale żywy i ludzki. Noah to całość, dusza i ciało, złączone srebrzystą nicią. Cyrus mawia, że to zwykłe zjawisko w przyrodzie i że współczesna chemia po prostu jeszcze nie potrafi go opisać, ale ja mu nie wierzę. Może i jestem nieśmiertelna, ale to w Noahu tkwi magia.

## Rozdział 17

Po kilku dniach z Morganami wiem już, jakie tematy poruszać: najbliższy mecz Bryana, praca domowa, biblioteka, w której pracuje pan Morgan. Uśmiecham się i przytakuję we właściwych momentach, chociaż cały czas myślę o czymś innym - o „Zatrudnię do pomocy” na wystawie antykwariatu.

W końcu odchrząkuję i zbieram się na odwagę.

- Wiem, że mam szlaban, ale...

- Zaczyna się... - mówi pan Morgan. Bryan nachyla się, zafascynowany, bo już czuje, że zaraz wpakuję się w jeszcze większe kłopoty.

- ...ale zastanawiałam się, czy mogłabym wychodzić do pracy? - kończę.

Pani Morgan podnosi brwi, a pan Morgan powoli przytakuje. Bryanowi trochę opada szczęka.

- Nie tego się spodziewałem - mówi.

Rodzice wymieniają spojrzenia, porozumiewając się bez słów, jak robią to pary z długim stażem. W końcu pan Morgan znów patrzy na mnie.

- Nie widzę przeszkód - odpowiada z namysłem.

- Oczywiście, będziemy musieli najpierw ocenić, co to za praca - dodaje pani Morgan.

Opowiadam im o antykwariacie.



- Nie mam pojęcia, czy w ogóle by mnie przyjęli... - kończę skromnie.

- Myślę, że to świetny pomysł, Kailes. O ile tylko nie zabraknie ci czasu na szkołę - mówi pani Morgan.

- Jasne - zapewniam ją. - Szkoła jest na pierwszym miejscu.

Bryan przewraca oczami i udaje, że zaraz zwymiotuje, ale ignoruję go i cieszę się tym małym zwycięstwem.

Ledwo zaczynamy jeść szarlotkę, dzwoni telefon. Bryan gwałtownie odsuwa krzesło, które głośno szura po linoleum w czarne i białe kwadraty, po czym rzuca się do słuchawki. Słyszę, że coś mówi po cichu, ale nie rozumiem słów.

- Pewnie to prawnik - stwierdza pan Morgan.

- Kailey, Leyla do ciebie. Pyta, czy pouczysz się z nią dzisiaj wieczorem - obwieszcza Bryan, wracając do kuchni. Dziwnie tłumi uśmiech.

- Powinnaś tak zrobić - mówi pani Morgan. Patrzę na nią ze zdziwieniem. - Nadal masz szlaban - dodaje, usiłując przybrać surową minę. - Ale uczenie się jest dozwolone.

- Dawno już u nas nie była - zauważa pan Morgan.

- Kailey? Telefon! - przypomina mi Bryan, siadając z powrotem przy stole. Jednym haustem opróżnia pół szklanki mleka.

- A, jasne. - Idę do przedpokoju, żeby podnieść słuchawkę.

- Czemu ignorujesz moje wiadomości? - pyta stanowczo Leyla, ale nie daje mi odpowiedzi. - Zaraz wpadnę i pójdziemy na kawę, dobra? Będę za dziesięć minut.

- No, dobra - odpowiadam z wahaniem.

- W porządku. *Ciao*.

- Leyla po mnie przyjedzie - mówię rodzinie. To nie moja wyobraźnia, przez twarz Bryana naprawdę przemyka wyraz rozczarowania.

- Myślałem, że pouczycie się tutaj.

- W porządku, skarbie. - Pani Morgan wypija łyk wina. - Baw się dobrze.

Wybiegam na dwór. Leyla już parkuje swoją hondę. Spodziewałam się, że jeździ raczej czymś, co lepiej pasuje do jej osobowości - jakimś różowym cadillakiem, starym volvo albo przemalowanym szkolnym autobusem. Leyla ma okulary na nosie i w skupieniu patrzy na drogę, ale ściąga je natychmiast po zaparkowaniu przy alei Telegraph.

- Tak się cieszę, że cię wypuścili - mówi, ciskając okulary na tablicę rozdzielczą.

- Muszę przyznać, że się zdziwiłam. Ale spytałam ich, czy mogę iść do pracy, więc pewnie nagrodzili mnie za wykazanie się inicjatywą albo coś w tym stylu.

Leyla wbija we mnie zaskoczony wzrok.

- Ty, idziesz do pracy? A kiedy będziesz malować? Przypominam sobie portret na sztalugach Kai-

ley. Już nigdy nie zostanie dokończony, bo malowanie to coś, czego nie udało mi się opanować przez całe sześćset lat.

- Zostanie mi trochę czasu - kłamię. - I będę miała więcej kasy na farby.

- To w porządku. - Uśmiecha się. Wsiadamy, po czym podążam za Leylą wzdłuż

alei, wchłaniając aromat kadzidełek, który wypływa z pobliskich sklepików. Staram się nie przyglądać punkowym dzieciakom, które siedzą na chodnikach i żebrzą o drobne. Znam ten typ aż za dobrze:

to uciekinierzy, prawdopodobnie z bogatych rodzin, ale strasznie wściekli na świat. Za tymi ludźmi nikt by nie tęsknił. Dziewczyna z tłustymi, jasnymi włosami, w połatanych bojówkach, głaszcze wyliniałego psa i patrzy na mnie z nadzieją. Odwracam się. To tacy jak ona byli kiedyś moimi ofiarami.

Leyla prowadzi mnie do kawiarni naprzeciwko kampusu. Pełno w niej studentów z laptopami i stertami książek, ale szmer głosów świadczy o tym, że nie wszyscy przyszli tu, żeby się uczyć. Zajmuję stolik, a Leyla idzie po coś do picia.

Po chwili siedzimy już z parującymi kubkami chai w dłoniach. Leyla mruży wzrok.

- Co się z tobą dzieje? - pyta.

- Nie owijasz w bawełnę, co? - odpowiadam z cierpkim uśmiechem.

- Nie, chodzi mi tylko o to, że wydajesz się... dziwna. Roztargniona. I zwykle wiem, co myślisz, ale w tej chwili zupełnie nie. - Odchyła się i patrzy na mnie wyczekująco.

Chcę upić łyk chai, ale jest za gorąca.

- Po prostu jestem... zmęczona - kończę nieudolnie, bo co innego mogę powiedzieć? Tak bardzo chciałabym wziąć ją za rękę i powiedzieć, że jej najlepsza przyjaciółka nie żyje, ale po prostu nie mogę tego zrobić.

- No dobra. - Leyla ma rozczarowany wyraz twarzy, ale, podobnie jak Charlotte, widać nie lubi być wścibska. Z prędkością światła zmienia temat. - Możesz ufać Nicole?

Przypominam sobie nieprzyjemne spojrzenia i wymowną nieobecność na liście znajomych Kailey i wzruszam ramionami.

- Nienawidzi mnie. Nic na to nie poradzę.

- To nieprawda. W końcu się pogodzicie. Zawsze jakoś dochodzicie do porozumienia. Nie sędzę, że naprawdę poważnie myślała o Bryanie. Jakoś sobie z tym poradzi. - Słyszę w jej głosie melancholijny ton.

- Może. Ale w tym tygodniu zachowywała się wrednie - mówię.

Leyla kręci głową, dzięki czemu jej włosy odsłaniają kolczyki z piórek i miniaturowych wytrychów. Przypominają mi się ruchome dzwonki na ganku Morganów. Ciekawe, czy to kolejne dzieło Kailey.

- Posłuchaj, jeśli masz wyrzuty, możesz zawsze dodać ją z powrotem do znajomych na Facebooku. Zawsze szanowałam twoje życzenia. Rozumiem, czemu nie chcesz, żeby twoje przyjaciółki umawiały się z Bryanem. Też bym nie chciała, to zbyt skomplikowane. - Nie umyka mi, że ilekroć wspomina o bracie Kailey, w jej głosie słycać skrywany niepokój.

Znów przypomina mi się Charlotte. Jej ukradkowe spojrzenia rzucane na Sebastiena, ich uśmiechy, gdy myśleli, że nikt nie patrzy.

- Wiesz, chyba nie miałam racji.

- Nie, nie, w porządku, rozumiemy. Nie wycofuj się teraz, Kailey. - Uśmiecha się, ale nie patrzy mi w oczy.

- Ja nie chcę... nie chcę nikim rządzić. I przepraszam, jeśli miałaś wrażenie, że was kontroluję. - Nigdy nie będę jak Cyrus, nie będę dyktować ludziom, co mają czuć i jak mają postępować, a potem karać ich za nieposłuszeństwo.

Leyla przekrzywia głowę.

- Na pewno nic ci nie jest? Trochę cię... nie poznaję. Zmuszam się do śmiechu.

- Wszystko jest w najlepszym porządku. To ja, stara dobra Kailey!

Leyla dopija kawę, ale nie wydaje się przekonana. Zrobił jej się wąż z piany, więc mówię, że się pobrudziła. Wyciąga lusterko z torebki, żeby ocenić szkody i wybucha długim śmiechem.

- Nigdzie nie można się ze mną pokazać! Zaraz wracam - rzuca, po czym wychodzi do łazienki.

Wyglądam przez okno w zamyśleniu, ale nagle do naszego stolika podchodzi jakiś chłopak. Jest starszy, może nawet o ponad dziesięć lat i ma kruczoczarne włosy i kolczyk w nosie.

- Cześć, Kailey - mówi. Mrużę oczy. Ewidentnie nie może być licealimą, a w dodatku pachnie skórą, papierosami i piwem. Ciekawe, jak Kailey go poznała.

- Cześć - odpowiadam z wahaniem.

- Dawno cię nie widziałem. Myślałem, że wpadniesz w sobotę. - Patrzy na mnie z naciskiem i nie do końca przyjaźnie. Coś mi się w nim nie podoba.

- Byłam bardzo zajęta - wyjaśniam sztywno. Chcę, żeby już sobie poszedł.

Kątem oka widzę, że Leyla już wychodzi z łazienki.

- Muszę wracać do nauki - dodaję. Podąża za moim spojrzeniem i przytakuje.

- Rozumiem. Mam nadzieję, że uda ci się wkrótce dotrzeć na jakąś imprezę w klubie. Chciałbym znów z tobą zatańczyć.

- Mruga do mnie i odchodzi. Mam gęsią skórkę.

- Kto to był? - pyta ciekawie Leyla, siadając na krześle.

- Nie mam pojęcia - odpowiadam szczerze. - Wynośmy się stąd.

Gdy idziemy z powrotem do samochodu, Leyla bierze mnie pod rękę.

- Tak się cieszę, że udało nam się spotkać.

Ten nagły fizyczny kontakt trochę mnie zaskakuje, jednak nie uciekam przed nim. To tylko cudze życie, ale czułam się strasznie samotna i naprawdę lubię Leylę. Jest dobra i szczerze kochała swoją przyjaciółkę.

- Ja też - odpowiadam.

## Rozdział 18

Następnego dnia Bryan ma poranny trening, więc jadę sama z Noahem. Zajmuję miejsce z przodu i nagle ogarnia mnie nieśmiałość. Patrzę prosto przed siebie, nie wiedząc, co zrobić z rękami. Noah milczy i ma bardzo podkrążone oczy. Nie włącza żadnej muzyki, ale nie wiem, czy jest zły, czy po prostu zapomniał. Gdy dojeżdżamy do szkoły, nie wychodzi z auta. Pochyliłam się, żeby wziąć plecak i już kładę dłoń na klamce, kiedy w końcu się odzywa.

- Tata stracił pracę i znowu zaczął pić. Mama chyba chce odejść. - Nadal opiera dłonie o kierownicę, jak gdyby chciał być w ruchu.

- Noah - szepczę. Słyszę dzwonek wzywający nas na zajęcia, ale nie ruszam się z samochodu. - Bardzo mi przykro.

- Nienawidzę tam być. - Czuję, że na mnie patrzy, więc odwracam się do niego i znów zaskakuje mnie wyrazista barwa tych niebieskich oczu. Chyba płakał. Nie wiem, co powiedzieć. Nawet nie przyszło mi do głowy, że w rodzinie Noaha może się dziać coś złego - zawsze zachowywał się tak pogodnie. Teraz, gdy wszystko sobie przypominam, widzę, że przeoczyłam kilka wskazówek. Noah nieźle udaje, ale gra kogoś, kim nie jest, tak samo jak ja.

Kierując się intuicją, wyciągam rękę i chwytam jego dłoń. Nie protestuje.

- Nie powiem ci, żebyś się nie martwił. A jeśli nie chcesz jechać do domu, możesz mnie odwiedzić. Moi rodzice na pewno nie będą mieli nic przeciwko.

Noah ściska moją dłoń. Siedzimy jeszcze kilka minut w milczeniu, po czym idziemy na biologię. Jesteśmy spóźnieni. Nauczyciel chyba nawet nie zauważył -gdy wchodzimy, nie odwraca się od tablicy. Ktoś inny okazuje się bardziej spostrzegawczy. Do końca zajęć czuję na sobie wściekły wzrok Nicole. Niewątpliwie Noah jej się podoba i zaczynam się zastanawiać, czy on odwzajemnia jej uczucia. Jest taka piękna. Potem jednak kręcę głową. Czemu miałyby mnie to interesować?

W porze lunchu kieruję się prosto do tajnego pomieszczenia. Nieobecność Nicole uznaję za bardzo podejrzaną. Nie jestem pewna, czy ma to związek z faktem, że przyszłam na zajęcia razem z Noahem, ale tak mi się wydaje.

Zbliża się Halloween, więc głównym tematem rozmów są kostiumy. Chantal chce się przebrać za anioła, ale wszystkie uważamy, że to straszna nuda.

- No przestań - jęczy Leyla. - Bądź chociaż zombi aniołem!

Chantal robi przerażoną minę.

- Nie ma mowy. Zombi są takie obrzydliwe. -Zdejmuje niewidzialny pyłek z blad różowego sweterka, a reszta wybucha śmiechem.

Madison i Piper postanowiły przebrać się za harcerki.

- Martwe harcerki? Harcerki morderczynie z toporami? - dopytuje się z nadzieją Leyla, ale dziewczyny kręcą głowami.

- Jesteście do niczego! Halloween ma być straszne. A ty, Kailey?



- Mam szlaban, nie? - przypominam Leyli.

- Faktycznie. To smutne... - Leyla wydyma wargi jak niezadowolone dziecko. - Naprawdę żałuję, że nie idziesz z nami do Dawsona.

- No, bez ciebie to nie będzie to samo - dodaje Piper.

Przyjaciółki Kailey wybierają się do Haight-Ashbury, żeby kupić stroje. Leyla obiecuje, że sama wybierze dla mnie coś przerażającego.

- Może Czerwony Kapturek? Tylko... taki naprawdę w połowie zjedzony przez wilka?

Śmieję się, ale dziwnie się o nie martwię. Nie mają pojęcia, że w San Francisco żyją prawdziwe potwory. Myślę o Cyrusie, z jego platynową grzywą i anielską twarzą. Najstraszniejsze we Wcielonych jest to, że wyglądamy tak samo jak zwykli ludzie.

Po drodze do domu zatrzymuję się w antykwariacie. Dobrze widzę, że właściciel nie chce zatrudnić szesnastolatki, ale gdy trafnie rozpoznaję wiktoriańską sofę w stylu Eastlake'a, krzesło z manufaktury Stickleya z przełomu wieków i prawdziwy fonograf Edisona, natychmiast daje mi pracę i prosi, żebym od razu została. Zarabiając dziesięć dolarów za godzinę, długo nie uzbieram dość pieniędzy, by uciec, ale specjalnie się tym nie przejmuję. Przynajmniej zrobiłam pierwszy krok.

Po pracy jem kolację z Morganami i rozmawiamy o tym, jak mi minął dzień. Wciąż mam szlaban, ale widzę, że są ze mnie dumni. Opowiadam im o klientach - przyszła bogata pani, która kupiła obraz z pieskiem, gorliwi świeżo upieczeni właściciele starej posiadłości, którzy szukali klamek z epoki, a także pan, który zbiera stare lampy i nie przeszkadza mu, jeśli są zepsute.

- Przynajmniej ktoś na tym świecie lubi jeszcze starocie - wzdycha pan Morgan z teatralną miną. -Wiem, co mówię, sam nadaję się do antykwariatu.

- Przecież nie jesteście starzy - protestuję. Ja akurat mam prawo to powiedzieć.

- Zgłaszam sprzeciw - wtrąca Bryan. - Są takimi ekspertami w dziedzinie gwiazd jednego przeboju z lat osiemdziesiątych, że mogliby dostać jakiś dyplom.

- Ej! - mówi pani Morgan. - Byliśmy wtedy bardzo trendy! A ja grałam w zespole, o czym zechciej pamiętać.

Bryan jęczy.

- Tak i śpiewałaś covery Duran Duran.

- A co jest złego w Duran Duran? - pyta pan Morgan, marszcząc groźnie brwi.

Bryan i ja wybuchamy śmiechem.

- Sytuacja wymaga okazania dokumentacji fotograficznej - orzeka, ruszając w stronę regału.

Wraca z wielkim albumem oprawionym w skórę i otwiera go na stronie ze zdjęciem pani Morgan z zespołem. Ma skórzaną kurtkę z rękawami podwiniętymi do łokci, ogromne poduszki na ramionach i spuszone, natapirowane włosy. Serce więźnie mi w gardle. Jest taka podobna do Kailey.

- Mega trendy! - zapewniam panią Morgan. Bryan kuksa mnie w ramię.

- Proszę, proszę, ktoś tu usiłuje wazeliną wykręcić się od szlabanu.

Pani Morgan wzdycha.

- Jesteś taki podły. Założę się, że są tu też twoje śmieszne zdjęcia. Zdaje mi się, że przechodziłeś pewną fazę na kostiumy Power Rangers? Czy nie nosiłeś ich na co dzień?

- I to jest dobry moment, żebym się stąd zmył - mówi Bryan, po czym odnosi talerz do zlewu.

Przysuwam się bliżej do mamy Kailey, która dalej kartkuje album. Kailey jako krzyczący, czerwony noworodek w ramionach wyczerpanej pani Morgan. Dwu- czy trzyletnia opalona Kailey z Bryanem na plaży, oboje bez koszulek, ze zmoczonymi morską wodą włosami, które wydają się niemal białe. Kailey jedząca truskawki, z czerwonym sokiem ciekącym po brodzie. Kailey w wieku lat siedmiu, bez przednich zębów, stoi obok taty i podziwia nowy domek na drzewie.

I nowsze zdjęcia: naburmuszona dwunastolatka dąsająca się na kempingu. Kailey w czarnej sukience, z fioletowymi włosami.

- Uuuu... twoja gotycka faza - mówi pani Morgan. - Zawsze pozwalaliśmy ci nosić wszystko, co chciałaś, ale muszę powiedzieć, że ten kolor nie bardzo ci służył.

Śmieję się. Muszę przyznać jej rację.

Nigdy nie miałam żadnych własnych zdjęć - Cyrus sądził, że zbyt niebezpiecznie byłoby wozić ze sobą jakiegokolwiek ślady po dawnych wcieleniach - i nawet nie pamiętam już, jak wyglądałam jako człowiek. Przypominam sobie jednak rodziców. Mamę, o mio-dowopiwnych oczach i ciemnych lokach. Tatę, z męskim podbródkiem i naturalnym uśmiechem.

Pani Morgan dociera do sekcji ze zdjęciami całej rodziny. Żadne z nich nie jest zupełnie udane z technicznego punktu widzenia - pan Morgan ma zamknięte oczy albo Kailey pokazuje Bryanowi język, a Bryan wystawia palce nad jej głową, udając, że to rogi, podczas gdy pani Morgan jest zajęta czesaniem jego czupryny - ale wszystkie doskonale wychwytyują miłość, która łączy tę rodzinę.

Jest takie dziwne zjawisko, o którym ludzie czasem mówią - podobno tuż przed śmiercią staje im przed oczami całe życie. Oczywiście ja nie mogę wiedzieć, czy to prawda. Ale mam dziwne wrażenie, że jeśli tak, to właśnie teraz widzę to, co widziała Kailey podczas tych kilku ognistych, krwawych i bolesnych chwil, gdy umierała we wraku samochodu.

- Będę tęsknić za tobą, wiesz o tym - mówi pani Morgan, kręcąc głową.

Serce wali mi w piersiach.

- C-co masz na myśli? - jąkam się.

- Studia, Kailey. To już niedługo. Zmuszam się do głuchego śmiechu.

- Całe dwa lata. Odgarnia mi grzywkę z czoła.

- Jesteś jeszcze młoda. Kiedy będziesz w moim wieku, zrozumiesz, że dwa lata to nic. Przelatują jak jedna chwila.

Całuje mnie w czoło, a ja przytulam ją i ogarnia mnie kolejna fala poczucia winy. Ma rację. Dwa lata to kropla wody w oceanie. A Kailey zniknie z jej życia o wiele wcześniej. Dziwi mnie to, ale na myśl o rozstaniu jest mi żal nie tylko pani Morgan, ale i mnie samej. Chociaż żyłam w rodzinie Morganów tylko przez kilka dni, to jednak z jakiegoś dziwnego powodu czuję się u nich jak w domu. Nigdy nie czułam się tak, gdy mieszkałam z klanem.

## Rozdział 19

W czwartkowy wieczór patrzę właśnie w gwiazdy na suficie Kailey, gdy nagle słyszę kroki w korytarzu. Odwracam głowę w stronę drzwi, które uchylają się i do środka zagląda Bryan.

- Zbieraj się - syczy. - Zamierzam cię stąd wydostać!

- Serio? - pytam, zdziwiona.

- Serio! Jazda, ubieraj się!

Jedziemy na wzgórze Oakland. Okolica błyskawicznie z miejskiej zmienia się w leśną. Dom Dawsonów to współczesna wersja chatki w lesie, cały geometryczny i szklany, ale jest doskonale usytuowany w sekwojowym gaju. W środku jest mnóstwo dzieciaków pijących piwo z czerwonych plastikowych kubków i tańczących w rytm elektronicznej muzyki, która płynie z wieży Dawsonów.

Moja ostatnia impreza to był bal w Szmaragdowym Mieście - dzinsy i koszula w kratę z perłowymi guzikami stanowią zabawną odmianę po jedwabnej sukni.

- Kailey! Myślałam, że masz jeszcze szlaban! - Leyla obejmuje mnie mocno, wylewając mi przy tym trochę piwa na rękaw. Ma malinową siatkową sukienkę i wiśniowe rajstopy. Włosy spływają jej luźnymi,

czerwonymi pierścieniami z samego czubka głowy do ramion. Wygląda jak żywa walentynka.

- Bo mam - mówię do ramienia Leyli.

- Wyrwałem ją z niewoli - dodaje Bryan, z błyskiem w szarzielonych oczach.

- Jesteś jak Robin Hood, oddajesz mi moją najlepszą przyjaciółkę - mówi Leyla, wypuszczając mnie z objęć.

Bryan marszczy brwi.

- Czy Robin Hood uwalniał ludzi z więzień? Leyla wzrusza ramionami, po czym upija łyk piwa.

- Przynajmniej jesteśmy w lesie, prawda? Chodźmy po coś do picia dla was.

Bierze Bryana za rękę i prowadzi go do kuchni. Obraca głowę i patrzy na mnie wzrokiem, który mówi: Ta dziewczyna jest szalona, ale widzę, że mu to nie przeszkadza. Idę za nimi w stronę beczki z piwem. Po chwili ktoś wkłada mi w dłoń czerwony kubek i jakiś nieznajomy chłopak napełnia go piwem.

- Cześć, Kailey - mówi.

- Cześć. - Odkąd wcieliłam się w Kailey, „cześć” to najbardziej użyteczne słowo, jakie znam. Bryan i Leyla dalej gadają i zdają sobie sprawę, że jestem tu piątym kołem u wozu. Widzę, że on jej się podoba i podejrzewam, że nie bez wzajemności.

Sączę piwo, rozkoszując się szczypaniem bąbelków, które spływają mi do żołądka. Po drugiej stronie pokoju, w pobliżu kranu, widzę Noaha. Rozmawia z dziewczyną, która stoi odwrócona plecami, ale rozpoznaję długie, lśniące brązowe włosy. Nicole. Noah natychmiast podnosi wzrok, jak gdyby czuł, że na niego patrzę. Uśmiecha się i chowa za ucho zabłąkany kosmyk. To uderzające, jaki jest przystojny.

Ku mojemu zdziwieniu, serce szarpie mi się w piersiach jak igła gramofonu poszukująca płyty. Staram się uśmiechnąć do Noaha, ale już nieomylnie rozpoznaję oznaki, że zaraz się zarumienię. Ograniczam się więc do krótkiego skinięcia głową, po czym błyskawicznie się odwracam. Udaję, że jestem bardzo zajęta i bardzo uważnie lustruję wzrokiem brzeg mojego kubka. Nie widzę w kuchni żadnej innej znajomej twarzy, więc otwieram rozsuwane drzwi i wychodzę na zewnątrz.

Tuż za domem zaczyna się prawdziwy stary las. Podążam wzrokiem za pniami sekwoi, wyglądam spod baldachimu ich gałęzi i patrzę w gwiazdy. Kilkanaście metrów od domu, na końcu wysadzanej paprociami ścieżki, znajduje się duże zagłębienie na ognisko. Jakiś zespół gra muzykę, która równie dobrze pasowałaby do wędrownego obozu Cyganów. Podchodzę bliżej ognia.

Na akordeonie gra jakaś dziewczyna z dreadami, które spięte są w dwa ogony. Ma sztuczny kwiat przypięty do szelek. Towarzyszą jej dwaj koledzy: skrzypek w zmaltretowanym kowbojskim kapeluszu i ogolony chłopiec z rozciągniętymi dziurkami w uszach, który brzdąka na banjo. Wykonują *Friend of the Devil* zespołu Grateful Dead, ale w zwolnionej wersji. Po raz pierwszy dostrzegam, że ta piosenka nie jest wcale żartobliwa. To lament.

„Wyruszyłam w drogę, ale nie chcę się spieszyć”.

Amen, myślę.

Obok leży wielki pień. Sadowię się wygodnie i wbijam wzrok w ogień. Podchodzi Chantal, w towarzystwie Madison. Kontrast między nimi doprowadza mnie do śmiechu. Chantal ma włosy upięte w nieskazitelny kok, a na jej wełnianym jasnoniebieskim

płaszczu nie ma nawet jednej smużki. Madison jest tak rozczochrana, że musi odgarnąć włosy z twarzy, po czym sięga po piersiówkę, którą trzyma w kieszeni skórzanej kurtki. Uśmiecha się kpiąco do Chantal, która wciąż sprawia wrażenie skrępowanej.

- Po prostu przełam się, Chantal. Można czasem poplamić sobie płaszcz, to nic strasznego. - Madison pociąga łyk z piersiówki i częstuje także mnie.

- Zamknij się, Maddy - rzuca Chantal serdecznym tonem. - Czego ja nie zniosę dla dobrego ogniska - wzdycha.

Madison stuka ją w ramię.

- Nawet nie próbuj ściemniać. Przyszłaś tu tylko po to, żeby poszukać Dawsona. - Odwraca się do mnie. - Nikt go jeszcze nie widział - mówi tonem wyjaśnienia.

- Chyba się nie dziwisz? Przecież on jest boski - przyznaje Chantal i przygląda włosy. Madison uśmiecha się do mnie z satysfakcją.

Wyłączam się, gdy widzę, że nadchodzi Noah. A za nim Nicole. Na mój widok bierze go za rękę. Udaję, że ich nie zauważam i wbijam wzrok w płomienie.

Gdy Noah mnie widzi, puszcza dłoń Nicole, która patrzy na mnie spod zmrużonych powiek.

- Podobno miało cię tu nie być - mówi lodowatym tonem. - Oczywiście bardzo się cieszymy, że jednak dałaś radę wpaść. - Uśmiecha się nieszczercze.

- Och, widzę, jak się cieszysz - odpowiadam z równie fałszywym uśmiechem. Nie wiem, co ta dziewczyna do mnie ma, ale zdecydowanie jej nie lubię.

Nicole przewraca oczami i znajduje sobie miejsce na innym pniu.

Odchylam głowę i patrzę na czubki drzew. Poruszają się w ciemnościach. Wyobrażam sobie, jak trzeszczą i wygrywają swoje melodie skrzypiącymi głosami. To ciekawe —te



drzewa są na świecie równie długo jak ja. Ta myśl napętnia mnie pokorą.

- Czy mogłabym wziąć na chwilę skrzypce? - pytam chłopca w kowbojskim kapeluszu, gdy akurat robi przerwę między piosenkami. Kiwa głową i podaje mi instrument. Nicole patrzy z niedowierzaniem.

Przykładam je do podbródka i przesuwam smyczkiem po strunach, próbując zagrać kilka dźwięków.

- No no no - stwierdza Chantal.

- Ostatnio trochę ćwiczę - wyjaśniam, przypominając sobie futerał, który widziałam w pokoju Kailey.

Zaczynam grać piosenkę, której tytułu nie pamiętam. To tradycyjny irlandzki lament. Kojarzy mi się z Charlotte.

Dźwięki splatają się z nieregularnymi trzaskami iskier, które lecą w stronę drzew, niesione smugami dymu. Wciąż mówię nie to, co trzeba, więc chętnie na chwilę porzucam słowa. Kończąc utwór, słyszę ciche pstryknięcie. Podnoszę wzrok i widzę, że Noah trzyma aparat. Nicole ma taką minę, jakby była gotowa mnie zamordować.

Od strony ścieżki dobiega klaskanie.

- Brawo, Kailey! - mówi Leyla, podchodząc bliżej w towarzystwie Bryana. - To było naprawdę piękne. Ale też trochę dołujące. To miało być przyjęcie, a nie pogrzeb.

Śmieję się, po czym oddaję skrzypce chłopakowi z zespołu. Racja.

Leyla siada przy mnie na pniu.

- Mam bardzo ponurą osobowość - wyjaśniam.

- Jasne. - Obejmuje mnie ramieniem.

Chantal wypatruje w tłumie nieuchwytnego Dawsona i natychmiast pędzi, żeby z nim porozmawiać,

a Noah zajmuje drugie miejsce obok mnie. Nie wiem, czy tylko to sobie wyobrażam, ale chyba siedzi bardzo blisko. Czuję ciepło bijące od jego ciała, jednak nie zamierzam się odsuwać.

Wszystko to jest zupełnie niewiarygodne, choć zarazem wspaniałe. Nie wiem, jak jeszcze kilka dni wcześniej mogłam chcieć zakończyć życie. Pragnienie śmierci wydaje mi się teraz tak odległe, jak gdybym stała się inną osobą. Uśmiech tańczy mi na wargach. Czy to możliwe, że jestem po prostu szczęśliwa? Nie ufam temu uczuciu na tyle, by wierzyć, że będzie trwałe. Ale teraz, gdy siedzę wśród ludzi i słyszę wokół siebie śmiechy, nie obchodzi mnie, że szczęście przemija. Chwytam je i pozwalam, by napełniło mnie radością - jak przyjaciele u mojego boku i jak ognisko, które ogrzewa mi twarz, a ciepło przenika aż do samego serca.

## Rozdział 20

Kolejny tydzień nie przynosi specjalnych kłopotów. Wciąż myślę o Cyrusie i martwię się, że mnie szuka i czy nie wyżywa się na Charlotte, a także codziennie przeszukuję Internet. Nie znajduję jednak żadnych wzmianek o moim samochodzie, Taryn czy książce. Z coraz większą łatwością przychodzi mi wejść w rytm życia Kailey.

Noah codziennie odwozi mnie i Bryana do szkoły. Bez względu na deszcz, słońce czy mgłę, otwieramy okna, Noah włącza muzykę, żeby zagłuszyć łomot wysłużonego silnika volkswagena. Nie znam żadnego z zespołów, których nazwy mi podaje - Arcade Fire, Bon Iver, Fleet Foxes. Zawsze słyszeć banjo, akordeony i proste melodie, tak różne od techno, którego bez przerwy słuchał Cyrus. Pokochał współczesną architekturę z jej chłodnymi, geometrycznymi kształtami i muzykę komponowaną na komputerach. Ale gitara akustyczna i bębny brzmią o wiele bardziej ludzko, kiedy gra na nich żywy, cielesny człowiek. Gdy jadę na tylnym siedzeniu samochodu Noaha, wiatr omiata mi twarz, a w głowie mam piosenki; chcę, żeby szkoła była trochę dalej, co przedłużyłoby podróż.

W kolejną środę w antykwariacie niewiele się dzieje, więc wrzucam nagranie Billie Holiday i patrzę

na deszcz spływający po szybach. Dla rozrywki przeglądam dagerotypowe portrety w miedzianych oprawach. Wszystkie są czarno-białe, ale niektóre mają też barwne, tęczowe obwódki, ślad po procesie przygotowywania tabliczek.

Wszyscy ci ludzie od dawna nie żyją. Jedna dziewczyna wygląda trochę jak Charlotte, ale ma zbyt porządnie uczesane włosy, nieskazitelny przedziałek na samym czubku głowy i idealnie okrągłe pierścienie loków wokół twarzy. Wiem, że to nie ona, ale przenoszę sobie tabliczkę bliżej kasy, żeby móc na nią spoglądać przy pracy.

Myślenie o Charlotte sprawia mi ból. Tak bardzo za nią tęsknię - i tak bardzo się martwię, jak sobie radzi. Czy była w stanie przyczać się na tyle, żeby Cyrus nie wylał na nią swojego gniewu? Pociesza mnie myśl, że największym talentem Charlotte jest zdolność do przetrwania.

Odstawiam portret i podchodzę do pianina. Brzdąkam bezmyślnie kilka melodii. Wciąż nie zmierzyłam się w pełni z uczuciem, które narasta we mnie od jakiegoś czasu. Teraz uczucie domaga się uwagi jak gość pukający do drzwi, muszę w końcu je rozpoznać i okiełznać.

- Szkoda, że nie mogę tu zostać - szepczę cicho. Jestem sama, nikt mnie nie słyszy, więc pozwalam sobie powtórzyć wyznanie.

W tej samej chwili rozlega się krzykliwy dzwonek przy drzwiach. To Noah, ociekający wodą, z aparatem w plastikowym worku.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

- Nie wzięłaś parasola, ale zadbałaś o małe poncho dla aparatu?

- Trzeba mieć jakąś hierarchię - mówi, rozpinając przesiąkniętą deszczem bluzę. - Poza tym moi starzy znów darli się na siebie. Nie miałem ochoty wracać się po parasol.

Biorę od niego bluzę i wieszam ją na wysłużonym, dębowym wieszaku na płaszcz.

- Zostań tu i dotrzyмай mi towarzystwa - mówię, stając blisko Noaha.

Znów jestem pod wrażeniem jego wzrostu - gdy stoję blisko, wydaje się taki wysoki - więc na twarzy już wykwiła mi rumieniec. Odwracam głowę ze wstydu.

Noah ogląda wnętrze sklepu. To zagracone, ale przytulne miejsce, wypełnione ciepłym, pomarańczowym blaskiem bijącym od licznych barwionych lamp w stylu Tiffany'ego. Są półki pełne oprawnych w skórę książek, wieszaki z ubraniami, wytarte, aksamitne sofy, rozstrojone gitary i sterty starych fotografii. Pokazuję mu dagerotypy. Natychmiast się rozpromienia.

- Dzisiaj każdy idiota potrafi zrobić zdjęcie telefonem, ale wtedy to było jak malowanie portretu. -Podoba mi się pasja słyszalna w jego głosie.

Na tyłach sklepu jego uwagę zwraca wystawa starych nakryć głowy - wymyślnych damskich kapeluszy z lekko przykurzonymi piórami oraz męskich cylindrów i meloników. Noah wybiera kapelusik z lat dwudziestych, udekorowany białymi, jedwabnymi kwiatkami, i wkłada mi go na głowę. Chichocząc, przeglądam się w zasnutym warstwą brudu lustrze -chyba nawet miałam coś podobnego, kiedy takie kapelusze były w modzie.

Noah chwyta aparat i robi mi zdjęcie, ale potem marszczy brwi.

- Chyba musisz przestać się uśmiechać - mówi.  
-Staroświeccy ludzie są zawsze tacy poważni.

Staram się wykonać polecenie, ale moje wargi same układają się do uśmiechu.

- Nic z tego - mówi, wpatrując się w moniterek z podglądem. - Nie nadajesz się do dawnych czasów. Jesteś o wiele zbyt nowoczesna i radosna.

Od tego chichoczę jeszcze bardziej.

- Może ja zrobię zdjęcie tobie. - Chwytam cylinder i wkładam go Noahowi na głowę, a on oddaje mi aparat. Robię kilka zdjęć, po czym oceniam efekty. Noah ma zdecydowanie melancholijny wyraz twarzy, niemal nie z tego świata.

- Całkiem nieźle - stwierdzam. - Ale T-shirt rujnuje efekt.

- Racja - odpowiada. - Do takiego cylindra trzeba mieć frak.

Jazgot dzwonek przy drzwiach zaskakuje mnie do tego stopnia, że wpadam na toaletkę z perfumami. Jedna z butelek spada na podłogę, a ja nie daję rady jej złapać. Roztrzaskuje się w drobny mak.

- Niech cię, Sera! - wzdycham do siebie.

- O kim mówisz? - pyta Noah. Ogarnia mnie panika.

- Co?

- Wypowiedziałaś jakieś imię, o kim mówiłaś? -Klęka i zaczyna zbierać szkło.

- E... O nikim. Zaraz wracam. - Biegnę do frontowej części sklepu, żeby pomóc klientowi. Są to dwie dziewczyny, które pochyliły się nad jedną ze szkatulek na biżuterię. - Czym mogę...? - zaczynam, ale głos więźnie mi w gardle, bo poznaję Nicole. Wyraz jej twarzy mówi wyraźnie, że ona także nie spodziewała się mnie tu spotkać. Nie rozpoznaję jej towarzyszek.

- Cześć, Nicole - rzucam, starając się przybrać przyjazny ton.

- Cześć - odpowiada obojętnie. Nagle otwiera szerzej oczy. Obracam się i widzę, że zbliża się Noah. Na widok Nicole uśmiech zamiera mu na wargach.

- W każdym razie, Kailey, muszę lecieć. Dzięki, że mnie oprowadziłaś. Miło cię widzieć, Nicole. - Noah chwyta bluzę z wieszaka i już jest za drzwiami.

Dzwoneczki dzwonią jeszcze przez chwilę. Nicole nabiera głęboko powietrza.

- Nie można ci ufać, Kailey - syczy. - Jesteś taką manipulantką.

Nie wiem, o co jej chodzi.

- Słucham?

- Doskonale wiesz, o czym mówię! - Pod piegami Nicole rysuje się rumieniec. Gniewnie odrzuca włosy na plecy. - Najpierw każesz mi trzymać się z daleka od twojego brata, twierdzisz nawet, że nie zniosłabyś, gdyby któraś z twoich przyjaciółek zaczęła się z nim umawiać, a potem sama właściwie wpychasz go w ramiona Leyli.

- Ee... - Nie wiem, co powiedzieć, ale Nicole jeszcze nie skończyła.

- A teraz bawisz się Noahem tylko dlatego, że on mi się podoba! Znasz go od lat i nawet nie zauważałaś, że żyje, w szkole nie zaszczycasz go pytaniem o godzinę, a teraz, gdy widzisz, że mnie polubił, nie potrafisz tego znieść. Bo ty zawsze musisz być w centrum uwagi, prawda? Ale chcesz tylko tego, czego nie możesz dostać. Jest zupełnie jasne, że wodzisz Noaha za nos tylko po to, by mnie zranić.

Czuję się dotknięta. Jak gdyby Nicole uderzyła mnie w twarz. Czy Noah naprawdę odwzajemnia jej uczucia?

- Nie musisz nic mówić, Kailey - ciągnie Nicole, podchodząc bliżej. - Nie jesteśmy już nawet przyjaciółkami. Może nigdy nie byliśmy. Więc nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia. Ale... - W jej oczach widać groźny błysk. - Trzymaj się z dala od Noaha. Dobrze ci radzę.

Zanim znajduję słowa, by odpowiedzieć, Nicole odwraca się na pięcie i ucieka, trzaskając drzwiami. Dzwoneczki zaczynają wściekle hałasować.



## Rozdział 21

Auć, Kailey, uważaj! - jęczy Bryan.

- Przepraszam! - krzyczę, zdając sobie sprawę, że zbyt mocno wbiłam mu w skórę pędzelek eyelinera. Od czasu awantury z Nicole, która nawrzeszczała na mnie, żądając urwania kontaktu z Noahem, ciągle jestem roztargniona.

- Spoko. - Przegląda się w lustrze i uśmiecha z zachwytem.  
- To obrzydliwe. Strasznie mi się podoba.

Cofam się o krok, by obejrzeć efekty mojej pracy.

- Upiorne - mówię z podziwem.

Uzbrojona w narzędzia do teatralnego makijażu i fragmenty sztucznej skóry, przemieniłam twarz Bryana w coś budzącego grozę. Czoło i nos wydają się przegniłe, a jedno oko wypada z oczodołu i wtapia się w policzek. Wiem, że Leyla będzie zachwycona.

- Może więcej krwi? - pyta, marszcząc czoło.

- Chyba jesteś już gotowy.

- Jeszcze troszeczkę? Tutaj, obok tej rany chyba jest pustawo. - Wyciąga szyję, żeby przyjrzeć się bardzo realistycznie wyglądającej dziurze w szyi.

- No dobra - wzdygam. - Ale na tym koniec. To jest moje arcydzieło - przypominam, skrapiając Bryana sztuczną krwią. Obserwuje z satysfakcją, jak czerwony płyn ścieka mu na kołnier.

- Mam szczęście, że moja siostra jest taką wspaniałą artystką.

- Dzięki - mówię cicho z ukłuciem żalu. - Baw się dobrze. I pozdrów wszystkich ode mnie.

- Pozdrowię - obiecuje.

Idziemy do salonu. Pan i pani Morgan popijają cydr i rozdają słodczyce kolejnym małym wiedźmom i piratom, którzy dzwonią do drzwi. Żegnam Bryana uniesieniem kciuka, ale sama nie jestem w nastroju do świętowania.

Na podwórzu jest jasna, bezchmurna noc, rozświetlona kojącym blaskiem okrągłego księżyca. Ale upiorny nastrój zapewnia wiatr, który miota dzwoneczkami i drapie o niebo gałęziami drzew.

Ogród jest obwieszony lampkami. Jakiś dziwny, ciepły wiatr pcha mnie w kierunku sekwoi, która czuwa nad otoczeniem jak opiekuńczy duch. Wspinam się do domku na drzewie, który na zdjęciu Morganów był jeszcze taki nowy, ale teraz zaczyna gnić. Dach już odpadł, ale podstawa jest wciąż solidna. Kładę się na plecach i patrzę w niebo. Gwiazdy są jak ledwo widoczne plamki w porównaniu z promiennym księżycem.

Mawiają, że Halloween to noc, gdy zasłona odgradzająca nas od świata duchów jest najcieńsza - duchy mogą nas nawiedzać, szeptać nam do uszu albo dotykać policzków. Nie wiem, czy chciałabym w to wierzyć, czy nie. W końcu sama jestem duchem. Ale sama też stworzyłam wiele duchów. Potrafię odpiąć duszę od ciała, w którym była zakotwiczona i posłać ją w przestworza. Dokąd idą te dusze? Przez wszystkie te lata nie zbliżyłam się do odpowiedzi.

Dziewczyny, którym wysłałam duszę, po kolei stają mi przed oczami. Większości z nich nie znałam

nawet z imienia. Myślę o kolejnych tych wcieleniach, które były jak paciorki wsunięte na jedną nić - one wszystkie, cały łańcuch, złożyły się na to, kim jestem. Każdy lśniący paciorek zamienił się w smugę dymu, jeden paciorek za jedną martwą dziewczynę, naszyjnik z duchów. Gdzie jesteś, Kailey? Wtulam twarz w kołnierz jej płaszcza - wciąż czuję ostatnie smużki zapachu jaśminowych perfum. Wizja, że Kailey wciąż tu jest i patrzy, jak żyję jej życiem, napęła mnie rozpaczą. Nie wierzę, że to możliwe, ale i tak szepczę: Przepraszam, Kailey.

Gdyby Cyrus był ze mną, pokręciłby głową z pogardą. Nie wierzy w życie po śmierci - twierdzi, że to tylko bajka i że szkoda tracić czas na egzystencjalne pytania. Szydliłby z rysunków Kailey, z jej fantastycznych światów i magicznych stworzeń. Cyrus myśli, że cała magia da się naukowo wytłumaczyć.

Mimo ciepłego wiatru, który omiata ścianki domu na drzewie, zaczynam drżeć. Życie, które podarował mi Cyrus, tak bardzo różniło się od marzeń, które snułam wtedy w oświetlonym pochodniami ogrodzie. Żał mi tamtej dziewczyny. Żał mi też Cyrusa. Mój niebieskooki, bystry alchemik, który pragnął tylko miłości i naukowej prawdy. Coś jednak poszło źle, gdy został Wcielonym. Coś w nim pękło. Pewnie zawsze miał w sobie rys okrucieństwa, ale stulecia nadludzkiej potęgi zrobiły z niego potwora.

Z zamyślenia wyrywa mnie skrzypienie deski. Błyskawicznie zrywam się na nogi i usiłuję coś wypatrzyć w ciemnościach. Na widok Noaha oddycham z ulgą.

- Ale mnie wystraszyłeś! - mówię, siadając z powrotem. - Jesteś stanowczo za dobry w tym skradaniu się - dodaję.

- Przepraszam, twoja mama powiedziała, że cię tu znajdę - mówi smutno. - Przecież jest Halloween, chyba są jakieś okoliczności łagodzące.

- Masz wybaczone - odpowiadam, rozluźniając się. Noah siada naprzeciwko mnie z rękami w kieszeniach bluzy.

Wiatr znów przybiera na sile i huśta dzwoneczkami, których srebrzyste nawoływania płyną do nas z dołu. Czuję się napięta jak struna skrzypiec.

- Sądziłam, że idziesz na przyjęcie - mówię, patrząc na jego twarz. Podziwiam grę cieni gałązek na policzkach Noaha.

- Bo poszedłem. Ale to głupia impreza. Nie znoszę przebieranek - odpowiada. - Ludzie tylko walczą o uwagę.

- A Nicole też była? - pytam, przygryzając wargę.

- Tak. - Odwraca wzrok. Biorę głęboki oddech.

- Podobasz jej się, wiesz o tym.

- Wiem. - Grzebie przy sznurowadłach. - Chyba niechcący narobiłem jej nadziei. Ona... nie jest w moim typie.

- A kto jest w twoim typie? - Słowa wyfruwiają z moich ust i już nie mogę ich wycofać.

Noah powoli podnosi wzrok, szukając moich oczu. Śmieje się cicho.

- Aż do niedawna chyba nie znałem nikogo takiego.

Serce zaczyna mi walić jak młotem. Chcę, żeby mnie pocałował. Chcę, żeby wplątał palce w moje włosy i chcę poczuć to bijące, ludzkie serce przy moim, ukradzionym. Ta myśl przychodzi nieproszona, ale nie mogę powiedzieć, że jest nieoczekiwana. Napętnia mnie przerażeniem.

- Co to oznacza? - pytam tak cicho, że niemal szepczę.

Uśmiecha się.

- To chyba oczywiste, Kailey - odpowiada z uśmiechem.

- Tak? - Czuję, że moje wargi też chcą się uśmiechnąć, ale powstrzymuję je wszelkimi siłami.

Noah garbi się i wkłada ręce głębiej do kieszeni.

- Przyjaźnimy się od dawna. Chociaż nie zawsze byłaś dla mnie bardzo miła, to w porządku. Nie mam ci za złe.

Nie odrywam od niego wzroku.

- Nie wierzę ci.

- Coś się w tobie zmieniło. Coś... - Urywa i wyciąga ręce z kieszeni. - Nie mogę przestać o tobie myśleć - ciągnie. - I mam tylko nadzieję, że nie zrujnowałem właśnie naszej przyjaźni.

- Na pewno nie - mówię cicho, w końcu patrząc mu w oczy. Nie odrywa ode mnie wzroku. Wiatr ucicha na ledwie kilka sekund. Ale czasem kilka sekund może trwać bardzo długo.

I wtedy.

I wtedy mnie całuje, a moje życie nagle skupia się w jednym punkcie. Jestem teraz silna, więc nie boję się, że stracę panowanie nad sobą, tak jak wtedy, gdy próbowałam ratować Kailey. Zamykam oczy i wyobrażam sobie wiatr tańczący w nocnych kwiatach, jego turkusowe oczy w blasku księżycy, te grube brwi i nieodłączny kaptur, który skrywa kruczoczarne włosy.

Czuję, że Noah nieśmiało przesuwa dłoń w stronę mojego policzka. Dotykam jego ramienia. Może i jestem tylko duchem, ale przywieram ciepłymi wargami do ust Noaha. Stara sekwoja wzdycha z zadowoleniem.

Odrywam się od Noaha i patrzę na jego twarz. Zmieniła się. Teraz widzę, że jego oczy zwykle mają bardzo smutny wyraz, chociaż pogodny sposób bycia maskuje ten fakt. W tej chwili nie są smutne. Noah dotyka mojego policzka.

- Mamy czas - mówi, po czym kładzie się, by popatrzeć na gwiazdy.

Leżę obok niego w milczeniu i uśmiecham się w ciemnościach.

Czas. Studia, Kailey, powiedziała pani Morgan. Dwa lata. Dla Wcielonej to chwilka, nic nieznaczący moment. Ale kiedy mam bliskich, którzy darzą mnie uczuciem - i którzy nie są mi obojętni - każdy dzień nabiera znaczenia.

Może... może jakimś cudem uda mi się spędzić te dwa lata z nimi.

## Rozdział 22

Następnego ranka budzę się z uśmiechem na twarzy. Chcę zostać w łóżku i myśleć o Noahu, ale idę do kuchni na śniadanie. Bryana nie ma - pani Morgan przypomina mi, że znów poszedł na poranny trening. To znaczy, że będziemy jechać sami w samochodzie. Czuję małe motylki w brzuchu i nie potrafię ukryć uśmiechu.

- Widzę, że humor ci dziś dopisuje - mówi z rozbawieniem pan Morgan.

Ubieram się w zwykły zestaw: dżinsy i sweter, ale tym razem nic mnie nie satysfakcjonuje. Wyglądam zwyczajnie, nie jak dziewczyna, która całowała się na wietrze w Halloween. Z tyłu szafy Kailey znajduję białą sukienkę robioną na drutach - w takiej sukience chce się wić wianki ze stokrotek na miękkiej łące. Już lepiej. Nakładam nawet błyszczyk i cień. Z pewnością nie potrzebuję różu do policzków. Podnoszę butelkę z perfumami Kailey, ale rezygnuję. To należy tylko do niej. Rozlega się dzwonek do drzwi.

- Kailey! - Głos pani Morgan płynie przez korytarz. - Noah przyjechał! - W jej głosie brzmi mieszanka zdziwienia i radości - Noah zwykle zatrzymuje się przy krawężniku i czeka, aż Bryan i ja wybiegniemy z domu. Wyglądam przez okno i widzę jego samochód,

ale Noah nie siedzi w środku. Tylko się nie rumienić!

Chwytam skórzaną saszetkę i z trudem powstrzymuję się, żeby nie ruszyć biegiem do przedpokoju. Noah stoi obok pani Morgan z niewyraźną miną i trzyma w ręku filiżankę. Zamiast zwykłej bluzy z kapturem ma na sobie sztruksowy blezer, który uwypukla jego szerokie ramiona.

- Jaka ładna sukienka, skarbie - mówi pani Morgan. - Powinnaś częściej w niej chodzić.

- Tak, ślicznie wyglądasz - mówi Noah, a ja już czuję pierwsze ukłucia gorąca na policzkach. Noah wyciąga filiżankę w moją stronę.

- Dz-dzięki - jękam się, biorę kawę i upijam łyk.

- Dzień dobry, Noah - mówi jowialnie pan Morgan, po czym wkłada gazetę pod pachę, żeby uścisnąć mu dłoń.

- Musimy już jechać - mówię.

Państwo Morganowie odprowadzają nas do wyjścia, po czym patrzą z ganku, jak wsiadamy do samochodu. Noah otwiera przede mną drzwiczki po stronie pasażera. Zaczynam chichotać.

- Nie musisz tego robić - mówię.

- Jasne. Jesteś jedną z tych niezależnych dziewczyn. - Siada za kierownicą i włącza silnik.

- Bawcie się dobrze! - woła pan Morgan, patrząc na nas z wymownym uśmiechem.

- Jedź już - szepczę z naciskiem do Noaha. - To jest krępujące do siedemnastej potęgi!

Odjeżdżamy, po czym jednocześnie wybuchamy śmiechem. Noah zerka na mnie.

- Ale jesteś teraz zarumieniona.

To tylko pogarsza sprawę. Włącza Play na iPodzie, dzięki czemu samochód - i ciszę - wypełnia muzyka.



Jestem nakręcona i zdenerwowana, ale w pozytywnym sensie. Wkroczyłam na nowe terytorium.

Na miejscu wysiadamy z samochodu i zdaję sobie sprawę, że podświadomie czekam, aż Noah ucieknie na zajęcia sam, jak zwykle. Ale tym razem czeka na mnie. Po kilku krokach bierze mnie za rękę. Jego palce są ciepłe, suche i silne. Z początku nie potrafimy odnaleźć wspólnego rytmu, ale wkrótce z łatwością dopasowujemy do siebie kroki.

- Witajcie, Kailey i Noah - szczebiocze Leyla, która ewidentnie jest zachwycona, widząc nas trzymających się za rękę.

Noah przytakuje, z wielkim uśmiechem na twarzy. Dzwonią na lekcje, więc nie zatrzymujemy się na dłużej, ale odwracam się, by jeszcze raz zerknąć na przyjaciółkę. Leyla ma uniesione brwi, ale chyba się cieszy. Super, mówi bezgłośnie.

Mijamy Madison i Chantal. Obie promienieją na nasz widok, a ledwo odchodzimy, rozpoczynają burzliwą dyskusję.

Nicole łypie na nas wściekle, ale nawet jej złośliwe komentarze i lodowate spojrzenia nie mogą zmącić mojego szczęścia. Noah jej nie kocha. To ja mu się podobam.

Wchodzimy do pracowni biologicznej i tam zatrzymuję się w pół kroku. Krew odpływa mi z twarzy, a serce pulsuje gwałtownie w uszach. Puszczam dłoń Noaha i czuję zimny pot na czole i klatce piersiowej.

Przy tablicy stoi ktoś odwrócony plecami. Znajoma sylwetka, platynowe włosy, które rozpoznałabym wszędzie. Piszę coś na białej tablicy.

Nie. To nie może być on.

Mężczyzna odwraca się i czuję, że moje żyły zmieniają się w lód. Jestem motylem, który właśnie

wleciał w sieć łowcy. Mężczyzna poprawia krawat i strząsa pyłek z rękawa nieskazitelnie czarnego garnituru.

- Dzień dobry państwu - mówi z promiennym uśmiechem. - Nazywam się Shaw i będę prowadził z wami zajęcia w zastępstwie waszego nauczyciela.

Ten uśmiech, oczy obserwujące nas wszystkich, spojrzenie, które omiata mnie z góry na dół i analizuje, obserwuje, niczego nie opuszcza. Uśmiech, którego miałam nadzieję nigdy już nie zobaczyć.

To Cyrus.

## Rozdział 23

Z trudem docieram na miejsce. Mimo szoku nie trzęsą mi się ręce. Jak obowiązkowa uczennica otwieram plecak i wyciągam zeszyt i podręcznik.

Cyrus czeka cierpliwie, aż wszyscy zajmą miejsca i przestaną szeleścić papierami, po czym klaszcze w dłonie.

- Naszym dzisiejszym tematem jest budowa ludzkiego mózgu. - Uczniowie otwierają książki na początku właściwego rozdziału. Jak we śnie kartkuję mój podręcznik, ale słowa nie mają żadnego sensu.

- Zamknijcie podręczniki - poleca Cyrus. - Nie będą dziś potrzebne.

Uczniowie wymieniają ciekawskie spojrzenia, ale wykonują polecenie. Cyrus chrząka, po czym podchodzi do tablicy, na której widnieje szczegółowy rysunek mózgu, wprawnie wycieniowany i podzielony.

- Kora mózgowa - mówi, wskazując odpowiednie miejsce. - Podwzgórze. Mózdzek. Płat czołowy.

Odchodzi od tablicy.

- Może myślicie o tym jak o mapie mózgu. Ale podobnie jak większość map, naprawdę niczego wam nie mówi. Możecie zapamiętać nazwy różnych rejonów i to, z czego są znane, ale nie nauczycie się w ten sposób, jak tam jest. Bez względu na to, co opisują

te podręczniki, wciąż nie rozumiemy do końca, jak działa mózg. Niektórzy twierdzą, że ostatnią barierą jest przestrzeń. Ale co ze świadomością? - Urywa, po czym chwyta się za podbródek. - To zabrzmiało jak uwaga filozoficzna, ale biologia to nauka o życiu. Gdzie w tej masie komórek jest miejsce świadomości? Czy świadomość to jakaś reakcja chemiczna?

Nie jestem w stanie dłużej go słuchać, ale po minach innych uczniów poznaję, że są oczarowani. Nie potrafię uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Jednak już dość długo żyję na ziemi, żeby odróżniać jawę od snu.

Co mnie zdradziło? Musiałam popełnić błąd, gdzieś, kiedyś. Pewnie to były miliony błędów. Niepotrzebnie poszłam do tamtego baru. Niepotrzebnie rozmawiałam z Taryn. Niepotrzebnie zostawiłam torbę na żurawiu. Niepotrzebnie próbowałam ocalić Kai-ley - a potem zaczęłam żyć jej życiem. I, zdaję sobie sprawę z bolesnym uciskiem w sercu, na pewno nie powinnam była zgłaszać zaginięcia samochodu. Co, jeśli policja zadzwoniła do mężczyzny, od którego go kupiłam? A może po prostu nie wyczyściłam dość dokładnie historii w przeglądarce i to stąd Cyrus w ogóle się o nim dowiedział?

Jak mogłam kiedykolwiek pomyśleć, choćby przez sekundę, że Cyrus mnie nie znajdzie? Zawsze dostaje to, czego chce. Zawsze.

Wkrótce się dowiem, czy wie, że to ja. Nie mam złudzeń - zdradziłam go i będę musiała zapłacić. Wątpię, czy mnie zabije. Po przeczytaniu listu, który mu zostawiłam, wie już, że nie chcę z nim być. Pewnie po prostu mnie zamknie, zmusi do przejmowania kolejnych ciał i towarzyszenia mu przez całą wieczność. Cyrus zawsze z radością obmyślał autorskie metody tortur.

Przez wszystkie te lata miał tylko jednego prawdziwego przyjaciela. Nathaniel dołączył do naszego klanu w XIX

wieku, gdy mieszkaliśmy w Nowym Jorku. Tak jak Cyrus, był entuzjastą nauki, metafizyki, chemii i nauk o duszy. Ale pewnej nocy wyznał mi, że zakochał się w kobiecie.

- Ada - powiedział. - Jest taka piękna. - Patrzył na mnie bardzo poważnie. - Nie mówiłem jeszcze Cyrusowi, ale przysięgam, że poślubię tę kobietę.

Zaśmiałam się. Małżeństwo w wykonaniu Wcielonego nabierało nowego znaczenia. „Dopóki śmierć nas nie rozłączy” - to przysięga, której wagę niewielu śmietelników potrafi docenić tak jak my.

Tej samej nocy usłyszałam, że Cyrus kłóci się z Nathanielem w bibliotece.

- Ona jest śmiertelna! Zestarzeje się na twoich oczach. I niedługo będziesz potrzebował nowego ciała. Jak jej to wytłumaczysz? Nie możesz nawet dać jej dzieci! - krzyczał dudniącym głosem Cyrus.

- To bez znaczenia - odparł Nathaniel. - Gdy się zestarzeje, nadal będę ją kochał.

Następnego ranka Nathaniela już nie było. Początkowo Cyrus niespecjalnie się tym przejął.

- Jeszcze tu wróci - oświadczył nam pewnym siebie tonem. Ale dni przeszły w tygodnie, aż wkrótce ulice miasta pokryły się śniegiem. Cyrus przeszukał całą wyspę Manhattan, przeczesując zwłaszcza okolice Five Points. Był pewien, że znajdzie Nathaniela martwego albo rannego. Pewnego dnia musiał w końcu przyznać, że przyjaciel zniknął.

Wpadł w odrętwienie. Całymi dniami siedział w bibliotece i czytał książki albo po prostu gapił się przez okno i warczał na służących, którzy przynosili mu jedzenie. Wyciągał mnie z domu i włóczył po

jaskiniach hazardu i zadymionych spelunach, w których mężczyźni wygrywali na skrzypcach szalone pieśni miłosne. Pewnej śnieżnej nocy po drodze do domu zauważyliśmy przed sobą znajomą sylwetkę.

- Nathaniel! - Cyrus chwycił mnie za rękę i wciągnął do cienia, po czym ruszył naprzód. Szliśmy za nim od przecznicy do przecznicy, bez końca.

- Cyrusie - szepnęłam. - Wracajmy do domu.

- Nie! - syknął. - Ja tylko chcę z nim porozmawiać. Brakuje mi go, Sero.

Posłuchałam i powlokłam się za nim aż do chwili, gdy zdecydował się wyjść z cienia i stanąć twarzą w twarz z dawnym przyjacielem.

- Nathaniel. - Głos Cyrusa zabrzmiał bardzo pewnie.

Nathaniel gwałtownie się odwrócił. Gdy nas zobaczył, przez jego twarz przemknął strach. Zrobił kilka kroków w tył.

- Czego chcesz? - spytał.

- Chcę? - Cyrus zaśmiał się gorzko. - Czy nie jesteśmy przyjaciółmi?

- Cy... - zaczął Nathaniel.

- Jak się miewa droga żona? Powiedziałaś jej, czym jesteś? - Cyrus przybliżył się o krok do Nathaniela. - Mówiłaś jej o nas? - Kolejny krok i jeszcze kolejny.

Nathaniel smutno pokręcił głową.

- Nie mówiłem jej o niczym. Przykro mi, Cyrusie. Przepraszam, że cię opuściłem. Ale nie było innego sposobu.

Śnieg padał tak cicho, miękko otulając ziemię. Był biały, chociaż w słabym świetle gazowych latarni wydawał się pomarańczowy. Zadrzałam z zimna i ukryłam nos w kołnierzu futra.

- Kochałem cię jak brata - warknął Cyrus. - A ty mnie zdradziłeś.

Jego dłoń jak błyskawica powędrowała do buta -buta, w którym zawsze nosił bardzo ostry nóż. Jednym płynnym ruchem wyciągnął go i zatopił w ciele Nathaniela. Nie wiem, w co trafił, prawdopodobnie w serce. Krzyknęłam, a Nathaniel padł na śnieg, brocząc krwią, aż biały puch zamienił się w wielką czerwoną kałużę. Jego ciało błyskawicznie obróciło się w popiół.

Otrząsam się ze wspomnień, gdy nagle zdaję sobie sprawę, że wszyscy w klasie na mnie patrzą i na coś czekają. Pewnie Cyrus zadał mi jakie pytanie, ale nie mam pojęcia jakie. Przetykam ślinę, po czym otwieram usta. Tylko dzwonek ratuje mnie przed zrobieniem z siebie kompletnej idiotki.

Ku mojej uldze ciszę przerywają dźwięki rozpinanych plecaków, zamykanych książek i odsuwanych krzeseł. Jestem w połowie drogi do drzwi, gdy słyszę własne imię.

- Ty jesteś Kailey, prawda? - mówi Cyrus, patrząc na rozpiskę z naszymi miejscami w klasie. - Zostań chwilę, dobrze?

## Rozdział 24

Przylapana. Słowo niesie się echem w mojej głowie, aż traci wszelki sens. Zerkam na śliczną, białą sukienkę Kailey i ogarnia mnie irracjonalna obawa, że Cyrus zaraz mi ją zniszczy, wymierzając okrutną karę. Biała sukienka, biały śnieg, czerwona krew.

Podchodzę do biurka. Długo się nie odzywa. Patrzy na moje nadgarstki. Krzyżuję ręce na piersiach, czekając, aż powie to, co sobie zaplanował. Podąża wzrokiem za moimi dłońmi.

- Tak, panie Shaw? - zachęcam go. Uczestniczę w jego gierce, ale nie mam innego wyboru.

- Już, już, przepraszam, tylko się zamyśliłem. - Uśmiecha się tym idealnym, lodowatym uśmiechem i pokazuje nieskazitelnie białe zęby. - Jak ci się podobały dzisiejsze zajęcia, Kailey?

Zajęcia? Bawi się mną jak kot myszą.

- Ja... Były ciekawe.

- Naprawdę? Bo nie sprawiałaś wrażenia zainteresowanej. - Przybiera surowy ton. - A jeśli nie udało mi się zaciekawić cię materiałem, to znaczy, że źle wykonałem moją pracę.

Biorę głęboki oddech.

- Przepraszam, ja...



- Nie musisz przeproszać. To moja wina. Przyrzekam, że następne zajęcia będą o wiele bardziej zajmujące. Ale nie dlatego poprosiłem, żebyś została. - Odchyła się wygodnie i kładzie dłonie na kolanach. Jego wyraz twarzy łagodnieje. - Zarząd szkoły wspominał mi, że jedna z uczennic miała ostatnio okropny wypadek samochodowy. Naturalnie bardzo się martwię. - Jego lodowate, błękitne oczy uważnie obserwują moją reakcję.

Kłamie. Jestem pewna, że nikt w szkole nie wie o wypadku.

- Kto to był? - pytam nieco śmielszym głosem. Wzdycha.

- Tego mi nie powiedziano. To naprawdę karygodne. Stres pourazowy, a nawet uszkodzenie mózgu mogą się ujawnić nawet wiele tygodni po takim zdarzeniu. Muszę wiedzieć, kim jest ta dziewczyna, żeby wychwycić jakiegokolwiek objawy kłopotów. - Nie brzmi to jak zwykła wypowiedź nauczyciela. Ale każda inna uczennica pewnie wzięłaby bajeczkę Cyru-sa za dobrą monetę i uznałaby, że pan Shaw po prostu bardzo się troszczy o uczniów. Ja jednak go znam

1 czuję furię drzemącą tuż pod powierzchnią słów.

Tylko że Cyrus naprawdę nie wie, kto miał ten wypadek. To daje mi siłę.

- Nie słyszałam nic o żadnym wypadku - kłamie.

- Nie? Może ta dziewczyna nie mówiła nic przyjaciołom. Musisz się dobrze zastanowić. Czy nikt ostatnio dziwnie się nie zachowywał? Nie robił rzeczy, których normalnie by nie zrobił? - Nachyla się i patrzy. Ciągle patrzy.

Zmuszam się do zachowania spokojnego wyrazu twarzy. Wyglądam przez okno, udając zamyślenie.

- Nicole jest ostatnio jakaś taka drażliwa. Ale nie sądzę, żeby miała jakiś wypadek.

- Nicole? - pyta, wpatrując się w rozpiszkę.

- Nicole Harrison. - Wskazuję jej nazwisko. - Długie ciemne włosy. Siedzi tuż za mną.

- Długie ciemne włosy - powtarza i nagle się rozjaśnia. - Tak, przypominam sobie. Dziękuję, Kailey. Dobrze zrobiłaś, mówiąc mi o tym. Może to nic, ale nie wybaczyłbym sobie, gdybym przegapił szansę, by pomóc uczniowi.

Czuję się winna, że podałam mu nazwisko Nicole, ale Cyrus szybko się zorientuje, że to zwykła licealistka. Na chwilę jednak odwrócę jego uwagę od siebie, a teraz najbardziej potrzebuję czasu - i pomysłu, co zrobić, by nie wpadł na mój trop.

Zerkam na zegar na ścianie, ale pokazuje zły czas. Wyciągam iPhone Kailey, żeby sprawdzić godzinę.

- Przepraszam, ale muszę iść - mówię, uśmiechając się przepraszająco. - Jestem już spóźniona na angielski.

Cyrus przez chwilę nic nie mówi. Patrzy na mój telefon. Nagle się śmieje.

- Czy to nie dziwne, że te gadżety służą nam do pokazywania godziny? Nikt już nie nosi zegarków. Chociaż ty chyba miałaś taki zwyczaj?

Co za dziwne pytanie. Zerkam na nagi nadgarstek. Jest na nim blade kółko, odcinające się od opalonej skóry Kailey.

- Naprawdę muszę już iść - powtarzam.

- Naturalnie, rozumiem. Proszę, idź na zajęcia. Jeszcze raz dziękuję za informacje.

Przytakuję, po czym podnoszę plecak i kieruję się do drzwi. Cały czas czuję jego wzrok na plecach. Dopiero gdy jestem bezpieczna na pustym korytarzu, pozwalam sobie odetchnąć.

## Rozdział 25

Przez resztę dnia jestem trochę nieprzytomna. Popełniam błędy na trygonometrii i nie słyszę własnego -Kailey - imienia, kiedy zostaję wyrwana do odpowiedzi na historii. Po szkole Noah odwozi mnie do domu i pyta, czy mam ochotę na spacer po okolicy. Odmawiam, twierdząc, że muszę się uczyć. Usiłuję udawać, że to nic takiego, ale widzę, że zrobiłam mu przykrość. Nie mogę być teraz z nim. Muszę zostać sama.

Idę prosto do pokoju Kailey i zamykam drzwi. Może Cyrus jeszcze nie wie, kim teraz jestem, ale bardzo szybko to ustali. W każdym razie muszę uciekać. Jeszcze dziś. Wyciągam plecak Kailey spod łóżka i zaczynam drżącymi rękami przygotowywać się do ucieczki. Wrzucam do środka trochę ubrań, po czym zatrzymuję się na moment. Przecież nie mam nic, co będzie mi potrzebne: fałszywych dokumentów, telefonu komórkowego. Zaglądam do portfela i przeliczam pieniądze, które zarobiłam w antykwariacie: to tylko sto sześćdziesiąt dolarów. Przychodzi mi do głowy, że Kailey musiała trzymać gdzieś oszczędności, więc zaczynam przeszukiwać pokój. Znajduję kilka dwudziestek pod łóżkiem, ale rozbijam bank, gdy zaglądam do małego pudełka z tyłu szafy. Jest tam garść kartek urodzinowych od dziadków wraz ze zwiłkiem

banknotów - w sumie daje to trzysta sześćdziesiąt dolarów. Zastanawiam się przez chwilę, na co oszczędzała; może na farby. A może na coś, co wiązałoby się z jej obecnością przy placu Jacka Londona w noc, gdy zginęła.

Tyle pieniędzy nie starczy na długo, ale pozwoli mi wydostać się z tej okolicy. Impuls każe mi zapakować też oprawione zdjęcie Noaha i Kailey z toaletki. Gdy zdaję sobie sprawę, że już nigdy go nie zobaczę, czuję ścisk w gardle, a oczy puchną od łez. Padam na łóżko Kailey i zaczynam płakać. Zielona jedwabna kapa pokrywa się plamkami ciemniejszej zieleni. Wylewam wszystkie te łzy, których nigdy nie pozwalałam sobie wypłakać, łzy, które zbierały się we mnie od dnia, gdy uciekłam z klanu - łzy samotności, strachu, poczucia, że nikomu na świecie nie mogę zaufać. Płacę nad Noahem, chłopcem, który przez tyle lat był dla Kailey wiernym przyjacielem, który w końcu poczuł do niej - do mnie... - coś więcej i który miał stracić wszystko zaledwie po jednym dniu. Jego rodzina się rozpada i nie zostanie mu już nikt, z kim mógłby porozmawiać.

Płacę nad Leylą, promienną, niesamowitą Leylą, dziewczyną, która zawsze potrafi błyskawicznie się odgryźć - i której najlepsza przyjaciółka zaraz nagle zniknie. Jak ona to zniesie? Płacę nad Charlotte, którą już straciłam. I nad Morganami, którzy byli dla mnie tacy dobrzy. Nie wiedząc o tym, przyjęli pod swój dach dziewczynę, która nie zdołała ocalić życia ich córce - i pokazali jej, czym potrafi być rodzina.

Szlocham coraz intensywniej. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak płakałam; od tamtej pory mogły minąć już setki lat. Płacę nad sobą, nad czternastoletnią dziewczynką, która przyciągnęła wzrok syna

alchemika i chwilę później umarła nad rzeką. Mogła żyć wiecznie, ale nigdy nie wolno jej było dorosnąć. Płacę nad wszystkimi dziewczynami, których ciała przejęłam. Zagięły i rodziny już nigdy więcej ich nie zobaczyły.

W końcu wyczerpuję zapas łez. Długi płacz spowodował odwodnienie, więc idę do kuchni, biorę szklanę, nalewam wody i wypijam duszkiem przy zlewie. Właśnie napełniam ją po raz drugi, gdy słyszę za sobą głos.

- Wiesz, co to „krewny żyrafy” na pięć liter? - Pani Morgan siedzi przy stole, przed sobą ma krzyżówkę i w zamyśleniu postukuje o wargi gumką od tępego ołówka. - Druga litera to K. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Czekaj, spojrzę. - Zerkam na krzyżówkę. - Spróbuj „okapi” - podpowiadam.

Mama Kailey unosi brwi.

- Masz rację. Chyba nigdy wcześniej nie słyszałam tego słowa. - Wzdycha, po czym spogląda na mnie badawczo. - Wszystko w porządku? Masz zaczerwienione oczy.

- Pewnie przez te alergie - mówię, upijając łyk wody. - Wcześniej dziś wróciłaś - zmieniam temat.

- To prawda. Odwołali mi popołudniowe spotkania, więc po prostu wyszłam. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Może chciałabyś pojechać na zakupy? Oczywiście, jeśli masz czas - mówi z nadzieją, ale pilnuje się, żeby nie zabrzmieć natarczywie.

Patrząc na panią Morgan, uświadamiam sobie, że pewnie przywykła do odmowy Kailey. „Zakupy z mamą” pewnie nie są wysoko na liście ulubionych czynności żadnej nastolatki.

- Jasne - odpowiadam.

- Serio? Dobra, farby czy ciuchy? Twój wybór. Boję się, że w sklepie z artykułami plastycznymi zachowywałabym się beznadziejnie niepewnie.

- Ciuchy - odpowiadam szybko. - Idę po kurtkę. To dla pani Morgan ostatnia wyprawa z córką na miasto, więc chcę, by nacieszyła się każdą sekundą.

## Rozdział 26

Dojeżdżamy na Czwartą ulicę w Berkeley i wędrujemy między butikami pośród tłumów nadzianych klientów. Powietrze jest rześkie i pachnie solą z pobliskiej zatoki. Ludzie mówią czasem, że w Kalifornii nie ma pór roku, ale to nieprawda. Różnice są bardziej subtelne, objawiają się drobnymi zmianami, które zauważam w szczegółach, takich jak kąt padania promieni słonecznych, stopień wilgotności wiatru, kruchość liści.

Przechodzimy obok sklepu, którego wystawa nagle zwraca moją uwagę. Zatrzymuję się. Manekiny prezentują zwyczajne ubrania, ale otacza je magiczna sceneria: iskrzący się od świateł i wibrujący kolorami las, w którym pomiędzy sztucznymi gałązkami drzew lśnią jakieś ogniki. Z bliska dostrzegam, że manekiny mają doczepione poroża. Wyrastają im z długich włosów i są udekorowane kwiatami.

Wiem, że Kailey byłaby zachwycona tym skrzyżowaniem prawdziwego świata z magicznym.

- Chcesz wejść? - pyta pani Morgan z pełnym zrozumieniem uśmiechem. Przytakuję.

Wnętrze to łagodnie oświetlony kalejdoskop miękkich tkanin i barwnych wzorów, świec i koronek, butów z klasycznym, oksfordzkim sznurowaniem.

Mój wzrok natychmiast przykuwa cytrynowożółta tunika, ale pani Morgan kręci głową.

- Jest urocza, ale ten kolor do ciebie nie pasuje. Zerkam na własne ramiona i zaczynam się śmiać.

Ma rację. Żółty pewnie znakomicie wyglądałby przy oliwkowej skórze mojego poprzedniego wcielenia, ale nie mam takiego oka do kolorów jak Kailey.

Pani Morgan ściąga z wieszaka sukienkę w kolorze brudnego różu i podaje mi, przytakując. Poddaję się i zaczynam podążać za wskazówkami mamy Kailey. Kolejno akceptuję jej wybory, aż mam ramiona pełne ubrań.

- A gdzie się podziało automatyczne „nie” na wszystko, co tylko proponuje matka? - prowokuje mnie.

- Pamiętasz, jak ufarbowałam sobie włosy na fioletowo? - pytam. - To był mój samodzielny pomysł, prawda?

- Słuszna uwaga - odpowiada pani Morgan. Sprzedawczyni prowadzi mnie do przymierzalni,

a mama Kailey czeka na adamszkowej sofie pod migoczącym żyrandolem. Wciągam ciemnozielony top, marszczony przy dekolcie i obwiedziony szarą koronką. Oczy Kailey nagle wydają się o wiele żywsze i promienne. Wychodzę, żeby zaprezentować top pani Morgan, która przytakuje z zadowolonym uśmiechem.

- Wiedziałam, że będzie pasował - mówi. Następna w kolejności jest szkarłatna sukienka

stylizowana odrobinę na retro. Ma obcisłą górę z króciutkimi rękawkami i rozkloszowaną spódnicę z kieszeniami. Pokazuję się mamie Kailey.

- Chyba źle zawiązałaś na plecach - mówi, marszcząc brwi, po czym przechodzi za mnie, żeby poprawić wstążki. Patrząc na jej odbicie w lustrze.

- Mamo?

- Tak? - Czuję, jak majstruje przy sukience.



- Jakie miałaś relacje ze swoją mamą? Podnosi głowę ze zdziwioną miną i napotyka mój wzrok.

- Hm, z mamą. No wiesz, słyszałaś już tę historię. - Kończy wiązać. - Gotowe, a teraz się odwróć.

Spełniam polecenie.

- Noo... - Zastanawia się przez chwilę. - Nie, chyba nie bardzo. Jeśli jakiejś sukienki nie się zawiązać bez pomocy mamy, to znaczy, że się nie nadaje.

Robię krok w stronę przymierzalni, ale po chwili się odwracam.

- Opowiesz mi to jeszcze raz? Tę historię o twojej mamie?

Mruga i odwraca się do okna.

- To było dawno temu... Nie ruszam się. Czekam.

- No dobra, Kailey. Jak wiesz, wyprowadziłam się z domu, gdy miałam szesnaście lat. Ale nigdy nie mówiłam ci, że uciekłam. Wtedy tak o tym nie myślałam. Wydawało mi się, że po prostu jadę na wycieczkę z przyjaciółmi. Moi rodzice byli tak surowi, że nigdy nie pozwoliliby mi pojechać. Więc po prostu uciekłam.

Siadam obok niej na sofie. Mama Kailey wpatruje się we własne odbicie.

- Byłam młoda. Chciałam zobaczyć Amerykę. Chciałam wydostać się z Milwaukee. - Odwraca się do mnie. - To, czego sobie nie uświadamiałam, to fakt, że moja mama odchodziła od zmysłów. Myślała, że nie żyję. Zawiadomiła policję, zaangażowała wszystkich w poszukiwania.

- I co się stało potem? - mówię cicho.

- Zanim jeszcze wróciłam... mama umarła. Miała tętniaka mózgu. Nie zdążyła dowiedzieć się, że nic mi

nie jest. - Wyciąga rękę i zatyka mi skręcony kosmyk za ucho. - Dlatego zawsze pozwalałam ci robić to, co chcesz. Może nie była to najlepsza decyzja. - Jej szarozielone oczy lśnią od niewypłakanych łez, a ja czuję, że moje też wilgotnieją.

- Czy potrzebują panie pomocy? - Rozlega się irytujący szczebiot sprzedawcy.

- Dziękujemy, nie trzeba - odpowiada pani Morgan.

Wstaję z zakłopotaniem.

- Pójdę się przebrać.

Wkładając z powrotem własne ubranie, czuję ukłucie smutku. Matki i córki. Czy istnieje w ogóle bardziej skomplikowana relacja? Za żadne skarby nie chcę skrzywdzić pani Morgan. Fakt, że jej córka już nie żyje, a ona o tym nie wie, rozrywa mi serce. Chociaż wiem, że to tylko przedłużanie fantazji, pragnę, żeby mama Kailey żyła szczęśliwie tak długo, jak to możliwe.

Czy to nie jest tylko próba zadośćuczynienia za przeszłość? Za ból, którego przysporzyłam własnej mamie? Nie wiem. Myślę tylko o zadowolonym uśmiechu Cyrusa.

Pani Morgan płaci za ubrania. Na zewnątrz powoli się ściemnia, a sklepy i restauracje toną w listopadowym półmroku.

- Dziękuję - rzucam.

- Nie ma za co - odpowiada. - Chyba powinniśmy wracać do domu.

Gdy idziemy do domu, zalewa mnie fala czułości i opiekuńczości. Jestem tak zagubiona w myślach, że me zwracam nawet uwagi, gdy ktoś wypowiada moje imię. Pani Morgan staje i rozgląda się z ciekawością. Podążam za jej wzrokiem, który zatrzymuje się na aż zbyt dobrze mi znanych platynowych włosach.

Cyrus siedzi w ogródku elitarniej kawiarenki. Przed nim stoi niedopite cappuccino, a w ręku trzyma książkę Terence'a McKenny'ego.

- Dzień dobry paniom - mówi, uśmiechając się tym swoim idealnym uśmiechem.

Czuję się tak, jak gdyby na klatce piersiowej zaciskała mi się metalowa opaska utrudniająca oddychanie.

- Dzień dobry - mamrocze. Pani Morgan patrzy na mnie z dezorientacją, wyczekująco. - Mamo, to jest pan Shaw, był dziś na zastępstwie z biologii.

- Moje uszanowanie - odzywa się Cyrus, biorąc mamę za rękę. - Pani musi być mamą Kailey?

- Miło mi poznać - odpowiada, a ja wzdrygam się, widząc, jak uśmiecha się ciepło do Cyrusa. Gdy chce, potrafi być aż nazbyt czarujący i niczym nie zdradza tego, jakim jest potworem. Jego ofiary nigdy nie mają szans. Chcę wydostać stąd panią Morgan tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Właśnie dowiedziałem się, że będę wykładał biologię do końca semestru - informuje, upijając łyk cappuccino. Jakimś cudem nie ma nawet odrobiny piany na wardze.

- Tak? Czemu? - pytam. - Co z panem Robertsem? Cyrus mruży oczy.

- Postanowił iść na urlop. Potrzebował trochę czasu dla siebie. - Wiem, że kłamię. Czemu pan Roberts miałby odchodzić bez uprzedzenia? Nie zdziwiłabym się, jeśli to Cyrus go zabił. Sama ta myśl przyprawia mnie o wymioty. Ale uśmiecham się jeszcze szerzej.

- W takim razie oby miał udany urlop. Właśnie wychodziłyśmy. Do zobaczenia jutro. - Staram się mówić tak bez troski, jak tylko potrafię. Ruszam dalej. - Chodź, mamo.

- Bardzo miło się z panem rozmawiało, panie Shaw - mówi, po czym niechętnie idzie za mną w stronę samochodu. - Wydaje się bardzo sympatyczny - zauważa, gdy zapinamy pasy.

- Jest sympatyczny - kłamię. Przypominam sobie, jak grywałam z Cyrusem

w szachy. To jego ulubiona gra i jest w niej znakomity. Wygrałam tylko raz, co skończyło się tak, że roztrzaskał szachownicę o ścianę salonu z taką siłą, że pękło nie tylko drewno, ale i marmurowa królowa.

Nagle ogarnia mnie wściekłość. W moim sercu jest nienawiść, która wije się jak wąż gotowy do uderzenia. Im więcej myślę o uśmiechniętej twarzy Cyrusa i jego nieskazitelnym czarnym garniturze, tym bardziej rośnie we mnie gniew. W ciągu jednego dnia zdołał zagrozić wszystkiemu, na czym zaczęło mi zależeć. Przeżyłam kilkaset lat pod jego rządami - wечно starając się go uspokoić, ułagodzić, wspomóc. I wszystko na nic. Nic nie powstrzymało go od krzywdzenia ludzi, od bezsensownego zabijania i okrucieństwa. I oto znów wrócił, rujnując moje malutkie szczęście z taką nonszalancją, jak gdyby cisnął talerzem o podłogę.

Jest taki arogancki. Nawet nie starał się zamaskować przede mną. Wparował do liceum Berkeley w tym samym ciele, w którym ostatnio go widziałam. Sądzi, że tak świetnie mnie zna - że na jego widok natychmiast spłoneę rumieńcem, zacznę się jąkać albo zrobię coś innego, czym się zdradzę. Tu się przeliczył - i jestem z tego powodu bardzo dumna.

Tak łatwo mnie nie złapie. Jeszcze dziś uciekam. Jeśli wyruszę, gdy tylko Morganowie zasną, będę miała przynajmniej jedną noc przewagi. Rodzice Kailey odkryją moją nieobecność rano i wtedy dopiero uderzą na alarm. Do tego czasu muszę już być daleko.

Wyobrażam sobie chwilę, gdy rano nie zjawiam się na biologii. Cyrus na pewno będzie już wiedział, że to ja. Będzie wiedział, że wygrałam tę rundę - uciekłam, zanim zdążył mnie złapać.

Nagle przychodzi mi do głowy myśl, która zwała mnie z nóg: Cyrus chce, żebym zaczęła uciekać. Oczywiście, że tak. Właśnie dlatego nie zmienił ciała. To nie była arogancja - tylko dobry ruch w grze. Jeśli zniknę, będzie już wiedział, kogo szukać. Oddech rwie mi się z ulgi. Uświadamiam sobie, jak blisko byłam zrobienia ruchu, który pchnąłby mnie prosto w jego ręce. Cyrus za dobrze mnie zna.

Jeśli zostanę, ale zachowam spokój i najlepiej jak umiem zagram przeciętną nastolatkę z liceum - wtedy tylko mam szansę zwyciężyć. Już raz mnie przepytał i chyba wypadłam wystarczająco dobrze. Gdybym tylko dała radę spokojnie to przeczekać, mógłby pomyśleć, że już dawno przeniosłam się gdzieś indziej albo że w ogóle mnie tu nie było.

Jestem dumna z tego, że go przejrzałam. Może i Cyrus zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny na świecie, ale ja też go znam. To już postanowione: ja zostaję, 'a to on się wynosi, miejmy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości. Tymczasem spróbuję wymyślić, jak go przekonać, że Seraphiny Ames nigdy tu nie było. Gdybym podłożyła mu fałszywą wskazówkę... Cos wymyślę.

Jedno wiem na pewno: więcej nie będę uciekać.

## Rozdział 27

Noah nie patrzy na mnie, gdy wsiadam i przez całą drogę rozmawia z Bryanem o futbolu. Wiem, że go zraniłam. Mam wyrzuty sumienia, że wczoraj odmówiłam mu wspólnego spaceru.

Bryan szybko gdzieś ucieka, a Noah wyrusza w stronę budynku beze mnie.

- Hej! - wołam. Odwraca się, ale nic nie mówi. Jego twarz jest pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu -Przepraszam za wczoraj - mówię. - Byłam w złym humorze, ale to nie miało nic wspólnego z tobą.

Wzrusza ramionami.

- Nie musisz się tłumaczyć, Kailey. Jeśli chcesz zapomnieć o tym, co się stało w Halloween, to w porządku. Ja zrozumieję.

Podchodzę do niego i staję bardzo blisko. Wyciągam rękę i ściskam jego dłoń.

- Nie chcę o tym zapomnieć. Nie potrafiłabym -Proszę Noaha gestem, żeby się pochylił, po czym całuję go w policzek. - Nic się nie zmieniło - szepczę mu do ucha.

Gdy odrywam się od niego, nie jest już spięty. Uśmiecha się do mnie.

- Chcesz po południu posiedzieć w domku na drzewie?  
Wybucham śmiechem.

- Jasne. A może moglibyśmy nawet iść gdzieś na randkę. Jak dorośli.

- Pójdiesz ze mną na lunch do kafeterii? Rozbawił mnie.

- Umowa stoi.

Gdy wchodzę do pracowni biologicznej, uderza mnie przytłaczający smród formaldehydu, ale to widok Cyrusa w kolejnym pięknym garniturze przyprawia mnie o mdłości. Nie daj się sprowokować, przypominam sobie.

Cyrus czeka, aż wszyscy zajmą miejsca, po czym zabiera głos.

- Wczoraj rozmawialiśmy o chemii świadomości, o tajemnicach, które główny nurt nauki musi dopiero zbadać. Dziś chcę, żebyśmy mieli te pytania w pamięci, gdy będziemy przeprowadzać sekcję.

Klasa wydaje zbiorowy jęk, a więcej niż jedna osoba mówi nawet głośno: „Błę!”

- Przeprowadzimy sekcję królików - ciągnie Cyrus. - Zgadzam się, że to przykre, że obiekty naszych badań będą martwe. Sekcja przyniosłaby nam o wiele więcej pożytku, gdyby zwierzęta żyły podczas wykonywania cięć. - Urywa, rozkoszując się zszokowanym milczeniem publiczności. - Żartowałem! - Salę wypełnia nerwowy śmiech.

Cyrus rozdaje pojemniki, rękawiczki, skalpele i na koniec - zakonserwowane króliki. Przypatruję się mojemu partnerowi, chłopcu, którego imienia nie pamiętam - jakiś Mike czy inny John. Jest na swój sposób przystojny, wysoki i atletycznie zbudowany, ma krótko przycięte blond włosy i dołeczek w brodzie.

- Zanim przystąpimy do cięcia, przypatrzcie się budowie królika - instruuje Cyrus, przechadzając się między stanowiskami. - Zwróćcie uwagę na mocne

tylne łapy. Królik to zwierzę, które jest ofiarą drapieżników i może przetrwać tylko wtedy, jeśli będzie biegał szybciej niż napastnik. Czasem ucieczka jest najlepszą obroną, lepszą niż szpony i pazury. - Uśmiecha się do mnie, więc promienieję w odpowiedzi. Nie zamierzam dać się zastraszyć. - W porządku. Wykonajcie pierwsze cięcie. Usuniemy skórę, żeby zbadać mięśnie.

Mój partner podnosi skalpel.

- Może lepiej ja to zrobię - proponuję szarmancko.

- Świetnie - odpowiadam.

Przewraca królika na plecy i delikatnie dotyka jego brzucha czubeczką ostrza. Chłopak blednie tak mocno, że miejscami robi się lekko zielonkawy. Patrzę, jak kilka razy bierze głęboki oddech, po czym wyciągam rękę.

- Daj, może jednak ja - stwierdzam.

Ma zawstydzoną minę, ale z wdzięcznością podaje mi skalpel. Wykonuję gładkie cięcie od gardła królika po jego krocze, a potem cztery dodatkowe na przednich i tylnych łapach. Zdejmuję całą skórę z mięśni, gdy reszta klasy jeszcze kończy pierwsze cięcie. Oprawiłam w życiu sporo zwierząt.

Cyrus podchodzi bliżej, by przypatrzeć się mojej pracy.

- Znakomicie - mówi. - Bardzo... precyzyjnie to zrobiłaś.

- Dziękuję - odpowiadam krótko. Chrząka, po czym zwraca się do całej klasy.

- Wiem, że dla wielu z was będzie to bardzo trudne. We współczesnym społeczeństwie bardzo rzadko staje się twarzą w twarz, czy raczej ręką w łapę ze śmiercią. Mam prostą radę: weźcie się w garść!

Wszyscy wybuchają śmiechem. Cyrus zawsze uwielbiał występować przed publicznością.



Gdy Cyrus podchodzi do stolika Noaha, serce staje mi w gardle. Pochyla się nad jego ramieniem i zagląda mu w notatki.

- Piękne diagramy - chwali z podziwem. - Masz wycucie do ilustracji. Czy jesteś artystą?

Noah spuszcza wzrok z zakłopotaniem.

- Nie, raczej nie. Lubię robić zdjęcia, ale to zupełnie co innego niż być malarzem albo kimś takim. -Zerka na mnie.

Cyrus kręci głową.

- Doceniaj się! Masz talent. Ktokolwiek twierdzi, że fotografia nie jest dziedziną sztuki, jest, przepraszam za wyrażenie, zwykłym idiotą.

Mój partner powtarza moje imię, co uświadamia mi, że od jakiegoś czasu do mnie mówi.

- Co?- pytam.

- Pytałem, czy mam wypełnić diagram. Ty odwaliałaś całą brudną robotę.

- Jasne, dobrze. Dzięki.

Wyteżam słuch, żeby usłyszeć rozmowę Noaha z Cyrusem. Już widywałam Cyrusa zachowującego się w podobny sposób i bardzo mnie to niepokoi.

Dzwonek wyrywa mnie z zamyślenia. Mój partner oczyścił po nas stanowisko pracy, a sala szybko pustoszeje. Z przyjemnością schodzę Cyrusowi z oczu i czekam przed drzwiami na Noaha. Chcę znowu poczuć się pewniej, bezpieczniej. Ale słyszę, że Cyrus prosi go, żeby został chwilę po lekcji. Nie, protestuję w myślach. Zostaw go w spokoju! Ale co mogę zrobić? Idę na kolejne zajęcia z rosnącą gulą w żołądku. Przenika mnie strach, zimny jak głęboka woda, która nigdy nie widziała słońca.

## Rozdział 28

Noah jest w świetnym humorze. Stoimy razem w kolejce w kafeterii.

- Czy dama życzy sobie kanapkę z tuńczykiem na żytnim chlebie, czy tofu dogą? - pyta z uśmiechem.

- Kanapkę z tuńczykiem. Podrabiane mięso budzi we mnie nieufność - odpowiadam.

- Znacomity wybór.

Chociaż jest zimno, wynosimy jedzenie na dwór z dala od wścibskich oczu i uszu. Odkąd zostawiłam Noaha w pracowni biologicznej, cały czas czułam supeł w żołądku i miałam zeszywniałe ramiona.

- Czego chciał od ciebie pan Shaw? - pytam, ledwo zajęliśmy miejsca pod rozłożystym dębem.

- Rozmawialiśmy o moich zdjęciach. Bardzo mnie wspierał. Mówił, że powinienem iść do szkoły plastycznej. To było miłe, nigdy nie myślałam o sobie jak o artyście. - Zjada kęs kanapki.

- Jak mogliście rozmawiać o zdjęciach, skoro on nigdy ich nie widział? - pytam. - To miło z jego strony, ale nawet cię nie zna. - Wiem, że Cyrusa nie obchodzi Noah i jego sztuka. Po prostu mu schlebia Tak samo komplementował Jareda i Nathaniela, zanim przemienił ich we Wcielonych.

- Kailey, wiem, że nie jestem tak dobry jak ty. Twoje obrazy są niesamowite. - Wygląda jak balon, z którego ktoś spuścił powietrze.

- Nie o to chodzi. Mam tylko wrażenie, że on jest nieszczerzy.

- Dzięki za to, że wierzysz we mnie - mówi sucho. - Polecił mi także kilka książek do przeczytania. Ciekawe rzeczy o mechanice kwantowej i metafizycznej chemii. Nie miałem pojęcia, że lekcja przyrody może być tak fascynująca.

- Powinien używać zwykłego podręcznika. To z tego będziemy egzaminowani. - Czuję bolesny skurcz w żołądku i początki bólu głowy. Jak ja tego nienawidzę. Jestem wściekła, że Cyrus chce wcisnąć Noahowi swoje książki. I jestem wściekła, że przez niego zaczynamy się kłócić. Czego Cyrus od niego chce?

- Co jest z tobą dzisiaj? Czy coś cię dręczy? - Noah kładzie mi rękę na ramieniu, a ja marzę tylko o tym, by o wszystkim mu powiedzieć. Ta myśl jest tak kusząca, że aż sprawia mi ból... Zyskałabym sojusznika, kogoś, kto także znałby prawdę. Mogłabym powiedzieć mu, jak naprawdę się nazywam: Seraphina.

A co potem? - pytam sama siebie. Poprosisz go, żeby uciekł razem z tobą? Co się stanie za parę lat, gdy on będzie dojrzałym mężczyzną, a to ciało zacznie się sypać? Przysięgam, że nigdy więcej nie zabiję - to moje ostatnie wcielenie.

Przełykam ślinę, oddalając od siebie pokusę, by wyznać Noahowi prawdę. Tych drzwi nie wolno mi otworzyć.

- Nie ufam panu Shaw - wyjaśniam ostrożnie, chcąc, by Noah zrozumiał chociaż część moich argumentów. - Skąd on się w ogóle wziął? Gdzie jest nasz

nauczyciel? Kiedy wraca? - Nie wspominam o historyjce Cyrusa i rzekomym „urlopie” pana Roberta. Noah wzdycha.

- A ja, szczerze mówiąc, chciałbym, żeby pan Shaw został na stałe. Zmusza nas do myślenia.

- Jest bardzo... charyzmatyczny - przyznaję. -Ale to cecha wielu socj opatów.

Noah śmieje się, głębokim i ciepłym śmiechem. Uśmiecham się wbrew sobie. Wiem, że brzmię jak paranoiczka. Nagle przychodzi mi do głowy straszna myśl.

- Nie mówiłeś mu nic na temat mojego wypadku, prawda?

- Oczywiście, że nie. - Jest zdziwiony, ale także urażony. - Obiecałem ci, że nikomu nie powiem. Poza tym czemu sądzisz, że w ogóle poruszyliśmy taki temat?

- Przepraszam, wiem. Po prostu coś mi się w nim nie podoba.

- Muszę uważać, żeby nigdy ci się nie narazić -odpowiada. - A, i jeszcze jedno...

- No co?

- Jak leciała ta nieśmiertelna piosenka Kinksów? *Paranoja jest niezdrowa?*

Śmieję się.

- To chyba było jakoś inaczej. Ale chwytam aluzję.

Reszta przerwy na lunch upływa nam na rozmowie: o rodzicach Noaha, szkole plastycznej, naszej umówionej randce i gdzie mogłaby się odbyć. Nie mogę się jednak oderwać od własnych myśli. Zawisł nade mną cień. Cyrus może mnie skrzywdzić na wiele sposobów. Zdaję sobie sprawę, że teraz, gdy mam wokół siebie ludzi, na których mi zależy, stałam się szczególnie podatna na atak.

Opieram się o dąb. Jest taki solidny i potężny. Prawdopodobnie żyje już od setek lat, tak jak ja. A jednak można go ściąć w ciągu kilku minut. Czuję, że Cyrus jest wszędzie, gdziekolwiek się obrócę i przewiduje każdy mój ruch. A ja nie mogę przegrać tej gry.

## Rozdział 29

Następnego dnia po południu dostaję wiadomość od Leyli.

„Idziemy na podszepty sztuki? Podwiozę cię”.

Nie mam pojęcia, co to jest „podszept sztuki”, ale Google podpowiada mi, że to wieczór, kiedy można zwiedzać za darmo wszystkie galerie w centrum Oakland. Piszę do Noaha, który błyskawicznie odpowiada, że z przyjemnością wybierze się z nami. Nagle przychodzi mi do głowy, żeby zajrzeć też do Bryana.

- Idę dziś na Podszepty sztuki. Zabrać cię?

- Błę, sztuka i hipsterzy - jęczy. - Nie bardzo.

- Jesteś pewny? Leyla odbiera mnie za dziesięć minut - dodaję niewinnie.

- O, Leyla... ee, prowadzi? No, ee. Yy. Właściwie, czemu nie. - Chwyta trampki z wierzchu sterty i nawet nie stara się ukryć zadowolonego uśmiechu.

Leyla jest trochę zażenowana, że musi zaprezentować się nam w starej hondzie.

- Dostałam ją od rodziców - wyjaśnia Bryanowi, gdy ten wdrapuje się na przednie siedzenie. - Twierdzą, że te samochody są nieśmiertelne.

- Solidne auta są dobre - mówi Bryan, po czym poprawia kołnierz swojej kurtki futbolowej gwiazdy i zapina pas. - Wolę nudną jazdę z porządnym silnikiem niż jakiś wypasiony wóz, który wysiądzie mi gdzieś w polu.

Noah i ja wybuchamy śmiechem.

- Co was tak bawi? - pyta Leyla.

- Nic - odpowiadam. - Bryan ma rację w kwestii porządnego silnika.

Parkujemy przy Dwudziestej Piątej ulicy i ruszamy w stronę galerii. Wokół panuje świąteczna atmosfera. Ludzie krążą po chodnikach i ulicach, popijając z plastikowych kubków i butelek owiniętych w papier. Obok nas przejeżdża jakaś grupa chłopców na rowerach, które mają wpięte w szprychy trójkąty z jaskrawej kolorowej folii - wyglądają jak ruchome wiatraki. Ludzie sprzedają ze stojaków odbitki, biżuterię, portfele wykonane z taśmy izolacyjnej i szydełkowe nakrycia głowy. Zatrzymujemy się przy kobiecie, która handluje babeczkami. Leyla pyta o smaki.

- Dynia, cytryna i smażony kurczak - odpowiada kobieta z uśmiechem.

Bryan ma zachwycony błysk w oku.

- Czy pani powiedziała właśnie: „Babeczka o smaku kurczaka”? To możliwe?

- No pięknie. - Leyla podziela entuzjazm Bryana. - Boję się, że jak to zjem, to uświadomię sobie, że jestem już martwa, bo takie połączenie smaków zdarza się tylko w niebie.

Bryan kupuje dla nich po babeczce, po czym wznosi swoją w górę, imitując toast. Leyla go naśladuje.

- Za idealne połączenie słodczy i smakowitości. Na zdrowie!

Przechadzamy się po galeriach, podziwiając portrety namalowane na kulach do kręgli, łapacze snów wykonane z elektrycznych kabli, mapy nieistniejących krain i mozaiki z kapsli w stylu art nouveau. Noah szczególnie interesuje się serią czarno-białych zdjęć dzieci przebranych na Święto Zmarłych - mali chłopcy w garniturach i dziewczynki w sukienkach mają namalowane na twarzach czaszki.

- Naprawdę koszmarne - mówi Bryan.

Zatrzymujemy się przed obrazami, które przypominają mi prace Kailey. Są to ozdobne akwarele przedstawiające młode dziewczyny leżące na wyszywanych z kwadratów polach albo śpiące w kałuży gwiazd. Zastanawiam się, jak patrzyłaby na nie Kailey. Ja widzę, jaką opowiadają historię. Ale ona może skupiłaby się na technice? Czy dopytywałaby się o środki, jakich użyła artystka? Autorka właśnie do nas podchodzi, to dziewczyna trochę przed trzydziestką, ubrana w marszczoną spódnicę w kratę.

- Są przepiękne - mówię.

- Dziękuję - odpowiada i patrzy na mnie uważnie. - My się chyba już znamy?

- Nie sądzę - jękam się, odwracając do innych. - Straszny tu tłok, wyjdźmy na zewnątrz.

Na ulicy zrobiło się już chłodno, ale możemy się swobodnie poruszać. Mijamy gitarzystę grającego folkowe piosenki, teatrzyk marionetek i grupę młodych mężczyzn tańczących przy głośniku w workowatych dżinsach i czapkach drużyny Oakland Athletics. Poruszają się płynnie i zgrabnie, ale mimo uśmiechów i klaskania, emanuje z nich niewyobrażalny smutek.

Leyla zauważa nagle samochód w kształcie wielkiego ślimaka i ciągnie nas w jego stronę. Gdy z czu-



łęk samochodu strzelają płomienie, tłum wokół zaczyna szemrać z podziwem.

- O rany, muszę to zobaczyć! - wrzeszczy Leyla, przyspieszając kroku.

Metalowe płyty, z których uformowana jest wielka, spiralna muszla, mają barwę starej miedzi. Głowa ślimaka to delikatne rusztowanie z drutów, a pomarańczowy blask bijący od ognistych czułek tańczy na satynowym wykończeniu. Z boków muszli wyrastają musze skrzydełka zrobione z cieniutkich płacht plastiku, upodobnionego do barwionego szkła.

Leyla przepycha się przed tłum do miejsca, gdzie stoi artysta - w dresie i meloniku.

- To niesamowite! - krzyczy, głaszcząc powierzchnię muszli. - Kailey! Chodź tu!

Podchodzę bliżej. Mężczyzna pyta, czy chciałabym posterować płomieniem, po czym podaje mi skórzaną dźwignię regulującą przepływ gazu. Gdy ją pociągam, ogień uderza w niebo ze zdwojoną siłą - ku zachwytowi tłumy. Mój nos wypełnia zapach propanu.

- Jak to się nazywa? - pyta Leyla, przejmując dźwignię.

- Ptak Fibonacciego - odpowiada artysta. Leyla marszczy brwi.

- Powinieneś go nazwać Ognisty Rydwan Czarów.

- Sądzę, że obecna nazwa jest znakomita i nie wymaga poprawy. - Artysta nie jest zachwycony.

- Czy mogę znowu wystrzelić? - pyta Leyla z nadzieją.

- Twoja kolej już minęła - mówi surowo artysta. Wracamy do chłopców, zaśmiewając się.

- Koleś ma jakiś problem - krztusi się Leyla.

- Jest tylko przeczulony - mówię i obejmuję ją ramieniem. - Nie zrobiłaś nic złego.

Bryan stwierdza, że znowu jest głodny, więc postanawiamy kupić koreańskie tacos z ciężarówki. Właśnie stajemy w kolejce, gdy za sobą słyszę znajome głosy. To Nicole w towarzystwie Chantal. Czuję ścisk w sercu.

Kupujemy jedzenie i ustawiamy się w krąg. Nicole i Chantal dołączają do nas. Bezwiednie zaczynam jeść, przygotowując się na znoszenie lodowatych łygnięć, w których Nicole się specjalizuje. Ale, o dziwo, jest w dobrym humorze i wszystkich ściska.

- Co jesteś taka zadowolona? - pyta Leyla, ścierając z brody sos hoisin.

- Zakochała się w panu od zastępstwa z biologii -informuje nas Chantal z uśmiechem satysfakcji. - Bez przerwy o nim mówi.

- Przestań - prosi Nicole, rumieniąc się aż po skraj mocno wyciętego dekoltu bluzki. - Wcale się nie zakochałam. Ale myślę, że jest naprawdę mądry.

- Y-hy - odpowiada Chantal. - A ty słyniesz z umiłowania wiedzy.

- Zaproponował mi indywidualny tutorial - przyznaje Nicole, bawiąc się kosmykiem włosów. Widzę, że jest zachwycona powszechnym zainteresowaniem i że popisuje się przed Noahem.

- Niech cię, masz szczęście. Niezłe ciacho - stwierdza Leyla.

- Chwileczkę. Co to za gość? - pyta Bryan, marszcząc brwi.

- To jakiś nowy kretyn, który miał zrobić zastępstwo, a siedzi tu już o wiele za długo! - wybucham, po czym wściekle gryzę taco. Czemu Cyrus wszystko mi psuje? Tak dobrze się bawiłam, prawie udało mi

się zapomnieć, że żyłam w pożyczonym czasie, niesiona falą wielkiego kłamstwa. Po prostu czułam się normalnie, jak gdyby to było moje prawdziwe życie. Bo to jest moje prawdziwe życie - nie mam innego. Za każdym razem, gdy znajduję mikroskopijny okruch szczęścia, za każdym razem, gdy odwracam głowę, widzę Cyrusa, który wszystko mi odbiera.

- Kailey nie jest fanką pana Shaw - wyjaśnia Noah, chociaż jest to zupełnie zbędne.

Leyla patrzy na mnie ze zdziwieniem.

- Serio? A mnie się wydaje, że jest całkiem spoko. No i straszny z niego przystojniak, taki wiking. Wysoki, jasnowłosy, kości policzkowe ma takie, że mógłby ciąć nimi szkło...

Bryan patrzy na nią ponuro.

- ...oczywiście każdy ma swój typ - kończy prędko Leyla.

Zbiera się mgła, która przyprawia mnie o dreszcze. Przytulam się do Noaha, żeby się rozgrzać. Wstyd mi za ten wybuch. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Inni rozmawiają i śmieją się, ale ja wbijam wzrok w przestrzeń. Myślę, analizuję. Trochę się boję o Nicole i jej tutorial. Nie sądzę, by Cyrus chciał zrobić jej krzywdę, zwłaszcza kiedy już zorientuje się, że to nie ja. Ale nie mogę mieć pewności. W gniewie staje się nieprzewidywalny.

A teraz udało mu się zrobić dobre wrażenie nie tylko na Noahu, ale także na Leyli. Coraz bardziej zbliża się do osób, na których mi zależy. Co, jeśli mój plan przeczekania ataku w ukryciu nie wypali? Co, jeśli Cyrus nie zamierza stąd odchodzić?

Przychodzi mi do głowy pewna myśl. Niebezpieczny, głupi pomysł, przez który mogę zginąć. W poniedziałek po szkole pójdę za Cyrusem i wyśledzę,

gdzie teraz mieszka. Będę go obserwować, zobaczę, co mogę ustalić. Oczywiście, jeśli mnie złapie, to natychmiast wyda się, kim jestem. Ale muszę wiedzieć, co dokładnie wie na temat tamtej mglistej nocy przy placu Jacka Londona. Tej nocy ucieczek i podstępów, krwi i benzyny, gdy opuściłam go na zawsze i zaczęło się moje prawdziwe życie.

## Rozdział 30

W poniedziałek budzę się z bólem brzucha. Na dworze szaruga i plucha, wiatr miota drzewami. Mimo to mówię Noahowi, że pojedę do szkoły rowerem. Trochę się martwi, ale tłumaczę mu, że lubię deszcz. „Nie jestem z cukru, nie rozpuszczę się”.

Na biologii Cyrus wyklada nam teorię doboru naturalnego i przetrwania najsilniejszych. Jeszcze cię pobiję, przyrzekam mu w myślach. Chociaż jestem przerażona, cieszę się, że nareszcie działałam. Przynajmniej nie czekam biernie, aż zostanę znaleziona.

Po szkole odpinam rower Kailey z łańcucha i przyczajam się za drzewem. Zaciągam na twarz szydełkową czapkę. Deszcz przesiąka na wylot moją dżinsową kurtkę. Nawet nie czuję już zimna. Patrzę, jak Cyrus wychodzi ze szkoły, unosząc nad głową elegancką, skórzaną teczkę. Ku mojemu zdziwieniu kieruje się na przystanek. Cyrus - który ma samochody warte więcej niż roczna pensja nauczyciela, który jednym kiwnięciem palca mógłby załatwić sobie prywatny odrzutowiec... - jeździ autobusami?

Ulice są zatłkane korkami, więc autobus bardzo powoli przemieszcza się aleją Shattuck, ale dla bezpieczeństwa trzymam się kilka przecznic z tyłu. Jadę za nim przez południowe Berkeley i docieram do

alei Telegraph w Oakland, pełnej kafejek i uroczych restauracji. Przemykając między spacerowiczami, odkrywam, że hamulce przy rowerze Kailey zdecydowanie wymagają naprawy. Na rogu bulwaru Mac-Arthura Cyrus wysiada z autobusu. Gdy czeka na światłach, obok przejeżdża szybki, lśniący wóz, z którego dobiega dudnienie techno. Rozpryskuje oleistą wodę z kałuży prosto na garnitur Cyrusa.

Cyrus przemieszcza się teraz pieszo, więc pośpiesznie przypinam rower do słupka parkingowego i ruszam za nim. Kieruje się na wschód, na bulwar. Trzymam parasol nisko przed twarzą, jak tarczę, ale Cyrus i tak ani razu się nie odwraca. Idzie w stronę parkingu przed obskurnym motelem o nazwie Pod Kominkiem. Mogłabym się założyć o moje skromne oszczędności, że w całym budynku nie ma ani jednego sprawnie działającego kominka.

Czemu Cyrus zatrzymał się w tej norze? - pytam sama siebie. Mógł przecież wynająć piękny dom na wzgórzu albo nowy apartament w centrum. Nagle zdaję sobie sprawę, że odkąd tu przyjechał, nie widziałam w jego otoczeniu żadnego innego członka klanu. Czy nie chcieli mu pomóc? Wiem, że moje odejście musiało wywołać w nim furię i zastanawiam się, czy nie doprowadziło do zakwestionowania jego przywództwa. Zamieszkał tu, bo to ostatnie miejsce na ziemi, w którym klan mógłby go szukać, uświadamiam sobie. Podejrzewam, że klan nie ma pojęcia, gdzie go znaleźć. Jedno jest pewne - Cyrus wybrał to miejsce, bo tu nikt nie będzie mu zadawał zbędnych pytań. Może być zupełnie anonimowy.

Chowam się za kontenerem na śmieci, stopy ślizgają mi się na tłustej mazi. Przywieram plecami do stiukowej ściany, która wbija mi się w łopatki. Oddycham ciężko, przemoczone włosy oblepiają mi policzki. Brutalnie zagarniam mokre kosmyki pod czapkę i próbuję siłą woli wtopić się w ścianę, stać się niewidzialna i cierpliwa jak sam kamień.

Listopadowy zmierzch w czasie burzy zapada jeszcze szybciej, więc błyskawicznie robi się zupełnie ciemno. Czekam i czekam, z wzrokiem przyklejonym do drzwi numer 17 - to pokój na drugim piętrze, pokój Cyrusa.

Omial nie przegapiam momentu, w którym w końcu wychodzi. Rozproszyły mnie krzyki dobiegające z ulicy. Są tam dwaj mężczyźni, chyba całkiem pijani, którzy wrzeszczą na siebie. Ale moje zmysły są wyostrzone z powodu niebezpieczeństwa i małe poruszenie drzwi Cyrusa natychmiast przyciąga mój wzrok. Nadal ma na sobie drogi garnitur i nie mógłby bardziej odróżniać się od otoczenia. Z gracją zbiega z zewnętrznych schodów, lawiruje między kałużami na parkingu i po chwili już go nie ma.

Nasuwam czapkę nisko na oczy, wkładam rękawiczki - nie mogę zostawić odcisków palców - i wyciągam szyję, by zerknąć za róg budynku. Widzę, jak Cyrus idzie bulwarem, skręca w prawo i znika.

Wdrapując się po betonowych schodach, omial nie upadam, ale kończy się na uderzeniu w kolano. Drzwi Cyrusa są zamknięte, czego się spodziewałam. Na szczęście umiem otwierać zamki wytrychem, a motel jest zbyt stary, by mógł być wyposażony w elektroniczny system z kartami magnetycznymi.

Wyciągam z kieszeni szpilkę do włosów. Pokonanie zamka nie zajmuje mi nawet minuty. Wślizguję się do środka, po czym szybko zamykam za sobą drzwi. W moje nozdrza uderza duszący zapach sosnowego odświeżacza powietrza, a pokój jest obskurny

i ciemny. Nic tu nie pasuje do ekstrawaganckich upodobań Cyrusa, nic nie wygląda tak, jak jemu by się podobało.

Mimo to silnie wyczuwam jego obecność. Pod smrodem stęchlizny, który wydzielają poliestrowe zasłony, kryje się zapach kuskusu i cedru - mydła Cyrusa. Gdy wyobrażam sobie, jak przychodzi tu co wieczór, dzień w dzień, napędzany tylko żądzą zemsty, nagle zaczynam wierzyć w duchy żywych.

Z zewnątrz dobiega dźwięk, który brzmi jak wystrzał, więc instynktownie padam na kolana. Ale to tylko gaźnik jakiegoś samochodu. Słuchając, jak huk niesie się upiornym echem, boleśnie tęsknię za normalnymi odgłosami ulicy. Jestem uwieczona w ciszy, która otula mnie jak gruby kokon z waty. Słyszę tylko plaskanie deszczu o dach. Gdy się odwracam, cisza podąża za mną, czepiając się moich ramion jak żywa istota.

Przede mną wisi tablica w pośpiechu przygwożdżona do ściany, aż w gipsie porobiły się głębokie pęknięcia. Cała pokryta jest papierami. Robię kilka kroków w półmroku, by przyjrzeć się jej z bliska i kolana uginają się pode mną. Już wiem, na co patrzę.

To kolaż z błędów - tych, które popełniłam mglistej nocy trzy tygodnie temu.

Są tu dwa mandaty z piętnastego października, czyli z dnia mojej ucieczki. Zostały wystawione przy Minna Street w San Francisco, to tam zaparkowałam samochód, idąc na przyjęcie do Szmaragdowego Miasta. Zdjęcia z dystansu przedstawiające człowieka o znajomym wyglądzie... dopiero po chwili odnajduję go w pamięci. To mężczyzna, który sprzedał mi samochód. Jest też wycinek z policyjnym doniesieniem o wypadku. Data została zaznaczona markerem. Ściągam z tablicy



pakiet spiętych wydruków e-maili - i siadam na zapadniętym łóżku, z twarzą ściągniętą ze wstydu.

Czytam własne e-maile, korespondencję ze sprzedawcą z serwisu aukcyjnego, prowadzoną ze specjalnie w tym celu utworzonego konta. Cyrus pewnie wynajął hakera, który prześledził wszystkie działania prowadzone z naszego adresu IP. Oczywiście nawet nie przyszło mi do głowy użyć publicznego komputera... gdybym zrealizowała pierwotny plan, nie miałyby to żadnego znaczenia. Cyrusowi nie pozostałoby już nic do odnalezienia. Mogę tylko zakładać, że Cyrus dowiedział się o poszukiwanym samochodzie, bo sama zgłosiłam kradzież. Pewnie byłby w stanie nawet ustalić, że telefon wykonano z budki w pobliżu liceum Berkeley.

Przypinam e-maile z powrotem do tablicy i przyglądam się reszcie. Chyba nie wie jeszcze o Taryn ani o książce. Jest natomiast ślad po podaniu o udostępnienie danych szpitalnych - odrzuconym. Jak dobrze, że obowiązuje tajemnica lekarska, myślę. Przynajmniej Cyrusowi nie udało się poznać imienia. Ale każdy ma swoją cenę i w końcu znajdzie osobę, która da się przekupić...

Jest jeszcze jeden wycinek z gazety - pożółkły ze starości. Przypatruję się bliżej. Przedstawia grupowe zdjęcie z wieloma dziewczynami, których nie znam. Ale dostrzegam Kailey, stojącą między Nicole a Ley-lą, ma wyczerpany uśmiech na twarzy i taśmę z numerem na piersiach. Podpis brzmi: „Doroczny Marsz na rzecz walki z rakiem piersi, liceum w Berkeley”, Wszystkie dziewczyny mają ręce w górze, a na nich identyczne, srebrne bransoletki. Czuję, że jeżą mi się włoski na karku - ten widok przyprawia mnie o dreszcze, chociaż nie rozumiem jeszcze dlaczego.

Zapadam się głębiej w łóżko, staram się skupić i nagle ogarnia mnie wyczerpanie. Kątem oka widzę malutki błysk światła w ciemnym pomieszczeniu. Oglądam stoliczek nocny. Leży na nim egzemplarz rocznika liceum w Berkeley. A pod nim schowany jest jakiś błyszczący przedmiot. Coś srebrnego.

Młoda dziewczyna, najwyżej szesnastolatka. Ma rozczochrane blond włosy, loki i srebrną bransoletkę wokół opalonego nadgarstka.

Gdy wydostaję Kailey z samochodu, czuję szarpnięcie i słyszę metaliczny szczęk. Mam tylko nadzieję, że nie zламаłam jej czegoś jeszcze.

Cyrus patrzący na moje dłonie.

Nikt już nie nosi zegarków. Chociaż ty chyba miałaś taki zwyczaj?

Podnoszę bransoletkę, jest taka sama jak te, które noszą przyjaciółki Kailey. Ma małą, okrągłą plakietkę z wygrawerowaną wstążką. Z tyłu napis: „Marsz na rzecz walki z rakiem piersi. Liceum w Berkeley 2010”. Dostaję gęsiej skórki, bo przypominam sobie, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy - na ręce Kailey, w noc jej śmierci. Przyglądam się białej linii po bransoletce, którą wciąż mam na nadgarstku. Musiała pęknąć w trakcie reanimacji. Gdy Cyrus poszedł obejrzeć skrzyżowanie, przy którym jeden samochód miał wypadek, a drugi został skradziony, znalazł ją gdzieś w trawie przy ulicy. Mała, biała kreseczka, jak droga na mapie, prowadząca Cyrusa prosto do mnie.

Nie, nie do końca. Podnoszę rocznik i przeglądam strony. Niektóre twarze zostały wykreślone grubym czarnym flamastrem. Piper, Chantal i Madison i mnóstwo innych dziewczyn, których nie znam, jest już odfajkowana. Nicole także została wymazana - dotykam atramentu, wydaje się całkiem świeży. Ale nad

twarzą Kailey widnieje wielki znak zapytania. Krew tężeje mi w żyłach. Robi mi się zimno. Jednak jeszcze bardziej przeraża mnie drugi znak zapytania, nad twarzą innej dziewczyny. Leyla.

Cyrus szuka dziewczyny, która miała ten wypadek, eliminując po kolei wszystkie uczennice płci żeńskiej, które mogą już prowadzić samochód. Nie dziwię się, że mnie podejrzewa. Chociaż myślałam, że jestem taka sprytna, Cyrus na pewno rozpoznaje mnie w duchu. Ale Leyla? Nie ma nawet pojęcia, w jakim znalazła się niebezpieczeństwie.

Podrywam głowę na dźwięk kroków na schodach. Są coraz głośniejsze. To Cyrus. Wrócił. Klekot wyciąganych z kieszeni kluczy napędza mnie grozą. W pośpiechu odkładam rocznik i bransoletkę na stoliczek, łudząc się, że Cyrus nie zauważy, jeśli nie będą leżały idealnie tak samo jak wcześniej. Szorstkim gestem ocieram oczy, żeby oczyścić je z łez i poprawić ostrość widzenia.

W panice rozglądam się po pokoju. Z zewnątrz dobiega coraz więcej szelestów i dźwięków. Łazienka. To moja jedyna droga ucieczki. Wbiegam do małego, zapleśniałego pomieszczenia i staram się poruszać jak najciszej. Okno jest mocno zatrzaśnięte, ale otwieram je jednym szarpnięciem. Skrzypi tak głośno, że aż kulę się ze strachu. Daje się otworzyć tylko do połowy, ale to mi wystarczy. Prawie. Dźwięk klucza wsuwanego w zamek jest jak kopniak energii. Przepycham się na zewnątrz, ignorując nagłe szarpnięcie bólu - jakiś obłuzowany gwóźdź przeorał mi udo.

Łąduję twardo na betonowym chodniku, ale błyskawicznie podnoszę się i ruszam pędem przed siebie. Nie oglądam się i bez zatrzymywania dobiegam aż do miejsca, w którym zostawiłam rower Kailey.

Dopiero teraz, gdy moje nogi wściekle raz za razem naciskają na pedały, a wzrok zasnuty mam deszczem i łzami, dociera do mnie w pełni, co oznaczają wyniki mojego śledztwa. Zjeżdżam z drogi i chronię się pod okapem jakiegoś sklepu. Kucam na piętach, opieram się o wystawę i ukrywam twarz w dłoniach. Moim ciałem wstrząsają szlochy.

Teraz już wiem. Muszę stąd odejść. Cyrus jest bardzo blisko prawdy, ale niebezpieczeństwo grozi nie tylko mnie. Podejrzewa Leylę i stara się zdobyć lojalność Noaha. To ja go tu przyciągnęłam. Jeśli zniknę, on pójdzie w moje ślady.

## Rozdział 31

Nie idę do domu, tylko zostaję skulona pod sklepem i za pomocą iPhone'a Kailey ustaliam, co trzeba zrobić, żeby zdobyć nowe dokumenty. Jeszcze nigdy nie musiałam się martwić o takie praktyczne szczegóły - Cyrus zawsze załatwiał to za mnie. Na początku myślałam, że to uprzejmość z jego strony i forma pomocy. Ale tak naprawdę robił to po to, by mnie kontrolować. Z drugiej strony, procedura nie może być aż tak trudna - mnóstwo dzieciaków załatwia sobie jakieś fałszywki, żeby kupować piwo na imprezy.

We wschodnim Okland znajduję kilka obiecujących miejsc. To za daleko, żeby jechać rowerem, więc przypinam go przed sklepem i kieruję się do najbliższej stacji BART. Gdy wysiadam na stacji FRUITVALE, deszcz pada jeszcze intensywniej. Niewielu ludzi włości się po ulicach. Cieszy mnie to. Nieliczni przechodnie łypią na mnie ciekawie. Kątem oka widzę odbicie moich blond loków w oknie pralni i rozumiem czemu: Kailey trochę nie pasuje do tej okolicy.

W końcu znajduję miejsce, o którym czytałam, i wchodzę do środka. Sklepik jest mały i zagracony, wysokie metalowe regały stoją krzywo wzdłuż alejek.

Nie widzę żadnego klienta, za to czuję mocny zapach gotowanego mięsa i kolendry, który dochodzi z tylnej części sklepu. Rozglądam się niepewnie, po czym zauważam kontuar.

- Tak? - mówi mężczyzna, który siedzi za kasą i leniwie kartkuje jakieś czasopismo. Po chwili odkłada je na ladę i ze zdziwieniem stwierdzam, że to „Vogue”.

Biorę głęboki oddech.

- Ja do Lucii.

Mężczyzna uśmiecha się, a wokół jego oczu pojawiają się zmarszczki.

- Jasne. - Zeskakuje ze stołka, po czym obchodzi kontuar, żeby zaprowadzić mnie na tył sklepu.

Lucia wyłania się z kuchni - jest młodsza, niż się spodziewałam, ma najwyżej dwadzieścia parę lat, mocno czerwone usta i włosy upięte w ścisły kok.

- Czego ci trzeba, skarbie? *Micdi* Nie... prawo jazdy? - Lucia patrzy na mężczyznę i wskazuje mu głową, że może już iść.

- Tak - odpowiadam. - Moje ulubione zespoły zawsze robią koncerty od dwudziestego pierwszego roku życia. Czy możesz mi pomóc?

- Yhy. - Unosi brwi. - Masz gotówkę?

- Ile?

- Siedemdziesiąt pięć. Ale to dobry towar. Można go skanować i w ogóle. - Krzyżuje ręce na piersiach, a ja przytakuję. - Dobrze, chodźmy na spacer. - Ściąga płaszcz przeciwdeszczowy z wieszaka na ścianie i wyruszamy na ulicę. Mijamy kilka przecznic. Lucia proponuje, że weźmie mnie pod parasol, ale kręcę głową. - No, nie przesadzaj - mówi, patrząc na mnie smutno. - Wyglądasz jak utopiony ptaszek. A musisz być śliczna do zdjęcia.

Zatrzymujemy się przed studiem fotograficznym. Na wystawie pełno jest pozowanych zdjęć w efektownych, złożonych ramkach. Wszystkie twarze są odrobinę rozmyte i mają rozmarzone miny. W ciemnym wnętrzu studia unosi się lekki zapach pleśni. Dostrzegam zestaw różnych tkanin na tło i wieszak z frywolnymi sukienkami. Zatrzymuję się przy nich, ale Lucia kieruje się prosto do drzwi i prowadzi mnie do kolejnego pomieszczenia, z gładkim, niebieskim ekranem. Rozpoznaję odcień charakterystyczny dla tła zdjęć do prawa jazdy w stanie Kalifornia.

Wchodzi mężczyzna w ciemnych okularach. Jego łyśa głowa błyszczy się od lamp w studiu.

- Jesteś pewna, że nie jest podstawiona? - pyta Lucię po hiszpańsku. Nie słyszę odpowiedzi, ale mężczyzna wydaje się uspokojony.

Lucia przynosi mi ręcznik do wytarcia włosów.

- *Gracias* - szepczę. Daję jej pieniądze, mężczyzna robi mi zdjęcie, po czym zostajemy same.

- To zajmie koło godziny - mówi. - Możemy się spotkać w taquerii.

- Czy mogłabym zostać z tobą? - pytam. Jestem głodna.

- Chyba jeszcze tego nie robiłaś, co? - Śmieje się, ale nie protestuje.

Wracamy do sklepu, a ja znów zatapiam się w myślach. Dane Kailey ze szpitala to problem. Jeśli mam uciec, to liczy się każda godzina i nie mogę ryzykować, że Cyrus dowie się, kim jestem, zanim zdążę znaleźć się daleko od miasta.

Zamawiam dwa tacos z mięsem i siadam na stołku przy barze. Lucia otwiera puszkę jarritos o smaku mango i popycha ją w moją stronę.

- Na koszt firmy, skarbie.

Z wdzięcznością upijam łyk.

- Posłuchaj, Lucia... - zaczynam. - Mam jeszcze jedną... prośbę. Czy znasz kogoś, kto dobrze radzi sobie z komputerami?

- A co, potrzebujesz pomocy przy kupowaniu biletów?

Uśmiecham się.

- Jest kilka informacji o mnie, które muszą zniknąć. Chciałabym usunąć dane o pobycie w szpitalu i raport policyjny. Moi rodzice nie mogą tego zobaczyć, bo mnie zabijają. - Czuję, że twarz zaczyna mnie palić i nerwowo gryzę taco, rozsypując cebulę po papierowym talerzu.

- A, rozumiem. Mam kumpla, który jest geniuszem w tych sprawach. Poproszę go.

Wyjmuje telefon i znika w kuchni. Staram się coś usłyszeć, ale nic nie rozumiem. Wraca po paru minutach.

- Pewnie nie chcesz płacić, co? On może to zrobić, ale chce tysiąc dolców. I mówi, że nie da się sprawić, żeby cokolwiek na dobre znikło z Internetu. - Opiera się o zimną zgrzewkę piwa i złącza paznokcie, czekając na moją odpowiedź.

Mina mi rzednie.

- Mam tylko trzy stówy.

Lucia wpatruje się we mnie przez chwilę, przygryzając wargę, po czym idzie dokończyć rozmowę.

- No dobra. Mój przyjaciel zgodził się wyjątkowo zrobić to za trzy stówy.

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję! Jak go namówiłaś? - Z podekscytowania tracę głos.

Wprawdzie stracę całą gotówkę, ale muszą być jakieś sposoby, żeby uzupełnić zapas. Może Bryan ma jakąś kasę albo znajdę w domu Morganów coś, co



da się sprzedać. Ta ostatnia myśl przyprawia mnie o mdłości, ale jestem zdesperowana.

- Ma u mnie dług - mówi Lucia, wzruszając ramionami.

Wyciągam zwitek banknotów i odliczam trzysta dolarów. Lucia podaje mi kartkę, na której zapisuję szczegóły wypadku Kailey: datę, miejsce i nazwę szpitala.

W tej samej chwili zjawia się łysy fotograf i wręcza mi kopertę. Gdy ją otwieram, wpatruję się w twarz Kailey na moim nowym dokumencie. Nazywam się teraz Jane Smith. Patrząc pytająco na mężczyznę. Wzrusza ramionami z cieniem uśmiechu na ustach.

- Nie mówiłaś, jakie chcesz imię, więc sam wybrałem.

Dziękuję im obojgu i z trudem opieram się pragnieniu wyściskania Lucii. Mówię jej, że jest jak dobra wróżka, a ona śmieje się i wygania mnie machnięciem dłoni.

## Rozdział 32

Dzień dobry - mówię radośnie do pani Morgan, gdy wchodzę do kuchni we wtorkowy poranek i doprawiam powitanie pocałunkiem w policzek. Pan Morgan podnosi wzrok znad gazety.

- Ups. Ostatnim razem, kiedy byłaś taka szczęśliwa, Noah zapukał do drzwi i zachowywał się zupełnie, jak gdyby został twoim chłopakiem. Co tym razem? Zaręczyliście się?

- Ha ha ha. - Siadam i całuję też tatę. - Po prostu jestem w dobrym humorze. To piękny dzień. - Mam nadzieję, że mój głos nie zdradza tego, jak bardzo udaję. Dziś wieczorem życie państwa Morganów zmieni się na zawsze. Będą je dzielili na to, co było kiedyś - gdy mieli dwoje szczęśliwych dzieci - i co jest teraz - gdy zostało im tylko jedno. Będą wspominać to „kiedyś” i wyrzucać sobie, że nie cieszyli się każdą chwilą. Będą się zastanawiać, czemu pozwalali, żeby denerwowały ich jakieś drobne, codzienne problemy, czemu nie zdawali sobie sprawy z tego, jak wspaniałe było ich życie. Nie mogę oszczędzić im bólu, który poczują, ale przynajmniej spróbuję pozostawić im dobre wspomnienia.

- Muszę lecieć - mówi pani Morgan, po czym jednym haustem dopija kawę. - Obiecałam, że będę dziś wcześniej.

- Wyjdę z tobą. - Pan Morgan odsuwa krzesło. Chrząkam.

- Mamo, tato? - Są już w połowie drogi do drzwi, ale odwracają się wyczekująco. - Chciałam tylko, żebyście wiedzieli, że was kocham. I żebyście nigdy w to nie wątpili. - Drży mi głos.

Mają zdziwione miny, ale są wzruszeni. Pani Morgan otwiera ramiona, a ja rzucam się, by ją przytulić.

- My kochamy ciebie jeszcze bardziej.

Po ich wyjściu idę do pokoju Kailey. Już nigdy tu nie wrócę. Wyciągam plecak Kailey z kryjówki pod łóżkiem, po czym siadam na limonkowo-zielonej kapie.

Rozglądam się po pokoju i patrzę na rzeczy Kailey, jej obrazy, zdjęcia z przyjaciółmi, ubrania, perfumy. Chcę jej podziękować za to, że pozwoliła mi tu być i żyć jej życiem, chociaż bardzo krótko. Ten pokój, te barwy pawich oczek... wszystko to są części samej Kailey. Milczą teraz, słuchając, co powiem. Co chciałabym jej przekazać, gdybym mogła?

Kailey, nigdy cię tak naprawdę nie poznałam, ale dużo o tobie wiem. Spałam w twoim łóżku i nosiłam twoją białą sukienkę. Mam nadzieję, że jesteś wolna i szczęśliwa, że masz barwę wody - turkusowej wody, jak ściany twojego pokoju. Że wiatr jest ciepły, a ty stanowisz jego cząstkę. Że dokończysz swoje obrazy -niech niebo będzie dla ciebie płótnem - i pokażesz je tym innym dziewczynom duchom. Że znów będziesz robić dzwoneczki ze srebrzystego światła gwiazd, które przewleczesz miękkimi, zielonymi pędami wi-na. Te pędy nigdy nie przestaną kwitnąć. Życzę ci pokoju.

Biorę butelkę jaśminowych perfum i obracam ją w dłoniach. Wydaje się ciepła. Podnoszę ją do nosa,

wdycham słodką woń. Dokładam perfumy do torby - Kailey by to zrozumiała.

Wstaję, po czym wychodzę i cicho zamykam za sobą drzwi. Idę do wyjścia.

Bryan siedzi przy komputerze. Gdy wsadzam głowę do środka, zrywa słuchawki z głowy.

- Hej - mówi na przywitanie. - Trzeba już iść?

- Nie, jeszcze nie - urywam na chwilę. - Zaproś Leylę na randkę - mówię w końcu.

Rumieni się.

- Myślisz? A sądziłem, że nie wolno mi chodzić z twoimi przyjaciółkami.

Podchodzę do niego i burzę mu fryzurę palcami.

- Życie jest krótkie - mówię. - Pożyj sobie trochę.

## Rozdział 33

Późnym popołudniem mgła nad Berkeley gęstnieje i wszystko dotknięte jest już przez jej białe palce. Ale na tym bladym tle tym żywsze wydają mi się kolory tych rzeczy, które udaje mi się zobaczyć. Dzień szybko ustępuje miejsca wieczorowi i o wpół do szóstej jest już zupełnie ciemno. Lampy w antykwariacie rozlewają złote światło, które dociera też na ulicę. Nie chcę stąd wychodzić. Wiem, co mnie czeka: zimno, mroczne opary, unikanie dobrze oświetlonych miejsc... uciekinier musi zawsze trzymać się ciemności. Ta mgła jest mi potrzebna, dzięki niej będzie mi o wiele łatwiej zniknąć.

Noah pisze do mnie, że już jedzie. Gaszę wszystkie światła oprócz jednego - barwionej, szklanej lampy w oknie, po czym zamykam sklep. Pieniądze, które wyjęłam z kasy - blisko pięćset dolarów - ciążą mi w kieszeni. Obiecuję sobie, że gdy tylko znajdę nową pracę, odeślę właścicielowi całą kwotę.

Czekam na zewnątrz. Lampa rzuca niebieskozielony cień na moją twarz. Światła volkswagena docierają do mnie poprzez mgłę jak ścieżka czy wyciągnięta dłoń, której mogłabym się chwycić.

Noah podkreca ogrzewanie.

- Tęskniłem za tobą - mówi.

Te słowa są jak cios, ale zmuszam się do śmiechu.

- Przecież minęły najwyżej trzy godziny?

- Gdzie chcesz iść? - pyta. - Moglibyśmy zjeść jakąś dobrą kolację.

- Chciałabym jechać do San Francisco. Weźmy coś na wynos i zjedźmy na plaży. - Myślałam, że już nigdy nie postawię stopy w tym mieście, ale teraz nic mi tam nie grozi, skoro Cyrus mieszka w Oakland.

- Na plaży? Przecież jest lodowato.

- Już ja cię rozgrzeję - mówię śmiało, unosząc brwi.

Kierujemy się w stronę miasta. Powoli przejeżdżamy przez most, na którym jest dziwnie mały ruch. Po drugiej stronie mgła wydaje się jeszcze gęstsza. Światła centrum są rozmazane i rozproszone, a ja przypominam sobie nieudane pokazy fajerwerków - lipiec w San Francisco to nie jest gwarancja, że niebo nie będzie całe pokryte białą watą. I tak świętujący Dzień Niepodległości siedzą owinięci w ciepłe kurtki i podziwiają najwyżej stłumione odgłosy wystrzałów i ulotne złudzenia kolorów na zamglonym niebie. Cyrus zawsze wściekał się w takich sytuacjach, bo uwielbiał fajerwerki, ale dla mnie sztuczne ognie są za głośne, za bardzo przypominają mi prawdziwe eksplozje.

W Richmond kupujemy jedzenie w tajskiej restauracji i idziemy w stronę plaży. Im bliżej jesteśmy wody, tym bardziej wyludniona staje się okolica, jak gdybyśmy znaleźli się w jakiejś sennej turystycznej miejscowości, w samym środku zimy. Odgłosy ulicy i klaksony wydają się coraz bardziej odległe. Mijamy apartamentowce i motele zbudowane w latach sześćdziesiątych, o tandetnych nazwach w rodzaju Włóczęga albo Jaskinia Syrenki. Chodniki chrzęszczą od piasku.

Na plaży znajdujemy pozostałości po ognisku, które jacyś optymiści usiłovali pewnie rozpalić w nadziei na miły wieczór. Noah znika na parę minut, po czym wraca z naręczem drewna.

- Wygrałem - ogłasza. - Nie będziesz marzła. Siada przy mnie. Razem jemy ryż kokosowy ze

smażonym kurczakiem, papryczkami i bazylią, po czym opieramy się wygodnie o bal, syci i rozgrzani.

Patrzę na jego profil w pomarańczowym świetle ognia. Ciemne włosy muskają mu brodę, zaczęły falować od wilgotnego powietrza i soli. Odgarnia je, odsłaniając mocno zarysowaną szczękę i krzaczaste brwi. Mój morski książę, myślę, przypominając sobie wszystkie te godziny, które spędziłam na statku z Barbadosu do Nowego Amsterdamu. Jak blisko byłam tego, by skoczyć z pokładu w pogoni za promykiem światła, aż do głębin oceanu.

Nie zamierzam się topić. Ale wszyscy będą musieli pomyśleć, że tak zrobiłam.

Drzę. Noah obejmuje mnie ramieniem.

- Co się stało? Ktoś przeszedł po twoim grobie? Owszem, myślę. Ja.

Nagle przychodzi mi do głowy pewne pytanie, które muszę zadać.

- Noah, czy podobałabym ci się wciąż, gdybym wyglądała jak ktoś inny?

Prostuje się i patrzy mi w oczy.

- Co masz na myśli?

- A bo ja wiem... Gdybym miała zupełnie inne ciało. Na przykład Leyli. Albo Nicole. Ale wewnątrz pozostałabym sobą.

Obejmuje dłonią moją brodę.

- To naprawdę dziwne pytanie. Ale dobra... - Myśli przez chwilę. - Staram się wyobrazić sobie ciebie z inną twarzą.

Patrzę na niego poważnie, jednak Noah zaczyna się śmiać.

- Nie, nie dam rady, Kailey.

- Dobra, rozumiem... - Udaję, że się obraziłam.

- Chcesz, żebym był poważny? Dobrze, będę poważny. Znamy się, odkąd tylko pamiętam. Twoja twarz jest mi pewnie bliższa niż moja własna. Ale masz w sobie taką iskrę, po której zawsze cię poznam. - Milczy przez chwilę. - Więc tak, nawet gdybyś wyglądała inaczej, wciąż bym cię ko... - Urywa nagle, zawstydzony. - Nie wierzę, że to powiedziałem.

- Czy to prawda? - pytam z bijącym sercem. Spuszcza głowę, ale dotykam go w policzek i zmuszam, by znów na mnie spojrział.

- To nie czas na niedopowiedzenia. - Może już nigdy nie przeżyję takiej chwili. Nie powinnam tego robić Noahowi, wiem. Ale nie potrafię się powstrzymać.

Patrzy w kierunku morza, którego odległe fale łamią się tak powoli, że wydają się nieruchome. Nie patrzy na mnie, ale dotyka mojej dłoni. To wystarczy. To słodki sen, który zawsze będę mogła wyciągnąć z głębin pamięci w długie samotne dni, które mam przed sobą.

- Nie musisz nic mówić. Chodźmy. Chcę popatrzeć na most Golden Gate.

Spacer nas rozgrzewa, ale na górze mostu smaga lodowaty wiatr, który jednak jakimś cudem nie rozprasza mgły zbierającej się kłębami wokół pomarańczowej metalowej konstrukcji.

- Jak tu wysoko - zauważam, drżąc. Obejmuję Noaha w pasie.

- Chociaż trudno to stwierdzić, bo nic nie widać przez mgłę - dodaje. Kropelki wilgoci czepiają się naszych włosów. Noah zaczyna się trząść. - Chodźmy do domu.



Biorę głęboki oddech. To już czas.

- Ty idź, ale ja chciałabym jeszcze chwilę zostać. Muszę pobyć sama. - Staram się brzmieć normalnie, jak gdyby to była najzwyczajniejsza prośba pod słońcem.

- Co takiego? Nie ma mowy, to niebezpieczne. Zostanę z tobą.

- Mówię poważnie, Noah. Chcę zostać sama. Nic mi nie będzie.

- A co, jeśli coś ci się stanie? Zwariowany pomysł. - Brzmi stanowczo.

- Przecież często tu przychodzę sama. Naprawdę. Tu jest bezpieczniej niż w Berkeley. - Usiłuję brzmieć pewnie.

- Jak dostaniesz się do domu? - martwi się Noah.

- Chyba potrafię wezwać taksówkę - mówię sucho. - Jestem już dużą dziewczynką.

- No nie wiem. To nie wydaje mi się właściwe, zostawiać cię tak bez opieki. - Nie jest już przekonany. Wyczuwam pierwsze pęknięcia.

- Nie potrzebuję, żeby mężczyzna bez przerwy się mną opiekował - rzucam ostro. - Naprawdę sądzisz, że jestem taka słaba?

- Oczywiście, że nie. - Uśmiecha się. - To jedno z ostatnich określeń, których bym użył, opisując cię.

- W takim razie pozwól mi zrobić to, czego chcę. Obiecuję, że nic mi się nie stanie.

- No dobra... Skoro naprawdę chcesz pobyć sama. Ale musisz wysłać mi wiadomość, kiedy tylko wrócisz do domu, żebym wiedział, że nic ci nie jest. - Przytula mnie. Chowam twarz na jego klatce piersiowej, słuchając bicia serca.

Potrafię wydobyć z siebie tylko najskromniejszy szept, by wyrazić to, co pragnę mu powiedzieć.

- Też cię kocham.

Obejmuje mnie mocniej i czuję, że malutka łza już czai się w moim oku, ale nie pozwalam jej uciec.

Noah kładzie mi dłonie na ramionach. Podnoszę głowę, sięgam do jego ust i zaczynamy się całować.

- Idź już - mówię, odrywając się z trudem.

- Żałuję, że nie wracasz ze mną - mówi. Ja też.

- Dobrze się dziś bawiłam.

- Napisz do mnie - powtarza. - Gdy tylko wrócisz.

- Napiszę - kłamię.

Niechętnie odchodzi, zostawiając mnie samą na moście. Muszę przygryźć wargi, żeby go nie zawołać, żeby nie zacząć krzyczeć. Błagam, nie opuszczaj mnie. Ale Noah spełnia moje życzenie i znika we mgle.

## Rozdział 34

Długo czekam. Muszę się upewnić, że Noah jest już daleko, żeby nikt nie mógł go potem powiązać ze śmiercią Kailey.

Podchodzę do barierki i nasłuchuję dźwięków wody. Wyobrażam sobie, że naprawdę spadam, a woda wita mnie miękkim uściskiem i wciąga na sam dół, do świata wraków i srebrzystych, milczących ryb.

Nie bądź głupia, mówię sobie. W tej wodzie nie ma nic miękkiego.

Ale może jeśli skoczę, wiatr porwie mnie jak ptaka albo wyrosną mi skrzydła i pofrunę - jak Kailey na tym obrazie, gdzie przedstawiła się jako anioła. To już prawie pora, by wysłać wiadomość do mamy Kailey. Ale jeszcze nie teraz. Przemykam oczy i czekam, myśląc o jedynej znanej mi osobie, która naprawdę potrafi latać: Amelii.

To był Brooklyn, rok 1913. Cyrus zabrał mnie do cyrku. Wstrzymałam oddech, patrząc na malutką blondynkę akrobatkę, która skoczyła z rozhuśtanego trapezu prosto na linę, rozwieszoną tak wysoko pod sufitem namiotu, że musieliśmy zadzierać głowy. Tłum oszalał, a prowadzący zaczął krzyczeć:

- Piękna, jedyna, zadziwiająca, lady Amelia pokonuje śmierć! Patrzcie, jak lata, chociaż nie ma skrzydeł!

- Mógłby się zamknąć - szepnął Cyrus.

- Owszem. A co, jeśli spadnie przez ten hałas?  
-zaniepokoiłam się.

- To niemożliwe - odparł z podziwem Cyrus. -Ona naprawdę jest ptakiem.

Tymczasem Amelia - zupełnie jak gdyby go usłyszała - właśnie napięła mięśnie, zeskoczyła z liny i wylądowała, robiąc po drodze jedno salto w tył. Zmrużyłam oczy - miała nawet pióra we włosach, z każdej skroni, a także z drobniutkich nadgarstków zwisały jej pęki pawich oczek ozdobionych klejnotami.

Po występie Cyrus zmusił mnie do spaceru przez brudne zaplecze cyrku, aż znaleźliśmy jej przyczepę. Na bocznej ścianie widniał obraz skrzydlatej kobiety odpoczywającej w wielkim gnieździe. Amelia odpowiedziała na pukanie ubrana w opalizujący, jedwabny szlafrok, który w zależności od kąta przybierał fioletową lub zieloną barwę. Gdy tylko nieśmiało i słodko wymówiła imię Cyrusa, wiedziałam, że już się kiedyś spotkali.

Z daleka wydawało mi się, że jest dzieckiem. Miała najwyżej półtora metra wzrostu i niemożliwie szczupłe nogi, a do tego szlachetne, ostre rysy. Niemal białe włosy okalały jej twarz jak nastroszone pióra. Sięgnęłam dłonią do własnej głowy - moje kasztanowe włosy były gładko zaczesane i ułożone w długie loki. Poczułam się zbyt wymuskana, zbyt mocno związana z ziemią. Amelia była zupełnie dzika i chciałam stać się taka jak ona.

Uwijała się po przyczepie, przyrządzając nam napoje, które smakowały trochę jak melon, ale bardziej

gorzko. Cyrus oparł się o stertę wysadzanych paciorkami szali, po czym popatrzył na nas obie.

- Amelio... - zaczął. - Sera była zachwycona twoim dzisiejszym wystąpieniem.

Amelia przycupnęła na skrzyni, podciągając pod szlafrok malutkie stopy. Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się słodko.

- Dziękuję - powiedziała. - To bardzo miłe.

- Jesteś niesamowita. Naprawdę wydawało się, że latasz. Jak długo jesteś akrobatką?

Zachmurzyła się.

- Zbyt długo. Starzeję się. Niebawem będę musiała odejść z cyrku. Co wtedy zrobię?

Cyrus się uśmiechnął.

- Właśnie dlatego tu przyszliśmy, Amelio. My też nie chcemy, żebyś się zestarzała. - Rozpiął dwa guziki koszuli i wyciągnął fioletkę, którą zawsze nosił przy sobie na srebrnej wstążce. - Możesz zamieszkać z nami, Amelio. I jeśli chcesz, możesz być wiecznie młoda.

Wyraz twarzy Amelii mówił wyraźnie, że chce mu uwierzyć.

- Ale jak? Czy to magia?

- Nie - odparł Cyrus, po czym otworzył fioletkę i powąchał eliksir. - To alchemia.

Otrząsam się ze wspomnień. Minęło już dość czasu. Noah pewnie dotarł do domu. Potrząsam głową, żeby oczyścić ją z duchów przeszłości. Wyjmuję iPhone Kailey i wzywam taksówkę, która zabierze mnie na przystanek autobusowy. Stamtąd pojedę do Teksasu, a potem postaram się przekroczyć granicę z Meksykiem.

- Czekam na parkingu pod mostem Golden Gate -mówię operatorce. Odpowiada, że samochód przyjedzie po mnie za pięć minut.

Biegnę na środek mostu. Są tam kamery, ale wiem, że mgła zamaże wszystkie nagrania. Zdejmuję marynarkę i trzęsąc się, wsuwam dowód Kailey do kieszeni, po czym wieszam ubranie na barierce. A potem znów wyciągam telefon - tym razem, by napisać wiadomość do rodziny Kailey.

„Mamo, tato, Bryanie. Żyłam w kłamstwie. Tak bardzo żałuję, ale nie potrafię dłużej udawać. Uwierzcie mi, że jestem teraz w lepszym miejscu. Kocham Was wszystkich - K”.

Już prawie naciskam „Wyślij”, ale zaczynam się wahać. Czy powiedziałam dość?

Chcę, żeby to było jak list. Chcę przekazać w nim całą miłość, którą naprawdę do nich czuję. Rozpacz, którą z nimi dzielę. Zerkam na godzinę. Tylko dwie minuty do taksówki, a ja muszę jeszcze zejść na parking. Wzdycham. To będzie musiało wystarczyć.

Nie mogę jednak nacisnąć „Wyślij”, bo właśnie pojawia się nowa wiadomość od Leyli.

Dreszcz przeszywa mnie od stóp po korzonki włosów.

Wiadomość brzmi: „Pan Shaw nie żyje!”

## Rozdział 35

Miękną mi kolana, a gwiazdy zaczynają wirować przed oczami. Osuwam się na mokrą ziemię. Czuję się, jak gdybym dostała cios w splot słoneczny i nie jestem w stanie oddychać. Cyrus nie żyje? Czy to może być prawda? A może po prostu wskoczył w nowe ciało, żeby w przebraniu łatwiej mnie wytropić? Nie wiem, w co wierzyć.

Zostawiam marynarkę Kailey na barierce i biegnę na parking, mocno uderzając adidasami o chodnik. Moja pożegnalna wiadomość do rodziny Kaily jest wciąż niedokończona, ale mogę ją wysłać po drodze na przystanek. Kilka minut nie zrobi różnicy. Widzę taksówkę, jasnożółte światło to pojawia się, to znika we mgle. Zaraz odjedzie.

- Czeka! - drę się, aż bolą mnie zębra, ogarnięta paniką. Czeka.

- No ładnie - mówi taksówkarz, gdy wślizguję się na tylne siedzenie. - Jesteś nareszcie! - To starszy mężczyzna w ciemnozielonym garniturze. Na tablicy rozdzielczej ma mnóstwo sztucznych kwiatów.

- Jestem - przytakuję bez tchu. - Czy może mnie pan zabrać na dworzec autobusowy?

Marszczy brwi, widząc, że nie mam torby ani nawet płaszcza.

- Podróżuję bez zbędnego bagażu - mówię stanowczo, po czym wyciągam telefon, uruchamiam przeglądarkę i wchodzę na stronę „San Francisco Chronicle”.

Taksówkarz przytakuję i podkreśla ogrzewanie, za co dziękuję mu uśmiechem. Telefon rozświetla mi twarz. Strona ładuje się całą wieczność.

- No dalej! - szepczę z naciskiem, potrząsając iPhone'em.

W końcu pokazuje się strona główna serwisu. Artykuł o Cyrusie jest na samej górze.

„OAKLAND - Tymczasowo zatrudniony na zastępstwo nauczyciel przyrody został zastrzelony podczas napadu rabunkowego na brzegu jeziora Merritt. Ofiara odniosła wiele ran postrzałowych, po czym spadła do wody. Ciało nie odnaleziono. Przebieg zdarzenia potwierdzają liczni świadkowie naoczni. Mieszkaniec San Francisco, lat 19, który poprosił o anonimowość, powiedział, że trzech lub czterech młodych mężczyzn osaczyło nauczyciela, żądając, by oddał im portfel. Świadek twierdzi, że gdy nauczyciel spełnił polecenie, jeden z napastników wyciągnął pistolet i zaczął do niego strzelać. »To było straszne, widziałem, jak umiera na moich oczach«. Inny świadek, 22-letnia kobieta z San Francisco, potwierdza tę wersję wydarzeń. »Nie miał szans«, powiedziała. Nikogo nie zatrzymano”.

Odkładam telefon i opieram się o siedzenie. Czy to możliwe? Jeśli naprawdę umarł, to nie znajdą jego ciała - z chwilą uderzenia o wodę obróciło się w popiół. Tak stało się z Nathanielem, gdy Cyrus go zabił. Ale nie wierzę, że Cyrus mógł paść ofiarą tak pospolitego aktu przemocy. Przeżył sześćset lat. Zawsze potrafił przetrwać. Musiał przyjąć nowe ciało. A mimo



to... w moim sercu rodzi się iskierka wątpliwości, której nie śmiem na razie rozniecać.

Liczni świadkowie. Możliwe, że naprawdę został napadnięty. Codziennie zdarza się mnóstwo takich przestępstw. Wyciągam telefon i czytam artykuł jeszcze raz. Liczni świadkowie. Ten zwrot brzęczy mi w myślach. Świadkowie, którzy widzieli, jak do niego strzelają i jak umiera. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej chcę wierzyć. To makabryczna myśl, ale czyżby szczęście tak mi sprzyjało?

- Panienko, nie chcę się wtrącać... - Taksówkarz patrzy na mnie przez lusterko. - Ale wydaje mi się, że masz jakieś kłopoty. Jesteś pewna, że chcesz jechać na ten dworzec? - Jego przeorana zmarszczkami twarz emanuje życzliwością.

- Nie - przyznaję. - Nie jestem pewna.

- Zastanów się - mówi.

Rozważam, co robić. Mam tylko dwie możliwości. Jeśli wyjadę i wyślę samobójczy list, to już nigdy nie będę mogła wrócić. Ale jeśli Cyrus nie żyje, wcale nie muszę uciekać. Budzę telefon z uśpienia i czytam artykuł po raz trzeci. Przypominam sobie, jak za każdym razem, gdy chciałam się zabić, wszystkie moje działania kończyły się porażką. Teraz znów wyczuwam działanie tej niewidzialnej ręki, która naprowadza mnie na właściwą ścieżkę.

Jeśli Cyrus nie zginął, jeśli to pułapka, to w tej chwili może być już u Morganów.

- Wie pan co? - Taksówkarz podnosi głowę. - Chyba zmieniłam zdanie. Czy zabierze mnie pan do Berkeley?

- Oczywiście. - Z wizgiem opon wjeżdża w najbliższą zawrotkę.

W Berkeley zjeżdżamy z autostrady. Prowadzę taksówkarza pod dom Morganów, przez cały czas

niecierpliwie tupiąc nogą. Jeśli cokolwiek im się stało, nigdy sobie tego nie wybaczę. Zatrzymujemy się na podjeździe. Płacę i biegnę do środka.

Przenika mnie ulga. Widzę całą rodzinę na kanapie, pogrążoną we śnie. W telewizji leci jakiś film, którego nikt nie ogląda. Pani Morgan głośno chrapie.

- Wróciłam - mówię cicho. Bryan mamrocze coś i zmienia pozycję, okrywając kocem twarz. Wyłączam telewizor, po czym na palcach idę do pokoju Kailey.

Kładę się na łóżku, otulam kapą, a mój umysł pracuje jak szalony. Czy jeśli Cyrusa tu nie ma, to znaczy, że naprawdę, na pewno nie żyje? Czy stał się tak arogancki, że zapomniał, jak niebezpieczny jest ten świat? Wbijając wzrok w gwiazdy na suficie Kailey, ośmielam się wierzyć, że tak.

Wyjmuję telefon i kasuję wiadomość, którą ułożyłam na moście. To było tak dawno temu, może w innym życiu. A przecież wciąż mam piasek w butach i jestem przemarznięta i mokra od mgły. Piszę do Noaha.

„Już w domu cała i zdrowa. Do zobaczenia jutro -DH”.

A może, myślę, zasypiając, może to jest życie, jakie było mi przeznaczone?

## Rozdział 36

To ten sam koszmar, który śnił mi się kiedyś, gdy jeszcze mieszkałam z resztą klanu. Niekończący się marsz na szubienicę, chropowata pętla wokół szyi. Czy ja nie mam skrzydeł? - myślę w panice. Ktoś mi mówił, że potrafię latać. Gdybym tylko przypomniała sobie, kto to był, mogłabym uciec. Na szczycie konstrukcji stoi funkcjonariusz, który aresztował mnie za wagarowanie. Ma w ręku plik wydrukowanych e-maili i potrząsa głową. Ale ja chciałam tylko ją uratować! - usiłuję krzyczeć, wyjaśnić, co się stało, ale nie wydobywam z siebie żadnego dźwięku. Staram się i staram, otwieram usta w rozpaczliwym, niemym proteście. Wysiłek w końcu wybudza mnie ze snu. Gwałtownie nabieram powietrza, dławię się, podnoszę rękę do gardła.

Pokój oświetla mały zegarek na stoliku nocnym Kailey, wskazuje drugą trzynastą w nocy. Opadam na poduszkę i cieszę się, że to był tylko sen. Przewracam się na bok, znów zamykam oczy, ale nagle uświadamiam sobie coś strasznego. W pokoju Cyrusa jest mnóstwo dowodów. Artykuł o moim wypadku, e-maile, zdjęcia. Bransoletka. Policja mogła uznać, że to był zwykły napad rabunkowy, ale jak wiele czasu minie, zanim jakiś nieugięty detektyw zainteresuje

się sprawą bliżej? Dowody nie wskazują jednoznacznie na mnie, ale pobudzają do pytań.

Muszę tam jechać i usunąć te rzeczy. Zrzucam nogi z ciepłego łóżka, po czym wciągam dżinsy, bluzkę z długimi rękawami i gruby, wełniany sweter. Po cichutku wymykam się z domu. Rower Kailey wciąż stoi przypięty w centrum, więc pożyczam pojazd Bryana. Powolotku wyprowadzam go na ulicę, starając się poruszać jak najciszej.

Nocna mgła wciąż ściela się grubą warstwą nad ulicą. Wilgoć osiada na moich rzęsach i włosach. Pedałuję szybko, w pędzie ignoruję znaki stopu i czerwone światła. Jak błyskawica przelatuję przez opustoszałe centrum Berkeley, mijając pozamykane okiennice i drzwi, i przez dzielnicę Temescal. Mrużę oczy, smagane mokrym wiatrem. W końcu docieram do celu: motelu Pod Kominkiem.

Ukrywam rower za kontenerem i ostrożnie wchodzę na parking. Zbliżając się do pokoju Cyrusa, zaczynam odczuwać niewysłowny żal. Wyobrażam sobie moment jego śmierci - ostatnie, ulotne emocje chłopca, który myślał, że nigdy nie umrze. Cyrus tak wiele widział, był świadkiem ogromnego fragmentu ludzkiej historii, patrzył na narodziny i upadki krajów. Musiał być przerażony. I gdzie jest teraz jego dusza? Rozproszyła się w eterze? A może płacze się gdzieś w pobliżu, obserwując każdy mój ruch - niezdolna do jakiegokolwiek działania, cierpiąca męczarnie?

Drżę. Mam nadzieję, że nie będzie trzymał się życia, że da się uwolnić. Chociaż go nienawidzę, nikomu nie życzę takich tortur.

Chociaż tak wiele zrobiłam, by pozbyć się Cyrusa z mojego życia, teraz, gdy odszedł, czuję się samotna.

Byliśmy razem przez sześćset lat. Żadna inna osoba na ziemi nie rozumiała nigdy naprawdę, kim jestem. Nie знаła moich rodziców. Nie stała u mojego boku przez całe życie,

wiele wcieleń - dłużej niż powinno to być dozwolone. Teraz mam swoją niezapisaną tabliczkę, nową kartę, myślę. Tego chciałam i tego potrzebowałam. Ale nie wiem, czy potrafię to przyjąć.

Nie jesteś sama, przypominam sobie, wchodząc na schody. Masz Noaha, Leylę. Rodzinę Kailey. A teraz, gdy Cyrus nie żyje, może zdołam skomunikować się z Charlotte - dać jej znać, że jestem bezpieczna. Ta myśl napełnia mnie nadzieją. Błyskawicznie otwieram zamek i wchodzę do mieszkania Cyrusa.

Tak jak poprzednio, silnie czuję jego obecność. Uderza mnie zapach jego mydła, ślad po aromacie skórzanej teczki. Włączam światło i widzę, że pokój został kompletnie opróżniony, oczyszczony z jakichkolwiek dowodów. Zniknęły wszystkie rzeczy Cyrusa, eleganckie garnitury i wypolerowane buty, korkowa tablica... Wzdycham. Nic na to nie poradzę. Jeśli policja się do mnie zgłosi, po prostu udam, że o niczym nie wiem. Nie pierwszy raz będę musiała grać.

Wyciągam z kieszeni telefon Kailey i sprawdzam godzinę. Dochodzi czwarta - muszę wracać. Ale przez chwilę jeszcze siedzę na łóżku, muskając dłonią jego szorstką, poliestrową powierzchnię. Przypomina mi się, jak dziś rano wygłosiłam mowę do ducha Kailey, siedząc na jej kapie.

- Żegnaj, Cyrusie - szepczę, wiedząc, że prawdopodobnie mnie nie słyszy. Ale to nie ma znaczenia. Kailey też nie słuchała. - Nie żałuję, że cię opuściłam. Przykro mi, że umarłeś w ten sposób, w strachu i cierpieniu. Mam nadzieję, że czyste światło planet ukołysze cię do snu, a gniew, który zawsze nosiłeś

w sobie, uleci w niebo i rozproszyć się jak dym. Nie-  
nawidziałam cię. Ale był czas, kiedy cię kochałam. Teraz, gdy  
odszedłeś, ja jestem wolna. Mam nadzieję, że ty też.

Wstaję i powoli przechadzam się po pokoju. Czas iść.  
Zatrzymuję się przed biurkiem, gładzę jego wybrzuszona,  
dębową powierzchnię. Cała pokryta jest zadrapaniami i  
dziurami wypalonymi przez papierosy, kroplami wosku i  
ślądami po przypadkowych uderzeniach. Odnajduję głęboką  
ryś i zerkam w dół.

Nie.

W drewnie widnieje napis, litery wyglądają tak znajomo,  
jak gdybym wyryła je sama, a słowa zwalają mnie z nóg,  
wbijają w ziemię: „Do zobaczenia wkrótce. - C”.

Oszukał mnie.

Cyrus jest górą. Zawsze był. Cyrus uwielbiał grać w szachy.  
Ja traciłam piona za pionem, królową i gońce, a on  
bezlitośnie, krok po kroku osaczał mojego króla. Miał wtedy  
rozszerzone źrenice, przyspieszony oddech. Znakomicie  
zastawiał pułapki. Ale szachy to tylko gra, a w życiu  
konsekwencje błędu mogą być śmiertelne. Cyrus nie zginął -  
musiał zmienić ciało. Świadkowie się mylili albo zostali  
przekupieni, żeby skłamać gazecie. A może... - osuwam się na  
ziemię z grozy - może nie było żadnych świadków. Dziewięt-  
nastoletni mężczyzna i dwudziestodwuletnia kobieta z San  
Francisco? Jared i Amelia. Pewnie zainscenizowali całą tę  
sytuację. Jak mogłam być tak głupia?

Przymykam oczy i staram się myśleć. Jaki jest mój następny  
ruch?

Czuję wibrację telefonu, więc wyciągam go z kieszeni  
drżącymi palcami. Na ekranie jest wiadomość: „Proszę cię na  
słówko - gra z Noahem, twój ruch”.

Pewnie siedzi dziś do późna, myślę głupio, wchodząc w aplikację. O Boże, nie.

Nie mam już więcej ruchów. Przegrałam. Nie płaczę, jeszcze nie. Na to przyjdzie czas później. Pokój wiruje mi przed oczami, a krew pulsuje mi w uszach jak prąd.

Jego ostatnie słowo to ALCHEMIA.